

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

June—July

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F



ORZEŁ BIAŁY

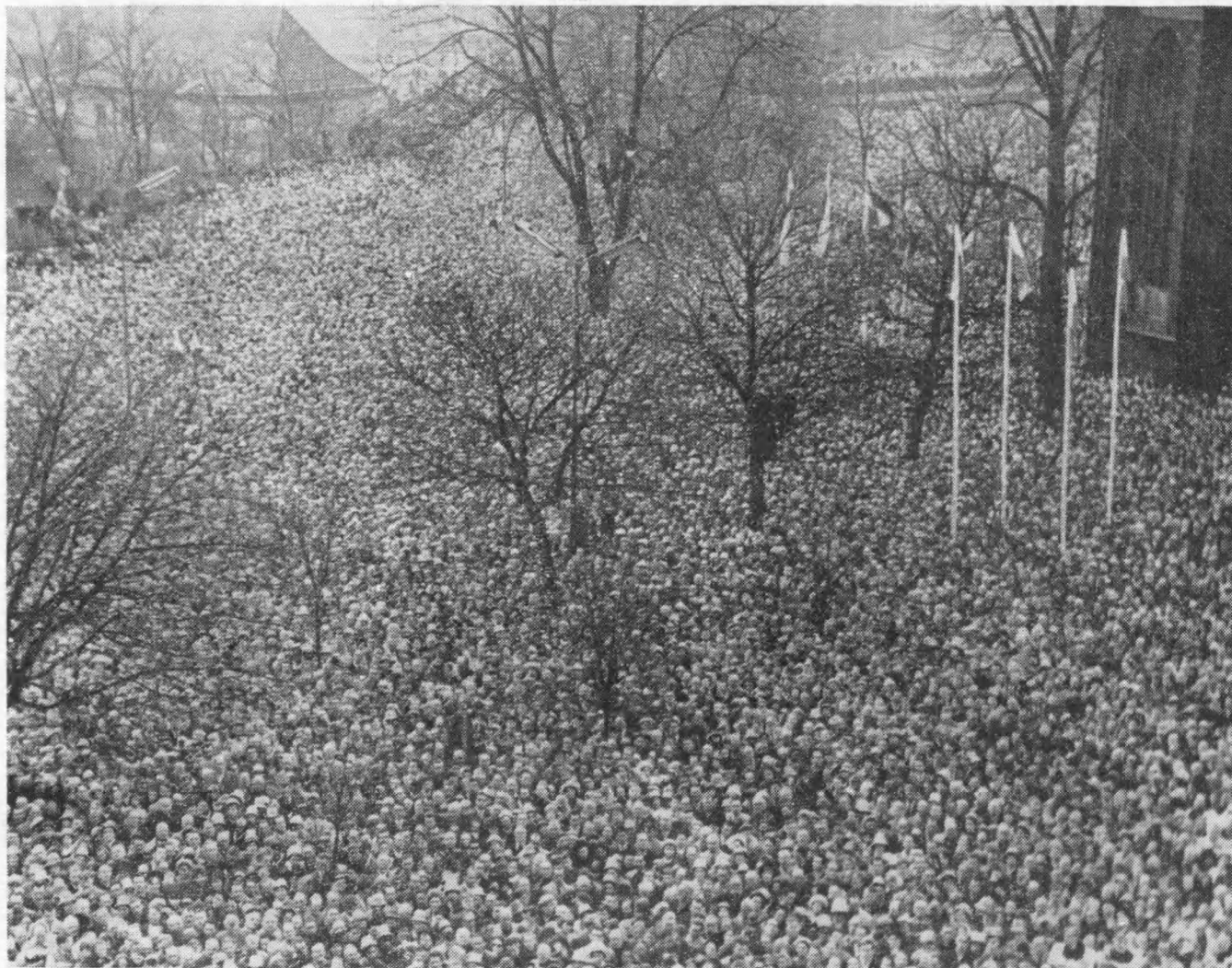
Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

Czerwiec—Lipiec
1966

Nr 23/24—1170/1



LUDNOŚĆ POZNANIA NA OBCHODZIE MILENIJNYM

CZY TRZEBA PYTAĆ PO CZYJEJ STRONIE WIĘKSZOŚĆ...

Zdjęcie nadesłane z Kraju

Numer **68**-mio stronicowy

F.P. 2156

JEDNO SŁOWO „NIE“

Szanowny Panie Redaktorze,

Skarcił mnie gen. Marian Kukiel za niedokładne przeczytanie „Popiołów“ Żeromskiego i, sądząc na podstawie tego, co wydrukowano w „Orle Białym“ nr 21/1168, ma w zupełności rację. Rzecz jednak w tym, że nie moja to wina. W zdaniu, które w liście do Redakcji przytacza gen. Kukiel zakradł się błąd. Zecer opuścił drobne słówko „nie“. Powinno zatem być: „Rafał idzie pełen zapału na Moskwę, a nie ginie w zaśnieszonych pustkowiach Rosji...“

Nie prostowałem tego w numerze majowym, gdyż sądziłem, że pomyłkę składu całkowicie wyjaśnia następne zdanie: „Wajda zaś oślepią Rafała Olbromskiego i każe mu zmarnieć na szlaku napoleońskiej klęski“.

Lenistwo zostało ukarane. A za to, że sprawa się wyjaśniła składam gen. Kukielowi serdeczne podziękowanie.

Łączę wyrazy poważania

Michał Radło
Monachium

O POLITYCE DE GAULLE'A

Drogi Reoaktorze,

W numerze majowym „Orla Białego“ p. Zygmunt Stermiński wyraża wątpliwości co do mojej oceny przyszłej polityki de Gaulle'a, oceny wyrażonej w numerze kwietniowym miesięcznika w artykule pt. „Francja 1966“. Zdanie, które krytykuje p. Stermiński brzmiało: „De Gaulle w nowej kadencji nie będzie mógł poczynić sobie tak bezceremonialnie jak w poprzedniej, albowiem wie on dzisiaj, że nie ma za sobą większości społeczeństwa francuskiego“.

P. Stermiński kwestionuje moją tezę, przytaczając fakt, że w drugiej turze głosowania de Gaulle uzyskał 55 procent głosów i zapytuje „czy to jest większość?“ Nie chodziło mi w mojej ocenie o matematyczne wyniki wyborów prezydenckich i ani przez chwilę nie kwestionowałem oczywistego faktu uzyskania przez de Gaulle'a absolutnej większości wszystkich oddanych głosów. Chodziło mi tutaj zupełnie o coś innego, a mianowicie nie tylko o to, że de Gaulle w poprzednich wyborach otrzymał o wiele większy procent głosów niż w wyborach z roku 1965, ale o to, że nie ma dzisiaj za sobą większości świadomego społeczeństwa francuskiego, a zatem opinii, która formować będzie w przyszłości politykę Francji.

Nie sądzę zatem, że wyciągam wnioski na przyszłość wynikłe z fałszywej rzekomo oceny sytuacji de Gaulle'a. Miałem na myśli stanowisko, które de Gaulle zajmie wobec Wspólnego Rynku i oto od czasów narad w Luksemburgu, a potem dyskusji w Brukseli, stanowisko Francji wobec EWG niewątpliwie złagodniało w porównaniu z bardzo ostrymi sformułowaniami z okresu przedwyborczego. De Gaulle zrozumiał, że zarówno ci, którzy głosowali na Mitteranda, jak i ci, którzy głosowali na Lecaneta nie pochwalają jego polityki ryzykanctwa i tego co można by nazwać „brinkmanship“ w stosunku do EWG. Nie brak było głosów w Paryżu właśnie w okresie wyborów prezydenckich, że gdyby Lecanet przeszedł do drugiej rundy to wówczas większość głosów oddanych na de Gaulle'a byłaby albo minimalna, albo przestała być większością. Opinia francuska coraz krytyczniej patrzy

na kapryśne i nieobliczalne posunięcia swego Prezydenta i można się o tym przekonać studiując analizy tak poważnych obserwatorów jak prof. Raymond Aron, znany dzisiaj równie dobrze we Francji jak i w Anglii.

P. Stermiński zarzuca mi, że wyciągam fałszywe wnioski ze źle postawionej diagnozy i że uznaję własne życzenia „za oblicze przyszłości“. Nie ukrywam się zupełnie z tym, że pobożne życzenia tysięcy dobrych Europejczyków już w czasie wojny widziały w zjednoczonej Europie jedynę wyście z samobójczego obłądę, który przez patologiczne wybrki nacjonalizmu doprowadził Europę do ruiny. W dobie wojny Londyn był o wiele bardziej międzynarodowy jeżeli chodzi o idee zjednoczenia Europy, aniżeli dzisiaj i koła emigracyjne polityków — poczynając od Jana Masaryka a kończąc na późniejszym ministrze spraw zagranicznych Holandii — widziały w zjednoczeniu Europy jedyną ratunek. Po wojnie dzięki politykom takim jak Robert Schumann i de Gasperi, jak również Jean Monnet ta wizja Europy zaczęła przybierać realne formy. Pobożne życzenia i marzenia mają swoją realną wagę w najbardziej realistycznej polityce, albowiem nie kto inny tylko Napoleon powiedział, że „należy pragnąć niemożliwości aby zrealizować jedną nieznaną możliwość“.

Nie oceniam emocjonalnie polityki Francji — chyba w tym tylko, że jestem głęboko i na zawsze przywiązany do tego kraju. Z tym wszystkim oceniam obecną politykę de Gaulle'a osłabiania wiązań EWG jako szkodliwą, a jego rozmaite polityczne próby od Chin po Moskwę za politykę nieskoordynowaną i pozbawioną zmysłu realizmu. Francja roku 1966 nie jest Francją roku 1918 i byłoby szaleństwem stawianie na kraj, który przy całym naszym przywiązaniu i sympatiach, nie jest dzisiaj mocarstwem pierwszej klasy i którego misja leży tylko i wyłącznie w montowaniu związku europejskiego. P. Stermiński przestrzega mnie przed poddawaniem się „nastrojom amerykańskim i angielskim“: obawiam się, że de Gaulle przez swoje fochy w stosunku do USA wywoła — a właściwie już wywołuje — ogromną zwyżkę akcji niemieckich i wprowadzi — o ironio! — Niemcy Zachodnie do jakiegoś atomowego sojuszu Zachodu, chociaż tego tak pragnie uniknąć. P. Stermiński cytuje rzekome uznanie przez de Gaulle'a granicy na Odrze i Nysie jako wyraźną korzyść Polski z polityki Prezydenta Francji. Lękam się, że p. Stermiński ulega czarowi retoryki francuskiej, albowiem oficjalnie Francja granicy naszej na Odrze i Nysie nie uznała, francuskie Zgromadzenie Narodowe jej nie zatwierdziło — a nawet gdyby się tak stało, to gest francuski zawisa w powietrzu z braku reasekuracji amerykańskiej.

To, że wielu publicystów europejskich ma żal do Anglii, iż nie wzięła na siebie ciężaru, ale i pięknej misji prowadzenia Europy po wojnie, jest zupełnie zrozumiałe. Jeszcze bardziej zrozumiałe jest żal Europejczyków, że Prezydent Francji, który położył tak olbrzymie zasługi dla swojej ojczyzny, nie potrafi zrozumieć wymowy teraźniejszości i przyszłości i wygrzebuje dzisiaj hasła, o których socjalista francuski Guy Mollet powiedział, że są hasłami już nie tylko naszych ojców, ale chyba naszych dziadków. To, że de Gaulle otrzymał 55 procent głosów w wyborach prezydenckich dowodzi tylko, że

(Dok. na przedostatniej stronie okładki)

Jasna Góra — duchowa stolica Polski	1
Z.S.: Pozostałości imperium i kłopoty brytyjskich socjalistów	2
Aleksander Bregman: Finlandia — wątpliwy sukces Moskwy	4
Czesław Bednarczyk: O „Bombach i myszach“ zdań kilka	6
P. Hęciak: Wimbledon i Wembley	8
Zbigniew Grabowski: Europa się spóźnia	9
W. Opolski: W P.G.R-ach bez zmian	13
Tadeusz Podgórski: W Kraju o przeciwnościach pokoleń	15
Stefan W. Wojtomski: Protokoły omskie	17
Mieczysław Paszkiewicz: Humor staropolski	21
P. T.: Sywetki ludzi emigracji	23
S. Błaszczak: Uroczystości milenijne w Szkocji	24
Trzy wielkie imprezy polskie w Londynie	25
Papież Paweł VI do narodu polskiego	26
Józef Garliński: Po ósmym Zjeździe SPK	28
Paweł Hęciak: Manifestacyjny obchód tysiąclecia na stadionie White City w Londynie	32
Zdzisław Stahl: Tylko samodzielna emigracja spełni swoje zadanie — refleksje po Zjeździe Wolnych Polaków	34
Naród polski chciał wizyty Papieża	36
Stefan Wójcicki: Trzeci międzynarodowy sezon teatralny w Londynie	37
Wojciech Stefański: Sprawa Roberta Bowen-Smitha	38
Mina Tomkiewicz: Jeden za wszystkich...	40
Dr Michał: Gawęda lekarska	42
W. Lewandowski: Nieco o pogodzie	43
Alina Cybulska: Od Juliusza Verne do Pentagonu	44
Jan Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu	45
Kazimierz Sowiński: „Nowe życie“ Heleny Żurkowskiej	47
Czesław Dobek: Fronty inne	48
Hilda Jankowska: Ewa Hańska w życiu Balzaka	50
Klara Evans: Melodramat angielskiego przedmieścia	52
Marian Czarnecki: Verdun — 50 lat temu	57
Leszek Szymański: Antypody — szczęśliwa prowincja świata	59
Paweł Zaremba: Śp. Tadeusz Bornholtz	62
Listy do Redakcji — Krzyżówka	

Zdjęcie na okładce tego numeru jest fotografią amatorską. Nie wyzyskuje żadnych efektów głębi a po bokach obcina obraz tłumu, każąc nam się tylko domyślać, że tłum był znacznie większy. Lecz może właśnie dlatego ta fotografia, którą nam z Polski nadesłano, jest pełna majestatu, jako „nieprzygotowany i nieopracowany“ dowód po czyżej stronie stoi Naród Polski.

Uroczystości millenijne w Polsce trwające od dwóch miesięcy, bogate są w momenty dramatyczne. Poznań, Gniezno, Gdańsk, Lublin i tyle innych miejscowości, po których Prymas odbywał pielgrzymkę millenijną, wykazały, że ani zakazy, ani naciski, ani perswazje reżymu komunistycznego nie mogą w najmniejszym stopniu zmienić przekonań Polaków. Uroczystościom odebrano splendor i pompę. Uczyniono z nich akt spontaniczny.

Przede wszystkim Częstochowa, Klasztor Jasnogórski, który jest dziś duchową stolicą Polski. Władze komunistyczne zastosowały wszystkie możliwe zakazy i zakazy by nie dopuścić do uroczystej pielgrzymki kopii obrazu jasnogórskiego po całej Polsce. Kazano go wieźć pod brezentową przykrywą, zakazano obnosić w procesji. Dziwny to strach zaprzysięgłych materialistów i ateistów przed przedmiotem kultu religijnego. Ludność we wszystkich miastach przez które prowadził szlak millenijnej pielgrzymki zignorowała pogroźki. Uczyniła to w sposób godny i rozsądny, unikając czegokolwiek co by stanowić mogło pozór prowokacji. Episkopat posunął się tak daleko w ustępliwości, że odwołał obchód w Włocławku, by nie kolidował z nagle wymyślonym przez komunistów obchodem stulecia narodzić Marchlewskiego.

Mądrość jest wielką cnotą. Nakazuje ustępliwość i nakazuje cierpliwość. Lecz wytycza także granice ustępstwu. Powiedział Prymas Polski w Piekarach Śląskich: „Jeśli rząd będzie respektował prawa Kościoła katolickiego, wówczas i my będziemy respektować rząd. Lecz jeśli rząd tę równowagę naruszy, wówczas nikt z nas nie będzie mógł wziąć odpowiedzialności za to co przyszłość przyniesie“.

Ataki na Prymasa i na Kościół wzbierają z dnia na dzień na sile, są coraz to bardziej historyczne. Dowód całkowitej przegranej ideologicznej komunistów, przegranej, której już nigdy nie nadrobią. Płyńie stąd optymizm w spojrzeniu w przyszłość, optymizm zbudowany na świadomości, że siła moralna jest główną ostoją narodu i źródłem jego zdrowia.

Obchody millenijne w wolnym świecie, którym wiele miejsca poświęcamy w tym numerze, potwierdzają istnienie tej siły i wzmacniają optymizm na przyszłość.

Tysiąclecie Polski Chrześcijańskiej z uroczystości narodowej przekształciło się w przegląd sił moralnych. Są one niezmienne.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 23-24/1170-71

CZERWIEC — LIPIEC 1966

Rok XXVI



JASNA GÓRA — DUCHOWA STOLICA POLSKI

Pozostałości imperium i

CHURCHILL powiedział kiedyś pod koniec wojny, że nie na to został premierem W. Brytanii, aby likwidować jej imperium. Likwidację tę, odpowiadającą ich ideologii, rozpoczęli dopiero socjaliści, których szef rządu Attlee pozostawił swojemu losowi Indie. Potem konserwatysta Eden próbował jeszcze, choć niezdarnie i bezskutecznie, bronić Suez, potem — mimo że również konserwatysta — Macmillan pod hasłem „wind of change — wicher zmian“ zaczął się wyzywać kolonii afrykańskich. W rezultacie, nowemu rządowi socjalistycznemu Harolda Wilsona nie wiele już do likwidacji zostało: resztki baz śródziemnomorskich na Cyprze, Malcie i w Gibraltarze oraz linia Aden—Singapur, czyli strategiczny odcinek frontu światowego, określane w prasie brytyjskiej terminem „na wschód od Suez“.

Z baz śródziemnomorskich nie chcą, jak wydaje się, rezygnować także i socjaliści, choć rozmowy w sprawie Gibraltaru z przynaglającym je rządem hiszpańskim już się toczą, ale strefa „na wschód od Suez“ nastroża Wilsonowi coraz większe kłopoty. Jako „dobry socjalista“ zlikwidował by zapewne chętnie kosztowne bazy i odpowiedzialności brytyjskie na tych obszarach, ale nie pozwala na to Waszyngton, wobec którego premier brytyjski po objęciu rządów w 1964 r. musiał zaciągnąć rozmaite zobowiązania, bo uzyskał duże pomoce finansowe, które nie wypadły mu darmo. Tymczasem, bardziej doktrynerskie skrzydło Partii Pracy zaczęło ostatnio naciskać na wycofanie się z Adenu i Singapuru i nacisk ten nabiera gwałtowności, ponieważ skrzydło to wzrosło liczebnie i uzyskało kłopotliwą dla Wilsona swobodę ruchów.

POLITYKA „NA WSCHÓD OD SUEZU“ I ZALEŻNOŚĆ OD STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Znikoma większość parlamentarna zaledwie kilku głosów, jaką Wilson rozporządził po pierwszych zwycięskich wyborach z października 1964 miała tę dla niego zaletę, że ułatwiała trzymanie w korbach solidarności partii, wciąż zagrożonej ze strony potężnej opozycji konserwatywnej i nie zawsze pewnych sprzymierzeńców liberalnych. Po ostatnich wyborach natomiast z 31 marca 1966, kiedy większość ta wzrosła niemal do setki mandatów, rząd Wilsona przestał mieć wprawdzie kłopoty z przeciwnikami, ale zaczął je mieć z własną większością. Pod głównym hasłem zwalczania więc „imperialistycznej“ polityki „na wschód od Suez“, zawierającej w sobie zarazem poparcie dla amerykańskiej obrony Wietnamu przed komuni-

styczną ekspansją na płd.-wschodnią Azję i ku Australii, uformowała się wewnętrzna opozycja parlamentarnej Partii Pracy, stwarzająca rządowi Wilsona trudności. Ofiarą kontrowersji padł tymczasem minister marynarki Christopher Mayhew, zwolennik likwidowania baz „na wschód od Suez“, co dałoby, zdaniem oponentów, około 250 milionów funtów rocznie oszczędności, czyli jedną ósmą brytyjskiego budżetu wojskowego. Mayhew popadł na tym tle w konflikt z premierem i kancleżem skarbu z okazji nowego budżetu 1966/7, podał się do dymisji i wysunął na czoło doktrynerskiej, wewnętrznej opozycji Wilsona.

Przeciw szybkiemu tempu likwidacji zobowiązań „na wschód od Suez“ są w parlamencie konserwatyści, rządy Australii i Nowej Zelandii, czyli krajów Wspólnoty Brytyjskiej, bezpośrednio zagrożonych przez komunistyczną ekspansję w kierunku azjatyckiego, płd.-wschodu i przede wszystkim czynnik zewnętrzny: Stany Zjednoczone. Za taką likwidacją przemawiają względy finansowe, rozleniwionego więc ubożającego gospodarstwa narodowego W. Brytanii i socjalistyczne doktrynerstwo, łączące się z kwietystyczną koncepcją małej Anglii, neutralistycznej i uniezależnionej od wielkich konfliktów światowych, jakby to było w ogóle możliwe.

Premier Wilson jest prawdopodobnie dość bliski tej ostatniej koncepcji, ale konieczności państwowe, przed którymi stanął i jego pragmatyczna umysłowość nie pozwoliły mu na stanowczą jej realizację. Wkroczył natomiast na — przejściową zapewne w swoim pojęciu — drogę daleko idącego oparcia się o rząd amerykański. W rezultacie, uzależniony od Waszyngtonu przede wszystkim brytyjską walutę, podporządkował też Białemu Domowi brytyjską politykę międzynarodową w stopniu, do którego nigdy nie posunęli się konserwatyści. Uzależnienie to nie dotyczy tylko wojny wietnamskiej, zasadniczo socjalistom angielskim przykre oraz polityki „na wschód od Suez“.

TAKŻE WOBEC EUROPY — BRAK SAMODZIELNOŚCI

Zależność od Waszyngtonu odebrała też socjalistycznemu Londynowi swobodę ruchów w jego polityce europejskiej, zwłaszcza w stosunku do Niemieckiej Republiki Federalnej. Brytyjska Partia Pracy zajmowała z reguły stanowisko

krytyczne wobec rządu w Bonn, obawiając się w szczególności jego linii antysowieckiej. Tymczasem obecnie, sekretarz spraw zagranicznych gabinetu Wilsona M. Stewart, musi zawsze iść w ogonie polityki amerykańskiej i robi tylko czasem gesty, rzuca jakieś hasła, które mają tę rzeczywistość przesłaniać. Podobnie, nie posiada żadnej samodzielności stanowisko socjalistycznego rządu W. Brytanii w stosunku do Francji.

Można najwyżej powiedzieć, że przeciwstawianie się dążeniom francuskim i rywalizacja z nimi leży przeważnie na linii gustów Partii Pracy i nie wpływa jedynie z dyktatu amerykańskiego. Czasem jednak właśnie inicjatywa Paryża budzi zazdrość brytyjskich „koegzystencjalistów“ socjalistycznych i wtedy zdobywają się na samodzielne gesty, mające wykazać, że oni także chcą dogadywać się z Sowietami. I tak ostatnio, podczas konferencji Organizacji Traktatu Północno-Atlantyckiego (NATO) w Brukseli, która przypadła przed — przecenianą zresztą — co do istotnego znaczenia politycznego — podróżą de Gaulle'a do Moskwy, M. Stewart pośpieszył z „brytyjskim planem złagodzenia napięcia między Wschodem a Zachodem“. Plan ten spotkał się z chłodnym przyjęciem ze strony amerykańskiego sekretarza stanu Dean Ruska i stracił od razu na realnej wadze.

Drastyczny przykład brytyjskiej zależności od Ameryki, chwiejnego stosunku do Europy i wreszcie niezbyt budujących metod handlowo-dyplomatycznych dała ostatnio sprawa tzw. ELDO, czyli „Europejskiej Organizacji Rozwoju Wyrzutni“ pocisków przestrzennych, tzw. satelitów, zbyt kosztownych dla państw poszczególnych, poza Stanami Zjednoczonymi i Rosją Sowiecką. ELDO powstało w 1961 r. z inicjatywy brytyjskiej i weszły do organizacji Francja, Niemcy, Włochy oraz inne, mniejsze państwa kontynentalne. Otóż, z tej przez siebie zainicjowanej organizacji rząd brytyjski postanowił niespodziewanie wystąpić, co zostało ogłoszone w dniu 7 czerwca. Tymczasem w ciągu jednej doby stanowisko to uległo zmianie i już 9 czerwca przedstawiciele W. Brytanii na konferencji ELDO w Paryżu udeżyli w całkowicie inny ton i zaczęły się targi o zmniejszenie udziału brytyjskiego w kosztach projektu.

Dlaczego ten błyskawiczny nawrót do oficjalnie porzuconego projektu? Sama prasa londyńska stwierdza, że wystar-

kłopoty brytyjskich socjalistów

czyło niezadowolone amerykańskiego sekretarza stanu Dean Ruska, wyrażone w Brukseli, aby rząd angielski wywrócił nowego koziołka. Korespondenci pism brytyjskich przytaczali też inne przykłady chwiejności gabinetu Wilsona. Po stanowczym domaganiu się przeniesienia kwatery głównej NATO do Londynu, delegacja brytyjska w Brukseli łatwo przyjęła decyzję inną, mianowicie umieszczenia jej na terenie Belgii. Także nie umiała ona przeformować równoczesnego wyprowadzenia biura politycznego Przymierza Atlantyckiego ze stolicy Francji, którą rząd paryski chciał zatrzymać i którą ostatecznie — tymczasem do października — w Paryżu pozostawiono.

DEKADENCJA POLITYKI I KRYTYKA WILSONA

Uległość wobec Stanów Zjednoczonych, wynikająca z ciągłego odwoływania się do finansowej pomocy amerykańskiej, nie powoduje, jak można się domyślać, wzrostu autorytetu W. Brytanii, zwłaszcza wśród społeczeństwa amerykańskiego. Dość silnym echem odbiły się ostatnio wypowiedzi korespondenta „The New York Times“, Antoniego Lewisa, który podkreślając równocześnie swoją, znaną przyjaźń dla Anglii, zwrócił uwagę na niepokojące objawy jej moralno-politycznej dekadencji. Obojętność w stosunku do spraw publicznych, brak szerszego poczucia odpowiedzialności, ambicji narodowej i idealizmu, oto co słusznie zarzuca dzisiejszej Anglii amerykański obserwator. Na tle tych spostrzeżeń ogólnych Lewis wyraża się też krytycznie o Wilsonie, odmawiając mu zdolności do wydobycia ze społeczeństwa brytyjskiego potrzebnej siły moralnej i rozmachu.

Krytyka powyższa znalazła aprobatę również w części opinii brytyjskiej. Socjalistyczny poseł Desmond Donnelly powiedział w swoim okręgu, że polityka brytyjska jest w upadku, że brak jej odpowiedniego przywódcy i że przydał by się Anglii nowy Cromwell. Niedzielnym „Observer“ z 12 czerwca w rubryce najlepszych powieści tygodnia przytoczył następujące zdanie wspomnianego A. Lewisa: „Talent, który kiedyś wyrażał się (u Brytyjczyków) w sztuce rządzenia, dziś kieruje się coraz bardziej w sztukę rysowania sukien“. Jak widać, okres zachwytów nad Wilsonem, niespostrzeżenie minął i należy już do przeszłości. Ostatnio, zmniejszyła spe-

cialnie jego popularność sprawa strajku marynarzy w stosunku do której wykazał, jak dotąd, chwiejność i bezradność. Otrzymał pełnomocnictwa do zarządzeń wyjątkowych, ale z nich dotychczas nie skorzystał, określił strajk jako sprzeczny z interesem narodowym, ale nie umiał z tego stwierdzenia wysnuć należytych konsekwencji. W rezultacie, strajk się ciągnie podkopując funta, do którego ratowania przyłącza się nawet, zwalczany poza tym stale ze strony angielskiej, prez. de Gaulle, a Wilson nie umie wskazać drogi wyjścia. Wszystko razem obniża autorytet rządu socjalistycznego na wewnątrz i W. Brytanii w polityce międzynarodowej.

PRZECIW KOMU CZYSTKA W CHINACH?

Kryzys w komunistycznej partii chińskiej — według głosów prasy — coraz przybiera na sile, ale wciąż nie jest jasne, o co w istocie chodzi. Partia ma dwa główne problemy: konflikt z komunistami sowieckimi i sprawę sukcesji po Mao Tse-tungu, którego zły stan zdrowia zdaje się nie ulegać wątpliwości. Kto jest jednak przeciw komu, jaka grupa i do czego zmierzająca, przeciw jakiej i do czego innego zmierzającej walczy, tego zachodni komentatorzy, jak dotąd, nie zdołali ustalić. Wszystko dzieje się w imię Mao Tse-tunga i pod hasłami walki z „rewizjonistami“, ale co kryje się za tą fasadą nikt jeszcze przekonywująco nie objaśnił.

W tej chwili głównym i najaktualniejszym zagadnieniem jest dymisja burmistrza Pekinu i sekretarza stołecznej organizacji partyjnej, zarazem jednego z najwplywowszych członków Politbiura partii chińskiej, Peng-Czena. Był on burmistrzem stolicy Chin od roku 1951, pełnił kiedyś funkcję sekretarza generalnego Narodowego Kongresu Ludowego czyli „parlamentu“ Chińskiej Republiki i zalicza się do czołowych teoretyków partyjnych. Traktować jego dymisję, jako wyraz walki z „rewizjonistami“ czy kołami sprzyjającymi porozumieniu z partią sowiecką jest trudno, ponieważ właśnie Peng-Czen był skrajnym wrogiem „rewizjonizmu“. Zaznaczył się kiedyś ostrymi wystąpieniami przeciw Chruszczowowi, głównie mu na Kremlu kozłowi ofiarnemu ataków Pekinu i stale napadał na Moskwę.

O co więc chodzi? Za najbardziej prawdopodobne uważa się, że usunięcie

Peng-Czena jest fragmentem personalnej rozgrywki między klikami, przygotowującymi się do sukcesji po Mao Tse-tungu. Nie znaczy to, że burmistrz Pekinu był uważany za kandydata na następcę, ale z pewnością w walce o to następstwo miał odegrać wybitną rolę. Niezależnie od jego dużej roli osobistej w Politbiurze trzeba pamiętać, że w przełomowych chwilach, zwłaszcza państw totalnych, władza nad stolicą jest często rozstrzygającą. Po śmierci Stalina Beria przede wszystkim obsadził wojskami NKWD Moskwę. Dlatego też usunięcie Peng-Czena może być rozumiane jako wstęp do poważniejszych rozgrywek wewnętrznych w Chińskiej Republice Ludowej, na skutek spodziewanego odejścia Mao, czy też z jakichś innych powodów.

WZROST WPLYWÓW ARMII

Jako czołowych rywali w pekińskiej walce o władzę wymienia się ministra obrony, marszałka Lin-Piao, premiera Czu En-laia i rywalizującego z nim jakoby sekretarza generalnego komitetu centralnego partii (Mao jest przewodniczącym) Teng Hsiao-pinga. Ten ostatni najwięcej rzekomo skorzystał na dymisji Peng-Czena, ponieważ podporządkował sobie stołeczną organizację partyjną. W ogóle, miał on obsadzić swoimi ludźmi wiele stanowisk, korzystając z częstych podróży zagranicznych Czu En-laia, który też ostatnio dlatego powstrzymał się od zapowiedzianego wyjazdu do Rumunii, gdzie — jak donoszono — miał też spotkać się z Breżniewem. Inni przywódcy, którzy są brani pod uwagę w rozważaniach nad pekińskim kryzysem, to szef sztabu generała Lo Dziu-czyng i prezydent Chińskiej Republiki Ludowej Lin Szao-czy, ale chyba w roli czyjegoś figuranta.

Po dymisji Peng-Czena doniesiono z Pekinu o nowym jaskrawym fakcie czystki, tym razem w prasie. Zostały jakoby usunięte redakcje dwu dzienników stołecznych i jednego miesięcznika, mianowicie „Dziennika Pekiniego“, „Pekinskich Wiadomości Wieczornych“ oraz periodyka „Linia Frontu“. Jako przyczynę podaje się również rzekomo „rewizjonistyczny“ kierunek tych pism, za co były już od kilku tygodni atakowane przez inne organy. Korespondenci zachodni wywodzą tę prasową czystkę od dymisji poprzedniego ministra obrony jeszcze sprzed siedmiu laty. Chodzi o marszałka Peng Teh-huai, który

MAJ 1966 roku przyniósł znamienne wydarzenie: w nowym rządzie Finlandii zasiedli trzej komuniści. Weszli do rządu po raz pierwszy od roku 1948. Co więcej, jest to pierwszy w wolnej części Europy rząd z udziałem komunistów, również od 18 lat.

Zrozumiałe są głosy niepokoju w świecie wolnym. Czyżby Finlandia znalazła się po 18 latach znowu na śliskiej drodze? Czy grozi nowa era „frontów ludowych”? „Czy nie mamy tu do czynienia z sukcesem Moskwy?”

W Warszawie „Trybuna Ludu” z radością stwierdziła, że „Nowa koalicja rządowa w Finlandii jest jeszcze jednym dowodem rozpadania się muru izolacji komunistów”. W jakiej mierze świat komunistyczny ma powody do radości?

Aby ocenić zwrot w Finlandii, trzeba przypomnieć tło tych wydarzeń. Okaże się, że sukces Moskwy jest dość problematyczny. Wprawdzie komuniści weszli do rządu, ale rząd, w którym uczestniczą jest w gruncie rzeczy niezbyt korzystny z sowieckiego punktu widzenia. I kto wie, w ogólnym bilansie nowy rząd świadczyć może raczej o zmniejszeniu wpływów Moskwy na politykę wewnętrzną Finlandii, niż o ich wzroście.

1948

Od szeregu lat Finowie odczuwają boleśnie ingerencję Moskwy do ich spraw wewnętrznych. Niewątpliwie presja sowiecka była niezbyt widoczna. W porównaniu z innymi krajami, sąsiadującymi z ZSRR, Finlandia korzystała i korzysta z pełni swobód demokratycznych. Ma system parlamentarny, wielopartyjny, ma całkowitą wolność prasy, zgromadzeń, opinii. Jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdyby Polska cieszyła się taką wolnością!

PRZEGLĄD POLITYKI

(dokończenie)

został usunięty w 1959 r. za rzekome tendencje do wyrównania sporu z komunistami sowieckimi. Ostatnio w pismach, które uległy czystce prowadzono jakoby kampanię za rehabilitacją usuniętego ministra, znajdującego się podobno w więzieniu.

Zdaniem niektórych komentatorów, czynnikiem rozstrzygającym w bieżącym kryzysie są koła partyjno-wojskowe, których głową jest marszałek Lin-Piao a organem „Dziennik Armii Wyzwolenia”. Koła te jakoby stoją najbliżej Mao Tse-tunga i mają największe szanse opanowania sytuacji.

Z. S.

ALEKSANDER BREGMAN

FINLANDIA:

Ale dla Finów obraz miał swoje cienie. Przez długie lata uważali, że respekt Moskwy dla ich politycznej niepodległości nie jest dostateczny.

W 1948 r. komuniści zostali usunięci z rządu. Prez. Paasikivi, nie dbając o reakcje Moskwy, wyciągnął konsekwencje z faktu, że komunistyczny minister spraw wewnętrznych Leino „przekształcił policję bezpieczeństwa w zamaskowaną siłę uderzeniową swojej partii”; po prostu wprowadził masowo komunistów w jej szeregi, tak, aby w odpowiedniej chwili móc zagarnąć władzę, według wzorów z Pragi czeskiej.

Moskwa przełknęła tę porażkę; nie tylko, że nie podjęła próby narzucenia Finlandii rządów komunistycznych z zewnątrz czy od wewnątrz, ale nawet nie usiłowała wymóc wzięcia komunistów z powrotem do rządu. Niemniej jednak nie przestała mieszać się do spraw wewnętrznych Finlandii.

W szczególności postanowiła ona nie dopuścić do władzy socjaldemokratów, przynajmniej tak długo, dopóki nie znikną ze sceny politycy socjalistyczni, których uznała za swoich wrogów i umieściła na czarnej liście. Kreml stanął na stanowisku, że Finlandia mogą rządzić tylko ci, których uważa za życzyliwych wobec ZSRR, przy czym oczywiście on sam ma o tym decydować.

Wyobraźmy sobie, że w Polsce też powstał po wojnie system demokratyczny i wielopartyjny, i że w wyniku wolnych wyborów zasiedli w Sejmie posłowie reprezentujący pół tuzina partii, z których najsilniejszymi są ludowcy, socjaliści i komuniści. Wyobraźmy sobie dalej — choć to nie łatwo — że rządzi Polską koalicja chłopsko-robotnicza z udziałem także innych partii, ale bez komunistów. I że w pewnej chwili Moskwa daje do zrozumienia, że uważa tylko Stronictwo Ludowe St. Mikołajczyka za strawne, i że stosunki polsko-sowieckie będą możliwe, jeśli PPS zostanie z rządu usunięta, bo w oczach Kremla jej przywódca, to wrogowie ZSRR.

Tak bowiem wyglądała sytuacja w Finlandii, gdzie najsilniejszymi stronnictwami byli stale agrariusze i socjaliści, a także komuniści, (którzy co prawda w Polsce z pewnością nie uzyskali by w wolnych wyborach tyle głosów). Przywódców agrariuszy, z prez. Kekkonem na czele, Moskwa uważała od lat za przyjaciół, a długoletnich przywódców socjalistycznych — za wrogów.

W interesie Finlandii leżało zawsze, by krajem rządziła koalicja obejmująca obie te partie. Gdy jedna lub druga jest w opozycji, trudno jest rządzić Finlandią. Ale to Moskwę nie obchodziło.

1958

Do kryzysu doszło w grudniu 1958 r. Jeszcze po kilku latach wspomnienie o tym wydarzeniu, ciążyło na całym życiu politycznym kraju. Gdy byłem w Finlandii w 1963 roku, jeden z czołowych dziennikarzy fińskich powiedział mi: „Rosjanie wymusili zmianę naszego gabinetu. To jest niedopuszczalne. To naruszenie naszej suwerenności”.

W grudniu 1958 roku był u władzy od trzech miesięcy rząd koalicyjny, pod przewodnictwem socjalisty Fagersolma. Moskwa postanowiła wymusić usunięcie socjalistów z rządu. Oczywiście nie zażądała tego wprost. Na to nawet w czasach stalinowskich nie mogła sobie w stosunkach z Finlandią pozwolić. Ale też nie było to potrzebne.

Najsilniejszą bronią Kremla wobec Finlandii był nacisk gospodarczy. Choć Finlandia handluje przeważnie z Zachodem, jednak jej gospodarka jest także zależna od ZSRR. Aby spłacić odškodowania, które Rosja wymusiła w traktacie pokojowym, Finlandia musiała rozbudować swój przemysł maszynowy i stoczniowy, który i po zakończeniu spłaty odškodowań pracuje głównie dla Rosji. Wystarczy więc, by Moskwa nagle unieważniła wszelkie zamówienia dla tego przemysłu, aby Finlandii groził ciężki kryzys i bezrobocie.

To właśnie Sowiety uczyniły w 1958. Zawiesiły zamówienia na statki, wstrzymały rokowania handlowe itd. Rezultatem było rozlecenie się koalicji, upadek rządu Fagerholma i objęcie władzy przez inną koalicję już bez udziału „wyklętych” socjalistów. Moskwa, w pełni zadowolona, zaraz wznowiła zamówienia...

8 LAT W OPOZYCJI

Przez osiem lat socjaliści byli w opozycji. Ciężała na nich, a w szczególności na czterech ich przywódcach, sowiecka „ekskomunika”.

Trzeba wszakże dodać, że zdaniem wielu Finów sowiecka czarna lista nie byłaby wcale groźna, i że socjaliści wcale nie musieli być odsunięci od władzy, gdyby nie to, że przywódca agrariuszy Kekkonen posługiwał się „kłąt-

WĄTPLIWI SUKCES MOSKWY

wą" sowiecką dla swoich własnych celów partyjnych. Bardzo mu odpowiadała sytuacja, w której uchodził ze jedynej polityka, mogącej zapewnić Finlandii dobre stosunki z Sowietami.

Niejednokrotnie bardzo ułatwiało mu to sytuację, jak w 1962 r., gdy zadeklarowana wyraźnie opozycja Moskwy skłoniła jego kontrkandydata w wyborach prezydenckich p. Honkē do wycofania się, dzięki czemu Kekkōnen pozostał jedynym kandydatem.

Często słyszałem od Finów: „Nie powinniśmy ulegać presji sowieckiej. Rosjanie to realści. Gdyby się przekonali, że nie boimy się ich gróźb, i że jesteśmy zdecydowani ignorować ich czarną listę, to pogodziliby się z tym. Byłoby napewno lepiej, gdyby socjaliści byli w rządzie“.

Dlatego też wielu Finów miało przez lata żal do prezydenta. Wprawdzie wszystkie stronnictwa, łącznie z socjalistami, uznawały jego linię polityczną, tj. dążenie do zachowania możliwie najlepszych stosunków z Rosją, przy utrzymaniu oczywiście pełnej neutralności, to jednak zarzucano Kekkōnenowi zbytnią uległość wobec Moskwy. Zwłaszcza brano mu za złe, posługiwaniu się straszakiem sowieckim dla osiągnięcia własnych celów partyjnych i trzymania przeciwników socjalistycznych z dala od władzy. Niektórzy Finowie odnosili się też podejrzliwie do jego tak częstych wizyt w Sowietach, zwłaszcza za czasów Chruszczowa. Słyszało się ironiczne powiedzenie: „Gdyby w 1948 był u władzy Kekkōnen, a nie Paasikivi, to kto wie, czy nie zostalibyśmy Kekkōstowacją...“

CZĘŚCIOWY SUKCES

Szantaż „czarnej listy“ nie był daremny. Chcąc pozbyć się veta sowieckiego, trzymającego ich zdala od władzy, socjaliści fińscy poszli na pewne ustępstwa.

Na zjeździe partii w 1963 r. nastąpiły duże zmiany w kierownictwie partii. Najbardziej zniechęcony przez Rosjan polityk fiński, b. premier Tanner, nieprzejednany wróg komunizmu i imperializmu sowieckiego, nie kandydował ponownie na przewodniczącego partii. Wycofał się spowodowany podeszłym wiekiem: miał wówczas 82 lata. Rozmawiając z nim w tym czasie, nie miałem wrażenia, by nie czuł się na siłach dalej kierować partią; umarł dopiero w trzy lata później. Raczej ustąpił, aby ułatwić partii powrót do władzy.

Drugi na czarnej liście, Leskinen, przypadł w wyborach do władz partii i nie zdołał także przeprowadzić swego kandydata na następcę Tannera. Nowym prezesem został wówczas R. Paasio, przez Moskwę pozostawiony w spokoju. To on teraz stanął na czele rządu.

Ale nie była to kapitulacja socjalistów wobec Moskwy. Dwaj pozostali z „czarnej listy“ politycy, pozostali na swoich stanowiskach: Lindblom jest do tej pory wiceprezesem partii, a Pitsinki jej sekretarzem generalnym.

Powstawało pytanie, jak zareaguje Moskwa? Powiedział mi: „niedługo nowy prezes też się znajdzie na czarnej liście, bo Rosjanie chcą mieć na czele partii ludzi całkowicie uległych, a takich wśród nas nie znajduję“. Rzeczywiście, sługusów Rosjanie wśród socjaldemokratów nie znaleźli. Niemniej jednak byli na tyle ostrożni, by czekać na rozwój wydarzeń i nie angażować się przeciw nowemu kierownictwu partii.

Co więcej, nawet tak zniechęcony Leskinen, po ustąpieniu Tannera, wróg nr. 1, przestał być atakowany. Wystarczyło, że publicznie zapewnił o popieraniu polityki Kekkōnena i dążeniu do przyjaznych stosunków z ZSRR, by stosunek do niego uległ zmianie. Ba, w 1966 r. był już w swym charakterze dyrektora agencji podróży, organizującej wycieczki do ZSRR, podejmowany w Moskwie. A przecież jego postawa nie uległa zmianie.

AKT PRZEKORY

Momentem zwrotnym były wybory w marcu 1966, które przyniosły triumf socjaldemokratów. Z 38 miejsc w dawnym parlamencie podskoczyli na 55 w 200-osobowym parlamencie, wysuwając się na pierwsze miejsce. Agrariusze, którzy zmienili nazwę na stronnictwo centrum, aby podkreślić, że nie są tylko partią chłopską, spadli na drugie miejsce, zdobywając 49 miejsc zamiast 53. Demokratyczny Związek Narodu Fińskiego, pod którą to pięknie brzmiącą nazwą kryją się komuniści, którzy w Finlandii wołają przywdziewać maskę demokratyczno-patriotyczną spadli z drugiego miejsca na trzecie, zdobywając 41 mandatów zamiast 47.

Nie ulega wątpliwości, że wyborcy fińscy głosowali na socjaldemokrację, aby zadokumentować, że są zdecydowani nie ulegać naciskom z zewnątrz. Skoro Moskwa przez lata sprzeciwiała się

rzędom socjalistycznym, to wyborcy chcieli jej pokazać, że właśnie socjaldemokratom powierzą władzę. Był to akt przekory, demonstracja ducha niezależności.

Jasne było, że socjaliści obejmą władzę nawet, gdyby Moskwa próbowała temu przeciwdziałać. W tych warunkach Kreml wołał nie próbować. Niektórzy sądzą, że w zamian za poniesienie sprzeciwu wobec rządów socjalistycznych Rosjanie domagali się udziału komunistów w rządzie. Nie jest to wykluczone, ale też nie jest pewne, czy trzeba było nacisków Rosji, aby inne stronnictwa porzuciły zasadę, wedle której komuniści do rządu wpuszczają nie należy.

Gdyby powstała koalicja odpowiadająca życzeniom sowieckim, to zapewne byłaby to koalicja ograniczona do socjalistów, komunistów i małego ugrupowania rozłamowców socjalistycznych. W tym wypadku bowiem komuniści mieliby więcej tek i ich wpływ byłby niepomiarnie większy. Ale takiej koalicji socjaliści nie chcieli, woleli szerszą koalicję, obejmującą również partię Centrum. Jeśli rokowania o stworzenie nowego rządu trwały parę tygodni, to dlatego, że ta partia miała ochotę przejść do opozycji i nie brać odpowiedzialności za rządy w okresie dużych trudności gospodarczych.

Oczywiście istniała możliwość koalicji takiej, jak w 1958 roku, tj. socjalistów i partii Centrum, ewentualnie z udziałem mniejszych ugrupowań prawicowych, a bez komunistów. Odpowiadałoby to bardziej wielu politykom fińskim, głęboko nieufnym wobec partii komunistycznej.

MAŁE RYZYKO

Jednakże przewidując, że rząd zmuszony będzie do podjęcia różnych niełatwych i niepopularnych decyzji, politycy obu głównych ugrupowań woleli, by komuniści ponosili za nie współodpowiedzialność. A jednocześnie uważali, że mogą dać tę satysfakcję Moskwie bez podejmowania zbytniego ryzyka.

Ostatecznie komuniści uzyskali tylko trzy miejsca w rządzie na ogólną liczbę 15-stu i nie mają żadnej kluczowej teki. W przeciwnieństwie do 1948 roku, kiedy mieli w ręku ministerstwo spraw wewnętrznych, teraz mają tylko tekę spraw socjalnych, a ponadto stanowiska zastępców ministrów: finansów i komunikacji. Nie są w stanie psocić. Inne partie będą im stale patrzyły na ręce, pilnując, by komuniści respektowali zasady demokracji i nie próbowali sięgać po władzę. W razie czego, nie nie będą

Dokończenie na str. 64)

WIMBLEDON I WEMBLEY

GDY po niniejszym podwójnym numerze „Orla Białego“ za miesiąc czerwiec i lipiec wyjdzie następny w sierpniu, będziemy już po nieoficjalnych światowych mistrzostwach tenisowych na Wimbledonie, rozpoczynających się 20 czerwca i będziemy także po oficjalnych piłkarskich mistrzostwach świata. O pierwszych nie będę pisał. Mają one wprawdzie swoją bardzo specjalną publiczność, przede wszystkim młodzież, w obliczu jednakże piłkarskich mistrzostw świata są imprezą drugorzędną. M.in. dlatego, że w tym roku żadnych nowych gwiazd na kortach nie zobaczymy i jest ostatecznie rzeczą obojętną, kto będzie nieoficjalnym mistrzem świata w grze pojedynczej panów czy pań, lub w grze podwójnej panów, pań i w grze mieszanej. Na kortach hasać będą ci sami, nieco już starszawi panowie i te same zawodniczki, które znamy od lat, więc po co się nimi przejmować?

Jeśli zaś chodzi o Anglików, to z całą pewnością w konkurencjach męskich nie odegrają żadnej roli, pewne szanse natomiast mają Anglicy w konkurencjach kobiecych, gdzie nie najmłodsza Ann Jones, zdobywszy w tym roku mistrzostwa Włoch i Francji, może a nawet winna, jeśli zachowa obecną doskonałą formę, sprawić wiele kłopotu chodzącej Marii Buenos, najbardziej eleganckiej, w sobie lekkości gry i finezji i silnej Australijczyce, Margaret Smith. Obydwie zawodniczki były już mistrzami Wimbledonu. Czy zdoła jednakże tytuł mistrzowski zdobyć Ann Jones?

Natomiast z dreszczem oczekujemy na dzień 11 lipca, gdy rozpoczyna się pierwsze spotkanie piłkarskie. A tym pierwszym spotkaniem będzie mecz Anglia—Urugwaj. Dla Anglii będzie to prawdziwy chrzest bojowy i mecz będzie miał decydujące znaczenie.

Ale nie ten mecz jest oczywiście najważniejszy. Największe zainteresowanie w pierwszej fazie turnieju o piłkarskie mistrzostwo świata towarzyszyć będzie rozgrywkom eliminacyjnym w grupie trzeciej, w której znajduje się Brazylia, dwukrotny (i ostatni) mistrz świata. Brazylia ma w swej grupie takie konkurencje jak Bułgaria z którą spotyka się 12 lipca, następnie Węgry i Portugalia. Wszyscy trzej przeciwnicy należą do dobrej klasy międzynarodowej. Jeśli pierwsze miejsce w tej grupie nie ulega wątpliwości — winna je zająć Brazylia, to najcięższe walki toczyć się będą o drugie miejsce, gdyż zajęcie pierwszego i drugiego miejsca kwalifikuje do wejścia do ćwierćfinału.

Nie odważam się stawiać tu żadnego horoskopu, choć życzyłbym właśnie Węgrom, by zajęły to cenne, drugie miejsce. Z wielu względów, a może najbardziej dlatego, iż właśnie Węgry przed 15-tu mniej więcej laty wprowadzili do piłki nożnej nowy styl, efektowną technikę i taktykę, które jeszcze po dziś dzień są szczytem marzeń wszystkich drużyn piłkarskich na całym świecie. To były niewatpliwie czasy legendarne piłki nożnej, które wspominać można z zębem w oku. Tak jak się wspomina ów przestawny mecz z 1954 r. Węgry—Anglia (6:3) na Wembley, w którym Anglia przegrała w najpiękniejszym meczu, jaki kiedykolwiek widziałem w życiu. Lecz po tamtej drużynie węgierskiej pozostała już tylko legenda, gdyż z graczy nie zostało już śladu: albo wyemigrowali po powstaniu węgierskim, jak Puskas do Hiszpanii, albo też przeszli na zasłużoną emeryturę. Obecna drużyna węgierska nie stanowi już tej klasy, mimo, iż szczyt się dwoma wielkimi asami: Ferenc Bene'm z klubu Ujpest Dosza — świetny środek ataku i Florian Albert'em — z Ferencvaros — równie wspaniałym środkiem ataku.

Pisząc jednakże o piłkarskich mistrzostwach świata nasuwają się kibicowi różne uwagi. Przede wszystkim na temat samej organizacji mistrzostw. Nie mam wątpliwości, że organizacja nie nawali i będzie wzorowa. Na szczęście Anglicy nie robią z tych mistrzostw, czegoś wyjątkowego i nadzwyczajnego, mimo iż oddano im je właśnie dla uczczenia ojczysty piłki nożnej (jest nią Anglia). I oddano słusznie. Lecz Anglicy, to nie Niemcy, którzy z Olimpiady berlińskiej w 1936 r. zrobili jedną wielką, niesmaczną propagandę polityczną. Gdyby Niemcom oddano piłkarskie mistrzostwa świata, byliby znowu pękali z zarozumiałości i pychy. Co do tego nie mam żadnej wątpliwości.

Ale w Anglii? Rząd angielski ograniczył się do subwencji w wysokości £.500.000, a Angielski Związek Piłkarski dołożył ze swojej kasy £.150.000 na rozbudowę boisk, ilości miejsc, komunikacji telefonicznej dla prasy na stadionach w Middlesborough, Sunderland, Liverpool, Manchester, Sheffield, Birmingham i Wembley. I to wszystko. Poza tym nie ma śladu szalu — na szczęście, choć z punktu widzenia czysto sportowego zainteresowanie jest oczywiście olbrzymie. Żywią bowiem Anglicy cichą nadzieję (raczej niestosną), że a nuż, a może jednak Puchar Rimeta (od nazwiska znanego prze-

wodniczącego Francuskiego Związku Piłki Nożnej i inicjatora światowych mistrzostw piłkarskich) pozostanie w Anglii. Gdyby tak się stało, to chyba w całej Brazylii ogłoszonaby została wielotygodniowa żałoba narodowa...

Do końca marca br. sprzedano już biletów na sumę miliona funtów. Suma ogólna wszystkich biletów do sprzedaży wynosi 1,750.000 funtów. Jest absolutnym pewnikiem, że wszystkie bilety zostaną sprzedane i że setki tysięcy osób oglądać będzie 32 mecze o mistrzostwo świata. Po sprzedaniu wszystkich biletów organizatorzy zarabiają ok. 250.000 funtów z tytułu różnych transmisji telewizyjnych i radiowych. A transmisje te obejmują cały niemal świat. Oczywiście najwięcej na Europę, z Polską włącznie, gdzie pod naciskiem prasy sportowej znaleziono kilkadziesiąt tysięcy dolarów na opłacenie kosztów transmisji.

Anglicy oddają wiele godzin na transmisję telewizyjną dla swojej publiczności. Wywołało to nawet protesty ze strony żon, które skarżyły się, że w czasie mistrzostw mężowie będą siedzieli bez przerwy w godzinach wieczornych przy telewizji i nie będą mieli czasu na zmywanie talerzy, a panie pozabawione będą swoich ulubionych programów kryminalnych. Poza jednak telewizją pisać będą o mistrzostwach dziennikarze z całego świata. Przybędzie ich coś 1.500. Pracować będą w warunkach luksusowych, co im się przecież należy.

Już kończę, choć wciąż jeszcze pozostaje otwarte pytanie: kto będzie mistrzem świata? przeprowadzona niedawno w jednym z londyńskich klubów sportowych ankieta dała taką kolejność miejsc: Brazylia, Anglia, Argentyna, Włochy, Rosja Sowiecka, Niemcy Zach., Portugalia, Hiszpania, Węgry i Francja — by ograniczyć się tylko do pierwszych dziesięciu miejsc.

Nie będę poprawiał tej kolejki gdyż do finału, a więc do dnia 30 lipca już niedaleko.

Myślę, że nie powtórzy się w czasie finału scena, jaka miała miejsce na jakimś meczu w Hiszpanii, choć drużyna hiszpańska będzie w lipcu mocniejsza, niż kiedykolwiek, gdyż zwolnienie z klubów włoskich na mistrzostwo świata otrzymali trzej tak świetni piłkarze jak: Luis del Sol (Juventus) i Joaquín Peiro i Luis Suarez (Inter-Milan).

Otóż w jakiejś miejscowości hiszpańskiej toczył się mecz o znaczeniu lokalnym pomiędzy Juvenil Puen Areas a

(Dokończenie na str. 7)

O „Bombach i myszach“ zdań kilka

Na półkach księgarń emigracyjnych znalazła się niedawno książka, jakiej na pewno jeszcze nikt nie napisał przedtem. Ani wydanie, skromne choć estetyczne, ani nazwisko autorki i tytuł tomu niczym nie zapowiadają treści. Ba, nawet pierwsze stronicie, jeżeli ktoś nie przeczyta dobrze streszczającego wstępu Pawła Zaremby, nie zdradzają tematu. Takiej książki, powtarzam, jeszcze nikt nie napisał. Ta książka jest, nie waham się tego powiedzieć, wydaniem.

Prawda. Temat nie nowy. Prawda. Literacko-artystycznie są lepiej napisane książki o tej tematyce. Więc?... Nie, proszę państwa, ale takiej książki nikt jeszcze nie napisał!

Szereg książek o życiu Żydów w Polsce pod okupacją niemiecką wydano w języku angielskim. Rynek szeroki i chłonny, dający satysfakcję pisarską i wcale pokaźny dochód. Książki te zdobyły uznanie krytyki i cieszą się popularnością, wydaje mi się głównie dlatego, że są tendencyjne w ujemnym ujęciu wspólbymotów Polaków. Mnie osobiście takie stawianie sprawy ani nie złości, ani też nie pobudza do protestów czy nienawiści. Zawsze — ilekroć oglądam telewizję z programem obrazującym, jak Anglicy prześladowali i tłumili wszelkie ruchy wolnościowe Irlandczyków — zazdroszczę Anglikom, że mogą to robić, że są narodem dojrzałym i stać ich na prawdę z przeszłości. I myślę zwykle, kiedy i czy na naszej telewizji zobaczymy nasz polski antysemityzm, nasze „panowanie“ nad Ukraincami i innymi tzw. mniejszościami narodowymi. Oby te czasy jak najszybciej nadeszły. Bo czyż nie głęboko

ludzkie, by nie powiedzieć: chrześcijańskie jest mówienie o krzywdzie, wyrządzonej skrzywdzonemu? Zrobić to może człowiek lub naród już niezdolny do ponownych krzywd.

Nie chcę się bawić w proroka, ale wróżę książce „Bomby i myszy“, że zostanie przeczytana, właściwie zrozumiana i oceniona. Żydzi nasi nie tylko, że żyli u nas najbiedniej, że najmniejszej wycierpieli i najwięcej ich tam zginęło — mają to nieszczęście, że nawet u współrodaków, Żydów z innych państw są braćmi niższymi. Gdyby tak Mina Tomkiewicz pochodziła np. z Holandii, Danii, nawet z Francji albo Niemiec — o, z książki tej zrobiono by bestsellera, a i na pewno film, bo treść, obrazy, aż się proszą o kamerę. Wzrusza mnie ta książka, nie tylko swoim humanizmem, ludzkim traktowaniem ludzi, sprawiedliwym odważaniem ludzkich wad, win, zalet i bohaterstwa — wzrusza przede wszystkim, że została napisana po polsku.

Wspomniałem: obrazy. Tak! Tak plastycznie, tak przekonywująco obrazować potrafi tylko dobry majster prozy. Autorce udaje się wielokrotnie związać czytającego z treścią książki. Ale nie na tym koniec. Potrafi wprowadzić go do Ghetta, każe mu przypiąć gwiazdę czy opaskę, uczy go chytrości i przebiegłości, zmusza razem z najbiedniejszymi z biednych cierpieć głód i poniewierkę. I o dziwo! bez cienia jakiegóż planowanej zemsty na przyszłość. Pokazuje ludzi. Mimo prześladowania, mimo co godzinnej śmierci — ciągle mamy przed oczyma ludzi. Ludzi nie przepotęzną chęcią życia. Czyż nie wzruszający, a zarazem jakżeż głęboko ludzki jest ten oto fragmencik. Ile trzeba przejść, jak nisko się znaleźć, by to wszystko zrozumieć umiejętnie rozłożyć dla ratowania życia?

„Nata jest w dobrym humorze, bo przed chwilą odebrała od modystki zgrabną futrzaną czapeczkę, w której się doskonale czuje. Rozgląda się na prawo i na lewo (patrz na jej czapeczkę!) kokieterijnie poprawia włosy, żeby się nie rozwiewały... Naprzeciw niej dwóch żandarmów... Usuwa się pod mur, żeby przepuścić żandarmów, zgodnie z nakazem ustępowania z drogi panom świata... Krzyk zalewa ją potokiem cuchnących pomyj, zatapia ją w błocie wstydu i strachu. Wie, że musi skakać, bez chwili namysłu więc wdrapuje się na swoich francuskich obcasach na zwal brudnego twardego śniegu. Au-

tomatycznie. Przeszła szczęśliwie i niby nie, idzie dalej...“

To życie rozszarpane, deptane i niszczone przy najdrobniejszej okazji i sprzyjającej chwili łączy się, zespala, otrząsa i na normalną drogę stara się wdrzeć. Schodzi się jak kręgi na wodzie. I z książką tej poznajemy dopiero współobywateli Żydów. Poznajemy ich i poznajemy siebie. O, nie! Ta książka nie tylko wyszła po to, by zachować pamięć tych, którzy zginęli bez winy. Ona została napisana i wydana, po to przede wszystkim, by się nad nią pochylić, jak nad źródłem dla zaczerpnienia wiary, miłości i braterstwa. W książce tej żyje i żyć będzie Getto warszawskie, najwierniejszy dokument naszych czasów, który zmusza głośno do zastanowienia się, co dalej? Jaką drogę trzeba wybrać, by ludzie po ludzku szli w przyszłość.

„Nowy atak komunistów na wolność religii“

Pod tym tytułem rzymskie „Il Tempo“ — a reszta prasy niekomunistycznej robi to samo — daje relację o gwałcie dokonany pod Lublinem przez policję reżymową na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej. Dziennik rzymski opisuje scenę zatrzymania samochodu wracającego z obrazem do Częstochowy, obdarca go z kwiatów i baldachimem i pokrycia ciężkim futerałem. Policja skierowawszy samochód na drogi boczne, towarzyszyła mu prawie pod samą Częstochowę; ledwie się wycofała, pisze dziennik, obraz został przez tłumy wiernych oswobodzony z futerału i triumfalnie odprowadzony na Jasną Górę. „Do czego dąży, co chce osiągnąć reżym komunistyczny poprzez tak oczywistą obrazę kultu Matki Boskiej, tak drogiego wszystkim Polakom?“

Dziennik odpowiada słowami protestu ks. Kardynała Prymasa Wyszyńskiego w dzień święta Bożego Ciała po czym pisze od siebie: „Te dramatyczne przejścia raz jeszcze wykazały w sposób jaskrawy, jak dalece nieustępliwa jest wobec komunizmu stara wiara katolicka Polaków. Wykazały też, że komunizm, nie tylko jako doktryna, ale także jako praktyka państwowa, jest zupełnie obcy Zachodowi. Jest to wirus, który może się wślizgnąć w organizm społeczeństwa w okresach kryzysu, po klęskach wojennych i w czasie bezładu, ale który zostaje obcy temu organizmowi: i skoro to tylko możliwe, organizm się go pozbywa i wyrzuca“. „Kardynał Wyszyński ze swoją nadludzką siłą woli by nie ustąpić z niczego, co jest istotne, symbolizuje dziś tę wiarę, która jest wyrazem wszystkiego najlepszego, co Europa miała do powiedzenia w ciągu swej długiej historii“. „Oto fakty, oto nauki, które idą ku nam z Europy wschodniej, z tych ziem, gdzie komunizm nie potrzebuje się kamuflować, by dojść do władzy, lecz będąc już u władzy, wykazuje ją w całej pełni swego właściwego powołania“.

WIMBLEDON I WEMBLEY

(dokończenie ze str. 6)

F.C. Concha. Nagle, gdy drużyna lokalna zaczęła przegrywać, na boisko wpadło stado byków. Uciekli zawodnicy i uciekła przerażona publiczność. Mecz został przerwany. Co się stało? jakiś młody fanatyk przyznał się później, że z żalu iż jego ulubienicy przegrywali, wpuścił na boisko stado byków, by uchronić swoją drużynę od dalszej klęski.

Może to bajka, może i prawda. Na szczęście, taka przygoda nie grozi nam w Anglii, choć i tu kibice klubowi potrafią się skandalicznie zachowywać. Ale to jest już inne zagadnienie.

Paweł Hęciak

O CZYM MARZY DZIEWCZYNA...

To było dawno. I w innym świecie. W Teatrze Letnim w Warszawie szła pocieszna komedia muzyczna „Podwójna buchalteria“ w adaptacji Tuwima i Hemara z Grossówną, Dymszą, Hnydzińskim i Chmurkowskim. Pamiętam, Dymśza śpiewał:

„...Ach, posada, ach, posada,
własne biurko i szuflada.
Już bym dawno miał posadę
gdymbym z Pierwszej był Brygady...“

Za podobny przytyk w „demokratycznej“ Polskiej Republice Ludowej aktor wyleciałby w 24 godziny. Równie szybko jak ów spiker z radia, który ośmielił się nazwać papieża Ojcem świętym. W Warszawie wiedzą o kogo chodzi. Wylano biedaka z miejsca, chociaż „przejęczył“ się już po „odwilży“ październikowej.

Ale z owego cacka w drewnianej budzie w Ogrodzie Saskim zapamiętałem jeszcze rzewny refren:

„...Czy to nie wszystko jedno
co komu się po nocy śni,
o czym marzy maleńka panienka na
prowincji
przez długie dni...“

Nie wiem o czym na wielkim świecie marzą maleńkie panienki na prowincji lecz przeczuwam, że w Norwegii, szczególnie w okręgach północnych, tam gdzie diabeł mówi dobranoc, dziewczęta z miasteczek, wiosek i osad rybackich marzą o rozkosznej przygodzie, którą dobry los może im przynieść w lecie. Tą przygodą jest wybór na lokalną królową i związane z nim przywileje.

Dlaczego w lecie, a nie np. w karnawale? Czy panienki na prowincji wyglądają ładniej w lecie niż w zimie? Nie, nie dlatego. Po prostu z tego powodu, że nadejście lata w Norwegii nie jest tylko zwyczajną zmianą pory roku. Przesilenie wiosny, jesieni czy zimy przechodzi bez większego wrażenia. Znowu mniej kartek w kalendarzu, znowu inne niebo, inna pogoda, temperatura i to wszystko. Jak co roku. Parę dni temu było ciepło, od teraz będzie zimniej i ciemniej — lub na odwrót — i każdy się do tego przyzwyczaił.

Z latem jest inaczej. Lato w ufnym pojęciu Norwega, dziedziczonym przez pokolenia od czasów pogańskich, to kulminacyjny moment, to zenit, to apogeum związków światła nad ciemnością, ciepła nad zimnem. Wilkołaki, upiory, straszdyła górskie i

leśne, wszystko co brzydkie, co złe i dokuczliwe znika razem z nocą, z śniegiem, z wyciem mroźnych wiatrów. Wszędzie jak okiem sięgnąć robi się prawie nagle słonecznie, zielono i długo, długo jasno. W czerwcu można na dworze, późną „nocą“, nawlec nitkę na najcieńszą igłę. Radość splywa z oczu, piosenka rozchyła wargi, uśmiech rozjaśnia twarz. Nawet w południowej Norwegii noc polarna wyciska swoje deprymujące piętno na ludziach, coś dopiero na północy, od Bodö do Kirkenes, gdzie głucha noc przyginała człowieka przez sześć miesięcy w roku. Ten sam Norweg potrafi być inny w zimie, a nie do poznania inny w lecie. Zmienia nie tylko tryb życia, lecz także usposobienie. W zimie odgradza się z wzajemnością, w domu czy w pracy, nawet od najbliższych i barykadą grymasów, uprzedzeń, podejrzeń, zrzędzeń, co chwila coś go denerwuje, co chwila złości — a niech tylko nadejdzie lato momentalnie staje się jednym z najmiłszych ludzi pod słońcem. Zwłaszcza pod swoim słońcem, tym, które w Oslo np. grzeje od 6 rano do 10 wieczór, a w takim Bodö, 900 km. na północ i jeszcze wyżej, w ogóle nie zachodzi. Bodaj w żadnym innym kraju nie czeka się na lato z takim niecierpliwym utęsknieniem jak w Norwegii — a gdy wreszcie, często ociągając się i drocząc, zawita ono — nigdzie nie wykorzystuje się słońca, powietrza, wody, aromatu lasów i gór z taką zachłannością, z taką gorliwością, żeby tylko jak najmniej uronić z tego odzyskanego skarbu. Powiadają sami Norwedzy z przekąsem, że w ich kraju dziewięć miesięcy panuje zima a trzy miesiące jest zimno.. Lekka przesada w obu kierunkach. Zima nie dręczy dłużej niż sześć miesięcy, a chłodna temperatura nie przekracza czterech. W pozostałych dwóch jest wcale znośnie, a pamiętam i takie lata, w których ciepota sięgała powyżej 30 stopni w cieniu. Tylko, że niemiłosiernie krótko trwa raj letni, czerwiec, lipiec — sierpień zalicza się tu już do jesieni, już chłodniej, już noc widzialnie wydłuża się. Choć od 2-3 lat coś się przekreśliło.

Sierpień bywa cieplejszy i pogodniejszy niż lipiec. W zeszłym roku można się było kąpać na plażach w południowej Norwegii jeszcze w pierwszych dniach września.

Ale wracajmy do dziewcząt. Wybór królowych jest jednym z wielu przejawów radości i zadowolenia ludności Norwegii z nastania lata. Monarchinie wybiera się w całym kraju, ale najgęściej od Trondheimu na północ. Lokalne ambicje odgrywają dużą rolę. Zabawa zaczyna się, zależnie od okolicy, wcześniej w czerwcu i trwa do połowy lipca. Mamy teraz drugą połowę czerwca, a naliczyłem już 37 lokalnych królowych. Wszystkie jak ulał, ładne, zgrabne, raczej wysokie, oczywiście blondynki, w wieku od 17 do 20 lat. Niżej nie wolno, wyżej nie uchodzi.

Co daje wybór na królową? Rzućmy zasłonę na uczucia, kipiące w serduszkach wybranej i powiedzmy, że pieniądze on nie przynosi, biżuterii także nie, przynajmniej bardzo rzadko, ale dary w postaci sukienek, pantofelków, bielizny mogą być wcale hojne. Również takie drobiazgi jak torbka, parasolka, kapelusik itp. Ale bodaj najmiłszą nagrodą jest dla tych dziewcząt możliwość odbycia dalekiej podróży, coprawda nie aż na Wyspy Kanaryjskie czy gdzieś tam, lecz w granicach Skandynawii. Z reguły bowiem zabiera się każdą królową, grupując je zazwyczaj po kilka, na zwiedzenie, połączone z różnymi przyjęciami i zabawami, trzech stolic skandynawskich. Oslo, Sztokholm i Kopenhaga. Ponieważ wybory odbywają się tylko w mniejszych miasteczkach oraz w okręgach wiejskich lub rybackich rzadko która królowa miała przedtem okazję być w dużym mieście, a już na pewno nie zna żadnej stolicy. To uroczyste monotonne życie na głuchej prowincji jest dla tych panierek upragnionym, a niezapomnianym przeżyciem.

Po paru tygodniach królowe wracają z podróży, rozpoczynają przerwaną naukę lub pracę, opowiadają długo co widziały, kogo poznały, ile przeżyły — i wsłuchane czujnie w ich zwierzenia inne maleńkie panienki na prowincji zaczynają marzyć o tym samym.

EUROPA SIĘ SPÓŹNIA

JESZCZE pięć lat temu prognozy na temat scalania się gospodarczego Europy zrzeszonej w tak zwanej EWG brzmiały niezmiernie optymistycznie. Przewidywano łatwy poród poszczególnych klauzul Traktatu Rzymskiego wraz ze skomplikowaną sprawą utworzenia wspólnego rynku dla płodów rolnych sześciu państw. Ten moment stanowił od początku kość niezgody między Francją a Niemcami Zachodnimi i Niemcy Zachodnie starały się wytłumaczyć Francji, że jeżeli one ustąpiły Paryżowi, gdy chodzi o rynek wytworów przemysłowych, to Paryż powinien okazać większe zrozumienie dla sytuacji niemieckich płodów rolnych.

Nadzieje, które przyświecały jeszcze Wspólnemu Rynkowi pięć lat temu, zostały w dużej mierze rozwiane w roku ubiegłym, a jeszcze bardziej w roku 1966. Uznaje się, że Wspólny Rynek utrzyma się, albowiem wszystkie państwa członkowskie czerpią korzyści z tej organizacji — a może największe właśnie Francja, która ostatnio stara się utrudniać procesy rozwojowe Wspólnego Rynku. Równocześnie jednak przyjmuje się dzisiaj jako pewnik, że proces rozbudowy i postępu EWG będzie zwolniony i że to co można by osiągnąć do roku 1970 przeciągnie się o wiele dłużej w czasie i że integracja gospodarcza nie przyniesie integracji politycznej, o czym marzyli założyciele Wspólnego Rynku jak Robert Schumann i de Gasperi.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego najświatlejsza myśl, która zakiełkowała w powojennej Europie, nie zdołała się zrealizować w pełni? Czy warunki okazały się niekorzystne, czy też zabrakło odpowiedniego wysiłku dobrej woli wśród uczestników tego porozumienia gospodarczego — czy też po prostu cofnięto się przed ryzykiem i wrócono na tory dawno przebrzmiałych, ale wygodnych hasel? Czy działał tutaj brak odwagi, który sparaliżował tyle najlepszych posunięć politycznych nie tylko w Europie i doprowadził do tego, że

zamiast odrobiny zmysłu ryzyka wpadliśmy w kryzys, który doprowadził nas do katastrofy?*)

Historia ruchu integracji Europy jest zbyt długa, aby można ją nawet naszkicować w krótkim artykule publicystycznym. Warto jednak przypomnieć, że Traktat Wersalski, który zasadniczo tworzył — jakby dzisiaj powiedziano — „Europę ojczyzn“, otwierał w Lidze Narodów możliwości daleko idącego porozumienia między państwami, a politycy tacy jak Briand nie byli obcy idei jakiejś europejskiej federacji. Istniały śmiałe umysły w całej Europie, które przewidywały rozprężenie się kontynentu w orgii nacjonalizmów, jeżeli nie poskromi się ich od razu i nie postawi się Europie nowego a pociągającego celu. Jednakże hasła te, które może najzwyczajniej i najtrafniej skodyfikował Coudenhove-Calergi trafiły na nieodpowiednią chwilę. Jest to los wielu znakomitych idei politycznych, że rzucane są w nieodpowiednich momentach, a zatem wtedy, kiedy opinia publiczna nie potrafi ich jeszcze zrozumieć i przyswoić ich sobie. Taką los spotkał ideę Pan-Europy Coudenhove-Calergi, który przypuszczałnie przez fakt, że łączył w sobie tyle elementów rasowych całej Europy, odczuwał tak dotkliwie potrzebę połączenia skłóconego kontynentu.

Idea pan-europejska przepadła w latach międzywojnia, albowiem nie trafiła na odpowiedni moment psychologiczny. Także inne pomysły, tworzenia większych całości — nie zrealizowały się, albo były właściwie tylko cieniem tego czym być mogły: by wspomnieć chociażby tzw. Małą Ententę. Prąd historii szedł przeciwko federacjom i wielkim całościom, a dowodem na to było rozbitcie Austrii, na której miejsce nie powołano żadnej federacji naddunajskiej. Od takich prób odżegnywali się z lękiem Cześć, a

entuzjastów takiej federacji nie było ani na Węgrzech, ani w Rumunii, chociaż przypuszczalnie Rumunią w osobach takich polityków jak Titulescu nie najgorzej oceniała niebezpieczeństwo poważnienia Europy. Polskie plany tak zwanego międzymorza, a zatem jakiegoś wału ochronnego od państw Bałtyckich po Rumunię również zawisły w powietrzu.

Powodem tych wszystkich klęsk był nacjonalizm, który musiał się wyżyć nie tylko w Europie Wschodniej, która po latach dorwała się do niepodległości, ale i w Europie Środkowej, a nawet na południu, we Włoszech. Nacjonalizm okazał się dalej siłą żywą, a stał się potęgą groźną w momencie gdy rozpętał się w Niemczech, w największym członie europejskim.

W czasie drugiej wojny poświęcono wiele myśli pytaniu, co będzie po zakończonym konflikcie? W myśleniu wolnego świata dominowały niewątpliwie różne czynniki — własnego niejako chowu i cudzego aportu. Jeżeli chodzi o własny chów, to nie można zaprzeczyć, że dominujący wpływ wywarła idea amerykańska, która powiadała, że tak jak Ameryka stała się potęgą o najwyższym poziomie życia na świecie, tak Europa stanie się nową siłą, większą niż dawniej, jeżeli zmieni się w jeden kontynent zawierający olbrzymi potencjał geniuszu ludzkiego, zdolności pracy, uzdolnień technicznych i naukowych i oczywiście bogactw naturalnych. Amerykanie rozumowali na zasadzie historycznego doświadczenia; ich rozumowanie było proste i logiczne, może chwilami zbyt proste, ale nie sposób mu odmówić szerokości wizji i zasadniczej słuszności: racji doświadczenia. Amerykanie wychodzili z założenia, że i oni znali spory wewnętrzny i wojnę domową, która jest przecież najgorszą formą wojny, jeżeli chodzi o zażartość i krwiożerczość. A jednak ułożyli stosunki między Północą a Południem i powołał do życia jeden naród, a raczej kleją po dziś dzień rozmaite rasy i narody,

*) Vide reakcja Francji i Anglii na podeptanie Locarna przez Hitlera w r. 1936.

kóre poza Murzynami — nie czują się pokrzywdzone. Ameryka uważała, że nacjonalizm w Europie już się wypalił przeszedłszy przez barbarzyńską próbę Hitlera i że Hitler narzuci swoim terrorem Europie przekonanie, że nie tylko należy odżegnać się raz na zawsze od nacjonalizmu, ale że Europa jest pewną całością. Amerykanie traktowali okupację niemiecką Europy jako pewnego rodzaju próbę ogniową, w której wytworzy się rychło jedność europejska.

W myśleniu amerykańskim działała oczywiście idea tzw. „wielkiego obszaru“. Amerykanie są przyzwyczajeni do wielkich przestrzeni, a dominującym wrażeniem jakie każdy turysta odnosi w Ameryce, to przede wszystkim swoboda przestrzeni. Amerykanie uważali, że będzie łatwiej handlować z Europą jako z jednym, zespolonym rynkiem, i że również i politycznie stosunki z tak ogromnym kontynentem ułożą się łatwiej i rozsądniej.

Myśl amerykańska nie była osamotniona: przeciwnie, można w niej widzieć odblask tendencji, która zaczęła kiełkować w całym świecie. Przecież Hitler wystartował swoją wojnę pod hasłem tzw. „wielkiego obszaru“ czyli **Grossraum** i chciał poddać swojej władzy całą Europę Wschodnią, wraz z Rosją, aż po Władystok. Uważał on że wtedy dopiero będzie on konkurentem W. Brytanii i że wtedy ziści się marzenie o nowym imperium niemieckim. Nie on jeden miał takie sny o wielkiej zorganizowanej przestrzeni, sny o potędze: Japonia wystartowała swoją wojnę pod hasłem stworzenia tak zwanej „sfery współpomysłności“ i zapędziła się aż niemal po wybrzeża Australii i po granice Indii w pogoni za iluzją, której nigdy zrealizować nie potrafiła.

Z tego krótkiego zestawienia widać, że idea organizowania wielkiej przestrzeni była w powietrzu w czasie drugiej wojny i po drugiej wojnie. I dlatego entuzjaści federacji europejskiej byli przekonani, że stworzony został samymi wypadkami pewien klimat psychologiczny, który umożliwia szybkie powstanie zjednoczonej Europy. Z jednej strony stawiali oni na wypalenie się nacjonalizmów na skutek zbrodni Hitlera — z drugiej strony na poczucie

wspólnoty doli, która wytworzyła się w Europie przez wspólne cierpienia i przez fakt istniejącej wędrowności ludów, ludzi pędzonych z różnych państw do warsztatów pracy w Niemczech, albo gnębionych i katowanych w obozach koncentracyjnych 3-ej Rzeszy.

Te rozumowania były logiczne i mocno ufundowane w rzeczywistości dnia. Emigracyjni politycy debatowali w Londynie, który był wówczas miastem bardziej międzynarodowym niż dzisiaj w roku 1966, o federacjach i porozumieniach. Polacy i Czesi przygotowywali tego rodzaju porozumienie; państwa takie jak Belgia i Holandia rozmawiały na podobne tematy i zdawało się, że dawne spory będą pogrzebane i że Europa zjednoczy się w bardzo szybkim okresie czasu. Można by zebrać niezłą kolekcję książek i broszur, które wychodziły w Londynie w czasie wojny i apelowały o zrozumienie dla idei federacyjnej, jako jedynej idei, która wróży Europie nie tylko przeżycie, ale rozkwit jakiego jeszcze nie pamiętała.**)

W. Brytania zachęcała rządy wygnańcze do snucia takich idei i zdawało się przez czas jakiś, że wejdzie na kontynent europejski wraz z Ameryką, nie tylko jako wyswobodziciel, ale jako siewca nowej idei: federacyjnej. Wypowiedzi premiera Churchilla w czasie wojny zorientowane były wyraźnie na federację europejską, a te swoje tezy powtórzył on po wojnie w swoich głośnych przemówieniach w Zurychu i w Hadze. Ale wówczas było już nieco za późno na propagowanie idei, która została przetrącona niejako w swoim kregosłupie na skutek zagarnięcia Europy Wschodniej przez wojska i system sowiecki.

Ten podział Europy na wolną i niewolną wystąpił jaskrawo w roku 1948 kiedy to znakomity amerykański mąż stanu generał Marshall rzucił jedną z najświetlejszych myśli dziejów udzielenia pomocy rozbitej

**) Przypomnieć należy wydawnictwo pod nazwą „Solidarity“ wydawane przez francuskiego historyka Jacques Méta-dier, gdzie znalazły się prace pisarzy i publicystów z całej Europy, m. in. prace polskie, jak Adama Pragera i moja własna. W roku 1943 pojawiła się moja obszerna broszura pt. „Creative Peace: An Integration of Europe a Necessity“.

Europie. Jan Masaryk imieniem Czechosłowacji podchwycił tę ideę i szybko ją zarzucił skoro został wezwany przez Stalina na Kreml, gdzie powiedziano mu bez osłonek, że Rosja nie zgodzi się nigdy na objęcie Europy Wschodniej Planem Marshalla. Tak więc, w roku 1948 dokonał się ostateczny i faktyczny podział Europy na dwie części — przy czym chodziło nie tylko o wolność polityczną i ustrojową, która znikła w Polsce i w Czechosłowacji właśnie w roku 1948, ale i o rozwój gospodarczy. Tak jak przed wojną, mówiono o Polsce „A“ i „B“, tak teraz stworzono Europę „A“ i „B“, przy czym Europa „A“ dokonała istnych cudów nie tylko dzięki zastrzykowi amerykańskiemu, ale dzięki inicjatywie prywatnej i wzajemnej pomocy, jakie niosły sobie zrujnowane kraje.

Uznano po cichu, że podział na Europę wolną i niewolną zanosi się na długo, chociaż był moment w polityce amerykańskiej w okresie rządów Eisenhowera i Dullesa, kiedy wywieszono hasło tzw. „liberation“. Hasło to okazało się czekiem bez pokrycia w momencie powstania węgierskiego w roku 1956, chociaż Ameryka może usprawiedliwiać się tym, iż akurat wtedy w najmniej odpowiedniej chwili, dwa państwa Zachodu: Francja i Anglia wdały się w konflikt z Nasserem; w konflikt, którego wygrać nie mogły, zważywszy słabe stawki żołnierza rzucone do walki i niedocenicenie momentu moralnego, a zatem oburzenia, jakie akcja przeciw Nasserowi wywołała w świecie, — czyli wzbudziła podejrzenia odrodzenia się imperializmu najgorszej próby. Nasser można było złamać rękoma samego Izraela, dając odpowiednią broń jego armii, która zapędziła się bardzo daleko i byłaby wkroczyła do Kairu, gdyby nie wątpliwa pomoc nadmiernie reklamowanych oddziałów francuskich i angielskich. Bez względu jednak jakie tłumaczenia Eisenhower i Dulles przedstawiają historii, faktem jest, że powstanie węgierskie przekreśliło nadzieje nie tylko na interwencję Zachodu w sprawy Europy Wschodniej, ale i na wolę ryzyka przeciwstawienia się Rosji. Panuje dzisiaj powszechne przekonanie, że odpowiednie postawienie się Rosji w roku 1956 przez Zachód nie dopuściło

by do wmarszu wojsk sowieckich do Budapesztu.

Europa została przecięta na dwie połowy i można powiedzieć, że od dycha w pełni tylko jednym płucem, a że na drugie jej płuco założono odmę, do której wschodnia połać Europy przyzwyczajają się z konieczności. Faktem pozostaje dalej, że Europa Zachodnia jest Europą kadłubową i że nie potrafi rozwinąć swoich sił tak, jak wtedy gdyby była Europą zjednoczoną. Niesposób również zaprzeczyć, że dynamika Europy Zachodniej nie jest często tak duża, jak Europy Wschodniej i że brak odpowiedniego obiegu krwi skazuje Europę Zachodnią na ukrytą anemię w permanencji.

A jednak zdawało się przez kilka lat, że kadłubowa Europa Zachodnia wykrystalizuje nowe formy życia i że Traktat Rzymski stanie się osią krystalizacyjną, wokół której skupi się naprzód sześć państw, a potem coraz więcej. Powodzenie Wspólnego Rynku było tak wielkie, że organizacja konkurencyjna jaką była i jest tak zwana EFTA, czyli Europejskie Zrzeszenie Wolnego Handlu, zdawała się być przez chwilę bliska rozpadnięcia. Organizację tę powołała do życia Anglia aby zaszachować EWG i wykazać, że na Wspólnym Rynku nie kończą się możliwości gospodarcze Europy. Jest to organizacja o charakterze peryferyjnym, gdyż należą do niej kraje nie wchodzące w skład trzonu Europy jak Austria, Portugalia, Dania czy Norwegia. Nawet i dzisiaj z tej 7-mki, niezadowolonej z wysokich dopłat celnych wprowadzonych przez rząd Wilsona jesienią roku ubiegłego, ubycie chce Austrii i Danii. Najbardziej usilne są zabiegi Austrii, jeśli chodzi o chęć wejścia do EWG.

Ale właśnie powołanie do życia EFTY uwypukliło tragedię Europy Zachodniej, która nie mogła pogodzić się co do podziału ról. Jak już wspominałem, nadzieje na przewodnictwo Anglii w Europie powojennej były bardzo silne w roku 1945 i to nie tylko dlatego, że Anglia była najbardziej „zaszanowana“ z nie-neutralnych państw europejskich objętych wojną — zatem nie przeszła okupacji, a jeżeli chodzi o zniszczenia wojenne, to nie były one ani w części tak poważne jak zniszczenia wojenne Włoch, Francji, a może i Holandii — a

powtórę reprezentowała ona kraje, gdzie rządziło dalej prawo i gdzie panował ład społeczny, całkowicie zmaćony i zrujnowany w Europie. Anglia miała zatem wszystkie szanse, aby stać się **leaderem** nowej Europy, a popularność W. Brytanii na kontynencie nigdy nie stała tak wysoko jak w latach 1945-48. Przywództwo Europy trzeba było po prostu podjąć, a niektóre kraje jak na przykład Niemcy Zachodnie, podzielone jeszcze na strefy okupacyjne, były w pełni gotowe na przyjęcie rządów typu międzynarodowego. Idea integracji Europy Zachodniej stała się najbardziej popularnym zaważaniem w Niemczech Zachodnich, gdzie nacjonalizm wypalił się namiętnie i doszczętnie, a gdzie pustka, powstała po upadku religii Hitlera, była wprost przerażająca:

Anglia nie zdecydowała się na przewodnictwo w Europie, obawiając się ryzyka, na które zdobyła się w roku 1940, kiedy to Churchill zaproponował Francji federację, a właściwie unię obu państw — ale zaproponował ją **in extremis**, kiedy Francja konała już pod ciosami niemieckimi. Ta oferta nie została powtórzona po wojnie i dlatego wywołało to wrażenie, że oferta Churchilla nie była głęboko przemyślanym aktem wizji politycznej, ale do-raznym manewrem, mającym na celu wyciągnięcie Francji z odmetu katastrofy i niedopuszczenie by poszła ona na jakieś porozumienie z Niemcami.

Anglia odrzuciła szansę, którą wielu uważa za historyczną i nie zarzykowała przywództwa Europy — chociażby w oparciu o Francję w rodzaju duumwiratu, który miałby w sobie więcej siły atrakcyjnej niż prymat samej Anglii. Wielokrotnie Anglia dawała do zrozumienia, że chce się zbliżyć do kontynentu, tworząc tak zwaną „Unię Zachodnio Europejską“, czyli WEU, potem przystępując do organizacji Rady Europy w Strassburgu i tak dalej. Jednakże nie zdobyła się ona na krok przyłączenia się do EWG w momencie, kiedy mogła to zrobić bez większych oporów i trudności i zgłosiła się na członka tej organizacji w momencie, kiedy de Gaulle powziął już swoje podejrzenia co do tego, że „Anglia będzie w Europie agentem i reprezentantem interesów Stanów Zjednoczonych“.

Narada Macmillan-Kennedy na Bermudach utwierdziła de Gaulle'a w tym mniemaniu, a fakt, że Amerykanie o wiele gorzej niż Anglicy zachęcali Europę Zachodnią do połączenia się, wydał się de Gaulle'owi wysoce podejrzanym. W jego odruchach i decyzjach odegrała niewątpliwie rolę osobista animozja do rozmaitych anglosaskich polityków, z którymi stykał się w czasie wojny i chęć odegrania się na nich obecnie i pokazania im, że Francja jest równorzędnym mocarstwem. De Gaulle forsował przez czas jakiś idee tak zwanego dyktoriału trzech mocarstw, a zatem USA, Anglii i Francji, ale idea ta spaliła na panewce, a to co zostało z niej to tak zwany „specjalny stosunek“ między Waszyngtonem a Londynem. Widząc, że nic nie wskóra na tym odcinku, de Gaulle postanowił stworzyć swój specjalny stosunek z Niemcami i zawarł pakt, który nosi miano „Elizejskiego“. To miano nie było najszczęśliwiej dobrane, gdyż możnaby powiedzieć, że dzisiaj po szlaku tego traktatu przechadzają się już tylko duchy dawnego Adenauera i dawnego de Gaulle'a.

De Gaulle zrozumiał niewątpliwie, że przywództwo Europy mogą wziąć w swoje ręce — po rezygnacji Anglii — tylko dwa państwa, a zatem Francja i Niemcy. Wiedział, że trzeba rolę Francji podbudować jak najbardziej, aby Paryż zaćmił Bonn i aby obawa przed zbyt potężnymi Niemcami została zneutralizowana. Jednakże myśl swoją, w zasadzie słuszną i logiczną, zwichnął bardzo szybko. Chciał on bowiem namówić NRF na całkowite sprzęgnięcie się z Francją, a zatem wyrzeczenie się militarnej ochrony amerykańskiej. Niemcy nie poszły na te pokusy i trudno im się dziwić, jeśli każdy realista polityczny i militarny przypomniał sobie rok 1916, kiedy Francja została zdławiona przez Niemcy gdyby nie pomoc brytyjska, a potem amerykańska, oraz rok 1944 kiedy Francja została oswojona przez wojska sojusznicze, w których 75% stanowili Amerykanie, a drobną tylko część tak zwani „Wolni Francuzi“.

De Gaulle'owi nie udało się przeciągnięcie NRF na swoją stronę i doszedł do wniosku, że Niemcy chciałyby siedzieć na dwóch stołkach: amerykańskim i europejskim. De Gaulle odrzuca tę możliwość,

gdyż niewiadomo dlaczego uważa, że Ameryka prędzej czy później wyprowadzi się z Europy. Robi istotnie wszystko w tym celu, by zrazić Amerykę do Europy i wywołać falę izolacjonizmu w USA, który może jak najgorzej odbić się na losach naszego kontynentu.

Angielska próba przywództwa europejskiego nie została podjęta. Francuska w oparciu o NRF — załamała się. Pozostała struktura EWG, która rozbudowuje się niezmiernie powoli, a Francja mimo, że zachowuje się lepiej w roku 1966 niż przed wyborami na Prezydenta Francji, chciałyby wyciągnąć maksymalne korzyści ze Wspólnego Rynku, ale angażować się minimalnie. Obawia się ona wyraźnie supremacji gospodarczej Niemiec i wie dobrze, że jej przemysł jest stosunkowo staromodny w zestawieniu z przemysłem NRF. Ten lęk i obawa prowadzą de Gaulle'a do szukania innych wyjść — a wyjścia te wiodą na Wschód, który zgotował Francji w jej dziejach niejedną klęskę przez fałszywą ocenę sytuacji.

Francja przed pierwszą wojną inwestowała w Rosję carską ponad 5 miliardów franków w złocie, co jest sumą trudną nawet do przetłumaczenia na dzisiejsze stosunki. Jej sieć sojuszków z Europą Wschodnią po Wersalu była pomysłem zasadniczo słusznym, ale zabrakło **underwritera**, czy gwarantora w postaci Lloydsa angielskiego. Obecne kontakty Francji z Europą Wschodnią ograniczają się raczej do gestów i do demonstracji, aniżeli do realnych tak zwanych „dealerów“. Nie jest rzeczą przypadkową, że FIAT włoski będzie budował fabrykę w Rosji, a nie na przykład na Węgrzech i że Renault francuski także kieruje się ku Rosji, a nie na przykład ku Rumunii. Innymi słowy, Francja faworyzuje, jeżeli chodzi o inwestycje i kapitał — Rosję, ofiarowując ludom Europy Wschodniej retorykę i wymianę kulturalną.

Francja wyraźnie daje do zrozumienia, że chce mieć swobodę ruchów i że chce przełamać impas, jaki powstał w Europie od czasów tak zwanej „zimnej wojny“. Jest to chęć chwalebna i należałoby jej przyklasnąć, gdyby Francja prowadziła swoją politykę z pozycji siły prawdziwej, a nie fikcyjnej. Istotna siła Francji leżała w rozbudowaniu i we

wzmocnieniu EWG i przekształceniu tego tworu gospodarczego, który tak kolosalnie podniósł stopę życiową Francji — na solidarny twór polityczny. Sfederowana Europa Zachodnia pod wodzą Francji byłaby nielada potęgą, któraby działała rozkruszająco na NRD i na wszystkie państwa sowieckiej sfery wpływów. Francja, która wylamuje się z EWG i która próbuje samodzielnej polityki z pominięciem USA — to polityka fantazji i urojeń. Rosja bowiem pragnie przede wszystkim i głównie ugody z Ameryką, a jeżeli przyjmie de Gaulle'a z rozrzuconą gościnnością akurat pod koniec czerwca, kiedy to Napoleon ruszył na podbój Moskwy (a Hitler splagiatował go, ruszając na Rosję dokładnie w tym samym dniu co Napoleon), to nie znaczy bynajmniej jeszcze aby Rosja traktowała de Gaulle'a jako równego sobie partnera.

To wszystko opóźnia niestety scalenie się Europy i komasację zachodniej połaci kontynentu, który w przeciągu niewielu lat zdobył zamożność o jakiej się dawniej mu nie śniło. Jest to bowiem zamożność mas, a nie jednej tylko czy drugiej warstwy społecznej, jest to otwarcie szans dla milionów, które dawniej pozbawione były możliwości wykształcenia i oświaty, jest to przepływ siły roboczej, która kieruje się z krajów biedniejszych do bogatszych. Gdyby EWG zrealizowała swoje cele, to wówczas powstałby obszar wyzwolony od cel, o potencjale, który by sięgał potencjału Ameryki. Tego rodzaju potęga stałaby się magnesem dla Europy „B“ i nadzieją, że gdy z czasem rozluźnią się drakońskie stosunki w Rosji i kraje sowieckiej sfery wpływów zaczną kroczyć ostrożnie zrazu ale stale po własnych torach — zamożność zawita również i do tych państw, które sparaliżowane są bezsensowną doktryną ekonomiczną i nieprzemyślaną centralizacją, poświęcającą wszystko na oltarzu dawno zbankrutowanej teorii.

Niestety, komasacja Europy Zachodniej opóźnia się, a co gorsza, Francja, kraj chlubiący się ideą postępu, stara się dzisiaj cofnąć

wskazówki zegara.***). Oczywiście, żaden układ rzeczy nie jest wieczny i de Gaulle, który skończył 75 lat, nie może liczyć na to, iż jego kadencja władzy potrwa jeszcze lat dziesięć. Ale nawet trzy lata dalszych rządów de Gaulle'a i szykan pod adresem EWG, niedopuszczania do rozwoju Wspólnego Rynku i krępowania naturalnego pędu do łączenia się i scalania, do znoszenia granic i swobodnego przepływu idei, ludzi i produktów, to oczywista strata czasu którego Europa nie ma tak wiele. De Gaulle, który przestraszył się potencjału gospodarczego Niemiec Zachodnich, gra — niestety — coraz bardziej w ręce Niemiec. Jeżeli bowiem Francja usunie się ze sceny europejskiej przez osłabienie swej roli w EWG i jeżeli na tym tle zwycięży w tym kraju duch pewnego izolacjonizmu i neutralizmu, o czym się bardzo wiele ostatnio mówi, to Niemcy automatycznie windują się w górę, zwłaszcza w oczach Ameryki. Garnizon francuski w NRF wynosi 70 tysięcy żołnierza, ale nie znaczy to bynajmniej, by w pewnej chwili — gdy negocjacje o nowy układ załamią się — Niemcy nie wyprosiły tych garnizonów i nie oświadczyły, że zwiększą swoją blisko już pół milionową armię. Ameryka, narażona na ukłucia i szpilki, od Vietnamu po Paryż, może równie zdecydować się na dopuszczenie NRF do nuklearnej strategii NATO, i zastąpienia częściowego Francji — Hiszpanią. Jej bazy militarne w Hiszpanii są dzisiaj bardzo poważne.

Wielka szansa Europy Zachodniej została stracona przez Anglię w latach 1945-48, przez Francję w latach 1960-1965. Jak ułożą się dalej stosunki w Europie, która nie jest już dzisiaj narażona na atak ze Wschodu tak jak za życia Stalina, a potem nawet za rządów Chruszczow — nie wiemy. Nacisk ze Wschodu osłabił, najbardziej krytyczny punkt Europy: Berlin, uspokoił się, duumwirat na Kremlu wygląda na zaprzęg biurokratów, a to wszystko sprawia, że niektóre kraje Europy szukają nowych dróg wyjścia. Ten-

***) Myśli te rozwijam szerzej w artykule pt. „The Mood of Europe, 1966“ w lipcowym numerze londyńskiego „The Quarterly Review“. Oceny sytuacji europejskiej dają w tym czasopiśmie co roku.

Czytaj książkę polską

W P.G.RACH BEZ ZMIAN

W dniu 30 marca br. odbyło się w Warszawie roczne posiedzenie centralnego zarządu związku zawodowego pracowników rolnych. Głównym punktem całodziennych obrad była krytyczna sytuacja w pewnej części Państwowych Gospodarstw Rolnych, którą przedstawił osobiście minister rolnictwa Jagielski.

Jagielski jest jednym z młodszych ministrów i jest ekspertem w sprawach rolnictwa, a jego sprawozdania dotyczące spraw jego resortu, były zawsze obiektywne i pozbawione przesadnego optymizmu, cechującego jego kolegów z innych resortów.

„Trybuna Ludu“ z 31 marca, przyniosła krótkie sprawozdanie z przebiegu obrad. M. in. podano, że powodem „niedociągnięć“ w PGR-ach jest brak koordynacji między planowaną produkcją a możliwościami poszczególnych gospodarstw, a ponadto częste zmiany na stanowiskach dyrektorów, złe warunki mieszkaniowe pracowników oraz niewłaściwy stosunek pomiędzy zarządem gospodarstwa a personelem. Te właśnie ujemne zjawiska spowodowały w niektórych gospodarstwach bałagan; zamiast służyć jako model w produkcji rolnej i w osiągnięciu zysków, wiele z nich przynosi deficyt.

Jednak znacznie lepsze i bardziej szczegółowe sprawozdanie przyniosło w dniu 2 kwietnia, radio warszawskie. Ujawniono wtedy wyraźniej, co minister miał na myśli, gdy mówił o tzw. „trudnych“ PGR-ach, których produkcja jest wciąż niska, a które od wielu lat nie poczyniły żadnych postępów. Wprawdzie radio nie podało, ile jest takich „trudnych“ gospodarstw, przynoszących deficyt, ale ujawniono, może

nieostrożnie, że z ogólnego arealu ziemi uprawnej, należącej do PGR-ów, jeden cały milion hektarów przynosi zbiory znacznie niższe od krajowej przeciętnej, a już znacznie niższe od osiągniętych przez gospodarstwa chłopskie.

Podobnie zła sytuacja panuje w PGR-ach jeśli chodzi o pogłowie bydła. A tu, dla przykładu, minister przytoczył cyfry, z których wynika, że te tzw. „trudne“ gospodarstwa przynoszą tylko 12 do 13 kwintali ziarna z hektara, 100 do 110 kwintali ziemniaków, zaś na 100 hektarów ziemi posiadają tylko 20 do 25 sztuk bydła.

Jagielski poddał również ostrej krytyce niedoświadczonego inspektora PGR-ów, nadzorującego gospodarke (inspektorzy jemu podlegają), odpowiedzialne za ciągłe przenoszenie dyrektorów. W niektórych PGR-ach zmieniono dyrektorów 31 razy, a pierwszą czynnością nowego dyrektora było skasowanie planów i zarządzeń swego poprzednika.

WYMOWA CYFR

Jak wynika z Rocznika statystycznego na rok 1965 (cyfry per 31 grudnia 1964), z końcem 1964 roku było w Polsce ogółem 8,450 PGR-ów, z czego 6,229 typu wyłącznie rolniczego tj. produkujących ziarno zbożowe. Areal zarządzany przez PGR-y wynosił około 2 i pół miliona hektarów.

Od chwili ich założenia, Państwowe Gospodarstwa Rolne, jako jednostki gospodarki państwowej, korzystały zawsze na pierwszym miejscu z przydziału maszyn i innego sprzętu oraz z hojnego przydziału sztucznych nawozów i budulca. Miały służyć jako wzór tzw. rolniczym spółdzielniom produkcyjnym (kolchozom) oraz indywidualnym gospodarstwom chłopskim, miały produkować ziarno siewne najwyższego gatunku i posiadać najwyższy stan pogłowia bydła.

A jak wyglądają wyniki zbiorów i pogłowie bydła, podane przez ministra Jagielskiego w „trudnych“ PGR-ach, w porównaniu ze zbiorami osiągniętymi w gospodarstwach indywidualnych chłopów, wykazują poniżej podane cyfry za rok 1964:

Zbiory ziarna w „trudnych“ w indywid. PGR-ach	gosp.
Cztery zboża	12-13 kwint. z ha 17,2
Ziemniaki	100-110 kwint z ha 169,0
Bydło, sztuk	20-25 na 100 ha 53,0

Jest zatem faktem niezaprzeczalnym, a opartym na cyfrach, podanych przez samego ministra, względnie ogłoszo-

nych w Roczniku statystycznym, że produkcja tych PGR-ów była daleko niższa od tej jaką mogą się poszczycić indywidualne gospodarstwa chłopskie. A jeśli przyjmiemy areal podany przez ministra, tj. jeden milion hektarów, to dochodzimy do wniosku, że ten sam areal, w rękach chłopskich byłby dał państwu rocznie około 350,000 ton zboża, nie mówiąc już o dwukrotnej ilości bydła.

Zwiększona produkcja ziarna zbożowego mogła zatem zapoczątkować zmniejszenie importu zboża w ilości ok. 3 milionów ton rocznie, zaś zwiększenie pogłowia bydła mogło wpłynąć nie tylko na zwiększenie ilości mięsa na rynku krajowym, ale mogło znacznie zwiększyć eksport mięsa i przetworów mięsnych, stanowiących dzisiaj główne źródło dochodu walut zagranicznych z państw kapitalistycznych.

ZIEMIA CHŁOPÓW PRZEKAZANA PGR-OM

Dla uzyskania pełnego obrazu i uzyskania odpowiedzi na pytanie czy np. w okresie od 1950 do 1964, reżim zrozumiał konieczność przeprowadzenia w gospodarce rolnej takich zmian, które byłyby zapobiegły importowi zboża, zamierzamy przytoczyć kilka wypowiedzi odpowiedzialnych za gospodarkę rolną przywódców partii, w odniesieniu do PGR-ów.

Na wstępie należy wspomnieć, że w okresie planu sześcioletniego (1950-55), areal ziemi przydzielony PGR-om powiększył się z 1,5 miliona do blisko 2 milionów hektarów, zaś liczba ich wzrosła z 5,679 do 6,200. Na zwiększenie wpłynęły głównie dwie przyczyny:

1) konfiskata pozostałej jeszcze w rękach kościoła ziemi, na podstawie ustawy z 20 marca 1950 roku oraz

2) bezkompromisowe przeprowadzenie ustawy z 9 lutego 1953 „O pełnym zagospodarowaniu ziemi uprawnej“.

Przytoczona druga ustawa zobowiązała każdego uprawiającego ziemię, do zgłoszenia w ciągu sześciu dni, arealu ziemi, której (właściciel lub dzierżawca), nie był w stanie zagospodarować. Mogli oni odstąpić albo tylko tę część albo nawet całe gospodarstwo za odszkodowaniem. O wysokości odszkodowania, przejęciu i przekazaniu tej ziemi innym osobom fizycznym lub prawnym w formie trzyletniej dzierżawy, decydowały powiatowe rady narodowe.

Za spóźnione zgłoszenie groziła zobowiązanemu kara poprawcza do trzech miesięcy oraz grzywna. Tym zaś, któ-

dencji tej nikt nie ma prawa potępiać — chodzi tylko o to, że inicjatywy europejskie miałyby większy sens i siłę, gdyby podejmowane były zbiorowo i gdyby miały za sobą regwarancję amerykańską. W takich warunkach Europa mogłaby istotnie doprowadzić do przełamania Żelaznej Kurtyny drogą czysto pokojowego nacisku i przykładu dobrobytu i siły. Rozproszone starania i manewry na pewno nie przyczynią się do scalenia Europy, a fakt, że w roku 1966 nie mamy jeszcze sfederowanej Europy Zachodniej uznać należy za fatalne spóźnienie dziejowego zegara.

Zbigniew Grabowski

rzy zdaniem rady narodowej, ziemi żłóśliwie nie uprawiali, groziła kara więzienia do trzech lat oraz grzywna do 10 tysięcy złotych. Sąd mógł również orzec całkowitą konfiskatę gospodarstwa i wydać nakaz, zabraniający chłopu zamieszkania w określonej części kraju na okres do trzech lat, popularnie zwane „deportacje wewnętrzna”. Na podobne kary sądy skazywały również rzemieślników, obwinionych o zaliczanie klientom za wysokich cen i przechowywanie surowców.

Był to okres, kiedy chłopci, wpędzani gwałtem do kolchozów, opuszczali masowo gospodarstwa, szukając zatrudnienia w okręgach przemysłowych. Ich wyjątkowość ziemię rady narodowe przekazywały PGR-om, zwiększając w ten sposób areał i tak już deficytowych gospodarstw państwowych.

WCZEŚNIEJSZE WYNURZENIA

Wynurzenia Jagielskiego o PGR-ach, z końca marca br. nie były nowe. Mówili o nich już znacznie wcześniej: Bierut, Zenon Nowak, Ochab i Gomułka. I tak na drugim zjeździe PZPR, w marcu 1954, Bierut przyznał, że PGR-y nie dały państwu spodziewanych zbiorów, mimo, że pochłonęły na rozbudowę ogromne sumy. A Zenon Nowak, zajmujący dziś jeszcze stanowisko wicepremiera, dodał, że PGR-y nie wywiązały się ani z dostaw zboża, ani nie zwiększyły planowanej ilości bydła rasowego. Ich gospodarka, wołał Nowak, jest zła, dyscyplina pracy poniżej krytyki, a wypadki rozrzutności i bezwstydnego kradzieży są zjawiskiem nagminnym. Do tego koszty produkcji są niewspółmiernie wysokie, a warunki pracy życia robotników są wyraźnie złe.

Paxowskie Słowo Powszechne już 23 lutego, a więc na miesiąc przed zjazdem dorzuciło swoje uwagi mówiąc, iż nie jest wcale tajemnicą, że chłopci śmieją się z tych modelowych gospodarstw, które miały służyć im przykładem, jak uzyskać lepsze zbiory; przynoszą one zbiory niższe od tych, jakie uzyskują indywidualni chłopci.

„Tylko 20 procent PGR-ów przynosi zyski. Pozostałe 80 procent składają się z dwóch grup: takich, które mogą kiedyś przynieść zyski i takich, które nigdy zysków nie przyniosą”.

Taką wiadomość przyniósł komentator radia warszawskiego w dniu 18-go marca 1957 r. A w dniu 25 maja 1957 r. Trybuna Ludu przyniosła sensacyjne wynurzenie Ochaba, zajmującego wtedy stanowisko ministra rolnictwa. Oświadczył on, że PGR-y spowodowały skarbów państwa olbrzymie wydatki w postaci subwencji, które wynosiły: w 1954 — 2,3 miliardy, w 1955 r. — 3,5 miliarda, a w 1956 roku 4,7 miliardów

złotych. Do tego wydatki na budynki na okres 1958 do 1960 obliczono i zaplanowano na 34 miliardy złotych, ale skarb był w stanie wydać na ten cel tylko 4,3 miliarda, z tej prostej przyczyny, że wymaganych funduszy nie posiadał. Ochab dodał, że w jednej trzeciej PGR-ów, personel nie posiada wymaganych do prowadzenia gospodarstw rolnych kwalifikacji.

Wynurzenia Ochaba wymagają jednak pewnego uzupełnienia. Były czasy, bezpośrednio po założeniu PGR-ów, że gospodarstwa państwowe prowadzili ludzie, znający się dobrze na gospodarce rolnej, byli właściciele i zarządcy majątków ziemskich, pozbawionych ziemi na podstawie komunistycznej reformy rolnej. Jednak już począwszy od 1947 roku, rozpoczęła się przeciw tym „hrabiom” nagonka. Ich miejsce zajęli zaufani członkowie partii. M. in. jak doniosła wtedy prasa, dyrektorem jednego z wielkich majątków w województwie koszalińskim był — rzeźnik.

Ale i na szczytach nie było lepiej, bo kolejno ministrami PGR-ów byli: Chełchowski, Dąb-Kocioł, Radkiewicz i Moczar.

A wreszcie o PGR-ach mówił również i Gomułka na 8 Plenum w październiku 1955 r. Zwrócił on wówczas uwagę, komu kraj miał do zawdzięczenia produkcję ziarna i mięsa, która w najkrytyczniejszym czasie uchroniła Polskę od widma głodu. Wspomniał, że wtedy w rękach chłopów było 78,8 procent ziemi uprawnej, w gospodarce kolchozowej (przed rozpadnięciem się kolchozów) było 8,6 procent, a 12,6 procent było w zarządzie PGR-ów. Ale w tym samym czasie chłopci indywidualni dostarczyli państwu 83, kolchozy 7,7, a PGR-y tylko 8,4 procent zboża. Do tego gospodarstwa indywidualne posiadały 91, kolchozy 4, a PGR-y tylko 5 procent ogólnego stanu bydła.

Gomułka ujawnił również, że z jednego hektara ziemi chłopci wygospodarowali 621, kolchozy 517, a PGR-y tylko 393 złotych. Zbiory z hektara, uzyskane w PGR-ach wynosiły 13 kwintali, jednak zbiory ziarna tylko 12,9 kwintala.

Tak mówił Gomułka w 1956 roku, a 10 lat później, minister Jagielski, raz jeszcze potwierdził, że sytuacja w PGR-ach pozostała w zasadzie bez zmian. Mówił on wprawdzie o tzw. „trudnych” gospodarstwach państwowych i o jednym milionie hektarów ziemi uprawnej, która przynosi tylko 12 do 13 kwintali zboża z hektara, (tyle ile w 1955 r.), nie wspomniał jednak, dzięki jakim subwencjom przynoszą lepsze zbiory pozostałe PGR-y. Wiadomo, że w 1965 roku przeciętne zbiory czterech rodzajów ziarna wyniosły 19,2 kwintale z hektara, ale nie ulega wątpliwości, że

i w tym wypadku zasługa należy się indywidualnym chłopom, w których rękach po rozpadnięciu się kolchozów, znajduje się obecnie 87 procent ziemi. Nie należy jednak zapomnieć, że co roku przybywa krajowi przeszło 400 tysięcy ludzi. Toteż w tym stanie rzeczy, przewidywania planistów-optimistów, że import zboża skończy się w 1970 r., są pozbawione wszelkich podstaw. Optymizm byłby wtedy uzasadniony, gdyby jeden milion ziemi uprawnej przeszedł do gospodarki chłopskiej. Tak wprawdzie wyglądały założenia zawarte w manifeście lubelskim. Wspomniano w nim wprawdzie o części obszaru ziemi, którą państwo miało zatrzymać we własnym zarządzie. Nie podano jednak w przybliżeniu procentu tego obszaru i nikt nie mógł przypuszczać, że liczba PGR-ów urośnie do 8 i pół tysiąca.

Jednak konkluzje z referatu Jagielskiego są proste. Jeden milion hektarów ziemi, oddany chłopom, powiększyłby liczbę indywidualnych gospodarstw o 80 tysięcy, a zbiory, tylko z tego obszaru, zagospodarowanego przez chłopów, zmniejszyłyby dzisiejszy import zboża o 12 procent. Zamiast zdobyć się na taką decyzję, doktrynerzy partii, w dalszym ciągu pokrywają deficyty „trudnych” PGR-ów dotacjami ze skarbu państwa i w dalszym ciągu zwiększają import zboża, pocieszając wszystkich, że import skończy się w 1970 roku. Są to jednak plany urojone. Pewnym jest natomiast, że ludność Polski liczyć będzie wtedy przeszło 33 miliony, a prawie pewnym jest również, że import zboża wzrośnie w 1970 roku do 3 i pół miliona ton.

W. Opolski

MILLENNIUM W MARSYLII

Koło S.P.K. Marsylia chcąc uczcić Tysiąclecie Polskiej Chrześcijańskiej, a równocześnie zapoznać Francuzów z jego znaczeniem, wspólnie z kapelanem Koła ks. Lasokiem, urządziło w dniu 1 maja 1966 uroczyste nabożeństwo w kościele św. Karola. Celebrował ks. arcybiskup Marsylii Lallier, który wygłosił piękne kazanie, podnosząc zasługi Kościoła w Polsce, przywiązanie narodu polskiego do wiary katolickiej, wspominając też o ucisku religii przez obecny reżym komunistyczny.

W czasie Mszy św. zaimprovizowany chór polski odśpiewał trzy polskie pieśni religijne, a po Mszy św. „Boże coś Polskę...”. Dziewczeta ubrane w stroje krakowskie rozdawały obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej.

Po nabożeństwie Koło zaprosiło Ks. Arcybiskupa, gości francuskich i wszystkich Polaków na lampkę wina, która zgromadziła około 200 osób. S. H.

W KRAJU O PRZECIWIENSTWACH POKOLEŃ

„Jacy jesteśmy?“ — to cykl audycji Polskiego Radia dyskutujący postawę społeczeństwa wobec aktualnych problemów życia współczesnego. W ramach tego cyklu, w dniu 19 maja br., odbyła się dyskusja zatytułowana: „Czy bohaterowie są zmęczeni?“, w której uczestniczyli redaktorzy: Mieczysław Róg-Świostek, Krzysztof Toeplitz, Alojzy Sroga, który przewodniczył, płk. Zbigniew Załuski i pisarz Wojciech Żukrowski. Głównym przedmiotem dyskusji były przeciwieństwa pokoleń. Najściślej sprecyzował podział płk. Załuski sprowadzając je do trzech grup, „w których 60-latkę i 20-latkę sprzymierzają się przeciwko 40-latkom“. Tłem konfliktu jest stosunek do życia i — jak się wyraził — „wołanie o ideologię, która by prześwieciła wszystkie działania, wszystkie czyny człowieka“. Jak Załuski zapewnia — a nie ma w tym wypadku przyczyny, aby mu nie wierzyć „20-latkę mówią: „My tego potrzebujemy“. A 60-latkę głosz: „Za naszych czasów, to właśnie idea przyświecała naszym działaniom“. Pretensje obu tych grup pokoleniowych są wymierzone przeciwko średniemu pokoleniu 40-latków, któremu zarzucają przyziemność i bezideowość, co Załuski określa „jakimś zamykaniem się w sobie, patrzeniem wewnątrz siebie“.

Pozostali dyskutanci z Polskiego Radia w zasadzie zaakceptowali ten schemat podziału pokoleń, a różniły się między sobą jedynie co do przyczyn, który podział spowodowały, lub reakcji psychologicznych, jakimi próbowali go tłumaczyć.

Warto, tak dyskusję Polskiego Radia, jak i sam podział pokoleń w Polsce omówić nieco dokładniej. Jego konsekwencje wpłynęły, a właściwie, to nawet wpływają na kształtowanie się polskiej rzeczywistości.

KOMUNISTYCZNE UPROSZCZENIA I FAŁSZ

Oczywiście, cała dyskusja w Polskim Radio miała za punkt wyjścia przesłanki wypływające z interesu władzy komunistycznej. Rejestrowała zatem samo zagadnienie; ale pomijała całkowicie konflikt narodu z narzuconą mu z zewnątrz dyktaturą komunistyczną. Spróbuję wyjaśnić na czym to polega.

Płk. Załuski, tłumacząc przyziemność, „zamkniętą w sobie“, postawę średniego pokolenia 40-latków powiedział: „...to właśnie pokolenie, przyziemne pokolenie, które nie mówi o wielkich

ideach, to przecież jest nasze pokolenie, pokolenie, które wygrało wojnę i zbudowało władzę ludową. To jest przecież pokolenie, które dało Polsce setki tysięcy najwspanialszych i najbardziej ideowych ludzi. Jest w tym jakiś paradoks, którego nie potrafię rozstrzygnąć“.

No cóż! — trzeba mu w tym pomóc. Jeśli tylko patrzy się uczciwie, tajemnica tego zjawiska jest do wyjaśnienia dość prosta. Trzeba jednak chcieć ją wyjaśnić, czego rozumem to — Polskie Radio zrobić nie mogło. Załuski mówiąc: „nasze pokolenie“ i identyfikując je z tymi, którzy „budowali władzę ludową“, szczególnie, gdy powołuje się na „setki tysięcy najwspanialszych i najbardziej ideowych ludzi“ — popełnia oczywisty fałsz. Wiadomo przecież — i właściwie nawet komuniści tego nie kwestionują — że PPR, AL i wszystkie ich przybudówki razem wzięte, to w najlepszym wypadku było zaledwie kilkanaście tysięcy osób. A za tym stosunkowo nieliczną grupą, wyobcowaną z narodu i społeczeństwa, która swoją „władzę ludową“ mogła budować jedynie w oparciu o przemoc armii czerwonej i protekcję polityczną Sowietów. Ta garstka — na swój sposób — wojnę wygrała. To fakt. Ale te „setki tysięcy najwspanialszych i najbardziej ideowych ludzi“, jakich dało Polsce obecne pokolenie 40-latków. — wojny za wygraną nie uważało i nie uważa, chociaż czuje się zwycięzcami w wojnie z Hitlerem. A jest tak dlatego, gdyż owoce zwycięstwa nad Niemcami wydarły mu komuniści. W przeświadczeniu tego pokolenia owoce jego trudu i poświęcenia — zagarnęły Sowiety i garstka marionetek z PPR. I tu tkwi przyczyna, dlaczego pokolenie 40-latków „zamyka się w sobie, patrzy wewnątrz siebie“. Choć — bo i to prawda, że pokolenie to — w czym płk. Załuski tym razem ma rację — odbudowywało Polskę po wojnie i ma w tej dziedzinie wielkie osiągnięcia. Ale do tego zagadnienia wróć jeszcze później. Teraz zajmę się innymi wypowiedziami komunistycznej dyskusji.

Wojciech Żukrowski uważa za naturalne, że pokolenie, które „wszystko co miało najlepszego“ włożyło w wojnę i tę wojnę wygrało, teraz chce korzystać z owoców zwycięstwa: „dobrego mieszkania, dobrze płatnej pracy“.

Krzysztof Toeplitz zapewnił słuchaczy, że pokolenie 40-latków „na pewno się nie wypaliło“ i uzasadniał to tym,

że w stosunku do spraw zawodowych ma ono nadal podejście ideowe i pasjonuje się swoją pracą. Twierdził: „jest to w sumie pokolenie aktywne, aktywne w sposób konkretny“. Widzi w jego postawie „jakąś olbrzymią pasję“, ale jednocześnie dodaje: „Oni chodzą po ziemi, oni nie próbują ścian rozbijać głową“. A mówiąc o postawie 20-latków, żadnych nowych idei, wyjaśnił, że jego zdaniem, brakuje im — „nie tego wielkiego, jednolitego hasła: „Budujemy socjalizm!“, ale zdolności włączenia się w nurt działania zbiorowego“.

Dość podobnie ujął to zagadnienie Mieczysław Róg-Świostek, dodając tylko, jakoby młodzi zazdrościli średniemu pokoleniu bogatej skali przeżyć.

Alojzy Sroga przyznał w dużym stopniu rację płk. Załuskiemu i dodał: „pokolenie dzisiejszych 40, 45, 50-latków dźwigało na sobie ciężar wojny, następnie ciężar wojny domowej, przecież toczony od 48 roku, dalej cały ciężar odbudowy kraju“. I wyciągnął z tego wniosek, że jest w pewnym sensie zmęczone „atmosferą ogromnego napięcia“ i dlatego „zwrócone wewnątrz siebie“.

Widać z tego wyraźnie jak bardzo cała ta dyskusja była próbą sztucznego wytłumaczenia społeczeństwu w kraju konfliktów pokoleń — dodajmy — politycznych, których źródła biją z narzuconej Polsce dyktatury, wyobcowanej z narodu partii komunistycznej. Dlatego pewnie Toeplitzowi wymknęła się nawet uwaga o „nienormalności polskiego rządu“, który „umiejętnie podkręca społeczeństwo“.

KLUCZ DO POSTAWY 40-LATKÓW

Dyskusja w Polskim Radio o „pokoleniu zmęczonych bohaterów“ nie wyczerpała zagadnienia, świadczy jednak o tym, że podział, czy przeciwstawienie pokoleń rysują się w kraju coraz mocniej. Zanim jednak przejdę do omówienia ich ewentualnych konsekwencji, należy ustalić co reprezentuje i dlaczego zachowuje się tak, a nie inaczej pokolenie średniaków, nazwane tu umownie 40-latkami, ale ściślej biorąc, reprezentujące jakieś dwanaście do piętnastu roczników, znajdujących się dziś w wieku od 35 do 50 lat. Otóż trzeba w pierwszym rzędzie wyjaśnić, że jest to pokolenie przetrzebione i złamane podczas wojny. Poniosło ono najcięższe straty biologiczne, a najwartościowsze jego jednostki po prostu wyginęły. Nie

ujmując tu w niczym tym, co przeżyli. Całe to pokolenie było wybitnie ideowe i ofiarne. Być zresztą może, że w dużym stopniu zmusiło je do tego okrucieństwo wojny, które nie znało taryfy ulgowej. Jest jednak również naturalne, że jednostki, które w tych nieludzkich wprost warunkach płeły najwyższym entuzjazmem i ofiarnością, płaciły najwyższą stawkę życia.

To też, kiedy po klęsce Hitlera Polska dostała się pod but Czerwonej Armii, a Stalin oddał rządy nad naszym krajem w ręce powolnych mu marionetek z PPR, a później z PZUM — starsze roczniki, a więc całe dojrzałe przed wojną pokolenie, zostało przez komunistów odsunięte od jakiegokolwiek wpływu na kształtowanie stosunków powojennych. Samych komunistów było w Polsce zbyt mało, aby mogli sami zorganizować powojenną odbudowę kraju. Dlatego, stojąc wobec konieczności, za cenę akceptacji władzy i ustroju komunistycznego, zaoferowały młodzieży roczników wówczas dojrzewających prawo do aktywności społecznej i zawodowej. Nie pomylili się w swoich rachubach. Młodzież nie umie być bierna. Gdy okazało się, że nie ma szans na obalenie protegowanej przez Sowietów dyktatury komunistycznej, ci młodzi — byli to roczniki mające wtedy po 18 do 25 lat — włączyli się dość masowo w nurt nowego, choć skrepowanego przez komunistów życia. Był to przecież okres spontanicznej, powojennej odbudowy kraju, co w dużej mierze neutralizowało ich wrogi stosunek do komunizmu.

W ostatecznym wyniku pokolenie to ukształtowało sobie nowe warunki życia i odkryło w sobie pasję, jakby to można powiedzieć „konkretnego działania“. Odbudowywało miasta, fabryki, mosty, drogi, instytucje, szkoły i przede wszystkim zasiedlało odebrane Niemcom ziemie północno-zachodnie. Nie miało prawa do decyzji politycznych, bo na to komuniści zastrzegli sobie monopol, ale mogło pracować nad odbudową Polski. Zrozumiało jest również, że wskutek wielkich strat wojennych i odsunięcia od aktywniejszego udziału w życiu starszego pokolenia — dzisiejszych ponad 60-latków — któremu w naturalny sposób należało się wówczas kierownictwo życia publicznego i gospodarczego, ci młodzi — dzisiejsze 40-latki — awansowali, często bez względu na posiadane przygotowanie, zajmując szybko wiele kierowniczych i wpływowych stanowisk, co nie przyprawiło o zawrót głowy. Nie ma już właściwie potrzeby, aby dodawać wyjaśnienia o przywiązaniu się ludzi do własnych osiągnięć. Jest to wystarczająco znana reguła psychologiczna. I oto całe chyba i dostatecznie jasne wytłumaczenie obe-

nej postawy krajowych 40-latków: są to w większości ludzie, którzy bezpośrednio po wojnie musieli zrezygnować z ideałów swojej młodości (oto przyczyna ich dzisiejszej bierności ideowej, czego nie potrafił dostrzec płk. Załuski); są to jednocześnie jednostki, które — po zawodzie ideowym w polityce — całą swoją pasję swego życia włożyły w powojenną odbudowę kraju (oto przyczyna ich ideowego stosunku do wykonywanej pracy). Jak z tego widać odwrócenie się tego pokolenia na wewnątrz — jest w tej sytuacji czymś naturalnym. Można je nawet nazwać — jak chce Teoplitz — „zmęczonym pokoleniem“.

Przecież mimo wszystko, chociaż pokolenie to spełniło swoje zadanie, tak jak pozwalały mu na to jego trudne warunki, proces biologicznej wymiany domaga się głosu. Różne składają się na to przyczyny.

NAPÓR MŁODYCH ROCZNIKÓW

Nie można powiedzieć, aby pokolenie 40-latków przeżyło się biologicznie. Na to jest jeszcze za wcześnie. Przeżyło jednak swój czas. Miało dwadzieścia lat dużej aktywności, prawda, że pod wieloma względami ograniczonej, ale prawda i to, że prędzej niż w warunkach naturalnego rozwoju osiągnęło szczyty swoich możliwości. Już od dwudziestu lat zajmuje kierownice stanowiska i wywiera wpływ na kształtowanie się polskiej rzeczywistości.

Tymczasem przez dwadzieścia powojennych lat wyrosło nowe, lepiej wykształcone i bardziej pasujące do nowych stosunków pokolenie w pełnym tego słowa znaczeniu — powojenne. Napiera ono na pozycje zajmowane przez „zwróconych wewnątrz siebie“ 40-latków. Domaga się zmian i wszystko na to wskazuje — ma większe szanse od swoich poprzedników, aby pożądane zmiany zrealizować. Tu należy się czytelnikowi dygresja: Tak pokolenie 40-latków, jak i pokolenie 20-latków, jedno nie było, a drugie nie jest, z rzeczywistości polskiej zadowolone. Różnica między postawą zajmowaną przez te dwa, następujące po sobie pokolenia, sprowadza się do tego, że pokolenie, które wchodziło w życie bezpośrednio po wojnie — nie miało warunków na otwarte i czynne wyrażenie niezadowolenia, musiało godzić się pod przymusem terroru stalinowskiego na to, co było. Całe swoje niezadowolenie mogło wyrażać tylko biernie, owym zwróceniem się „wewnątrz siebie“. Obecne młode pokolenie, chociaż też czuje się skrepowane ustrojem komunistycznym, może jednak pozwolić sobie na postawę bardziej otwartego niezadowolenia, a pod pewnymi względami nawet buntu, wychodząc — jak to się określa — z no-

wymi postulatami reform socjalistycznych. Nie ciąży na nim takie skrepowanie, jakim dla poprzedniego pokolenia był komunistyczny zarzut o postawie „kontrewolucyjnej“, gdyż jest wychowane przez szkołę komunistyczną. To jedna, ale jakże zasadnicza różnica. Druga różnica to warunki w jakich następuje bunt pokoleń. Gdy bezpośrednio po wojnie komunizm był w Europie w zdobywczej ofensywie, o tyle teraz jest w zdecydowanej defensywie. Nie ma potrzeby wyjaśniać w jakim stopniu ułatwia to młodemu pokoleniu krytykę ustroju. Jakie wyniki z tego konsekwencje nie pora jeszcze przewidywać. Zresztą wychodzi to poza ramy tych uwag.

Krótko mówiąc, jakikolwiek bunt młodych bezpośrednio po wojnie skazany był z góry na klęskę, czego o narastającym dziś buncie młodego pokolenia 20-latków „Polski Ludowej“ już powiedzieć nie można. Jego szansa jest bez porównania lepsza. Dlatego zapewne władza komunistyczna w Warszawie, wyczuwając te buntownicze nastroje, pozwoliła na radiową dyskusję o konflikcie pokoleń. Dyskusja w Polskim Radio niewiele wyjaśniła, to prawda, pokazała jednak, że młodzi „chcą to wszystko jakoś uporządkować, znaleźć ten sztafeta konkretniejszy, niż ogólne hasło — „Budujemy Socjalizm!“. Czyli mówiąc inaczej, językiem bardziej zrozumiałym, młode pokolenie, akceptując powojenne reformy społeczne i ustrój gospodarczy — domaga się jednak wyraźnie większego poszanowania interesów narodowych, czyli tej zmiany przeobrażeń, którą w roku 1956 zaprzepaścił Gomułka. Stąd zapewne wypływa ta zbieżność krytyki 20-to i 60-latków. I jedni i drudzy krytykują pokolenie średnie za przyziemność i bierność ideową. I trzeba im tym razem przyznać rację. To, co zaraz po wojnie było dla dzisiejszych 40-latków koniecznością wyrzeczeń, z czasem stało się przyzwyczajeniem i nawykiem. Bezsilność wobec terroru stalinowskiego, przeniesiona w „ere“ Gomułki jest już tylko oportunistem i wygodnictwem. I młodzi to widzą. Stąd ich bunt i protesty. Czy złamię ich brutalność wyroków, jakimi potraktowano Modzelewskiego i Kuroń — można wątpić. Zresztą gra tu dużą rolę naturalny napór młodych roczników na pozycje zajmowane przez średniaków. Napór tym trudniejszy do zatrzymania, że stanowiska zajmowane przez 40-latków, w drodze normalnej rotacji pokoleń jeszcze nie tak prędko zostaną zwolnione, chociaż zajęte zostały już tak dawno. Mamy tu do czynienia z typowym „korkiem“ pokoleniowym, kiedy to przemiany oddają na długo władzę w ręce ludzi zbyt mło-

(Dokończenie na str. 36)

PROTOKOŁY OMSKIE

Z materiałów do książki o Historii 5 Dywizji Syberyjskiej, (rozdział o historii politycznej). Dokumenty carskiego dyplomaty Michała Mikołajewicza GIRSA, zdeponowane w jednym z Archiwów w Stanach Zjednoczonych Am. P. z zastrzeżeniem nieujawnienia ich do 1957.

Za co w I-szej wojnie światowej były setki tysięcy młodych Polaków, przymusowo wcielonych do zabornych armii niemieckiej i austriackiej — dowiedział się Naród Polski „expressis verbis“ w lutym i marcu 1918 ze stypulacji Traktatu Brzeskiego i zgodnie cały zaprotestował w sposób najbardziej zdecydowany, na jaki go tylko było stać.

Traktat Brzeski rozwiązał złudzenia nie tylko w stosunku do polityki Niemiec i Austrii odnośnie Polski, ale także w stosunku do mało jeszcze znanej wtedy polityki Rosji bolszewickiej do Polski. Liczne narody uciemiężone dawnej carskiej Rosji — tego „więzienia narodów“ — po wybuchu rewolucji Kiereńskiego w lutym 1917 r. porwały się do samodzielnego bytu, domagając się „prawa samostanowienia“ aż do oderwania się od państwa rosyjskiego. Nawet daleka Syberia wyzwoliła się od nienawistnego centralizmu petersbursko-moskiewskiego i wprowadziła autonomię, opierając się na zwolanej „Obłastnoj Dumie“ — „Krajowej Dumie Syberyjskiej“, która powołała Rząd Syberyjski. Jednakże ludowa rosyjska władza sowiecka również i w sprawie narodowościowej nie zamierzała odstąpić ani na jotę od imperialistycznej polityki carskiej; nie zamierzała oddać ani piędzi ziemi Wielkiej Rosji. Stalin już wtedy ograniczył prawo do samostanowienia „prawem do samostanowienia tylko klasy robotniczej z wyłączeniem burżuazji. Zasada samostanowienia ma być środkiem do walki o socjalizm i ma być podporządkowana zasadom socjalizmu“.

Jednocześnie Sowiety siłą zbrojną wprowadzały władzę sowiecką na Litwie, na Białorusi i na Ukrainie.

Tak więc pertraktacje brzeskie zdemaskowały zamierzenia Rosji Sowieckiej także i odnośnie Polski, którą w postaci republiki bolszewickiej chciała ona zastrzymać w swoich granicach.

* * *

Mając takie perspektywy na widoku, część działaczy polskich, którzy już wcześniej chcieli widzieć właśnie w Ro-

sji carskiej nie ciemności a „dobrodzieja“, tym bardziej zwróciła swoje oczy w stronę „białych Rosjan“, podsuwając rządowi polskiemu myśl o potrzebie nawiązania ścisłej współpracy pomiędzy wojskiem polskim, walczącym z bolszewikami (1919 r.) a „białymi Rosjanami“ na czele z gen. Denikinem i adm. Koczakiem.

Co przyszło by z tego Polsce, gdyby się te pobożne życzenie spełniły, odsłania seria dokumentów, które nazwałem „Protokółami Omskimi“, a które, gdyby je ogłoszono nie w 1965 r. a 45 lat wcześniej, zaoszczędziłyby klótni i polemik naszym obozom politycznym, chaosu w formowaniu państwowej myśli politycznej i w opinii społeczeństwa.

Protokoły Omskie zawierają materiały obrazujące żądania i postulaty białej Rosji, jakie miały być przedstawione na konferencji pokojowej w Wersalu przez delegację rosyjską. Rada Ministrów Rządu Wszechrosyjskiego w Omsku pod zwierzchnictwem adm. A. W. Koczaka, „Wierchownego Prawitiela Rosji“, uchwałą z 17. 12. 1918 powołała Specjalny Komitet Przygotowawczy do rokowań pokojowych, który obradował od 25. 12. 1918 r. do 30. 1. 1919 omawiając kwestię cieśnin Konstancyjnopola, morskich granic Rosji, kwestię polską, czeską, ukraińską, stecunek do U. S. A., interpretację prawa narodów do samostanowienia, zagadnienia kaukaskie, fińskie i inne. Zadaniem Komitetu było nie tyle zgromadzenie argumentów, co raczej opracowanie dyrektyw. Aczkolwiek rosyjski punkt widzenia nie został wtedy oficjalnie przedstawiony w Paryżu, jednakże na podstawie tych opracowanych postulatów działali liczni przedstawiciele białych rządów na emigracji — dla których protokoły te były ewangelia.

Co więcej jednak — materiały Komitetu przedstawiają rosyjskie postulaty stawiane w czasie zakulisowych pertraktacji w okresie zawierania pokoju wersalskiego.

* * *

Przewodniczący 15-osobowego Komitetu, W. G. Żukowski, wice-min. spraw zagr. przy Koczaku, zagajając 4. 1. 1919 r. posiedzenie w sprawie Polski, podkreślił: „W przyszłości może się zdarzyć, że Niemcy jeszcze raz skierują swe uderzenie na wschód. Z tego powodu rozstrzygnięcie zagadnienia granic Polski — na które przede wszystkim skierowały się uderzenie Nie-

miec — jest rozstrzygnięciem problemu dotyczącego jednocześnie granic rosyjskich“. M. S. Zagr. przygotowało 2 warianty rozstrzygnięcia sprawy polskiej: 1) w wypadku stworzenia państwa polskiego; 2) w wypadku utrzymania więzi z Rosją wobec istnienia w Polsce elementów „propaństwowych“ — opowiadających się za utrzymaniem tej więzi.

Oto streszczenie referatu Wydziału Politycznego M. S. Z.: Na nadchodzącej konferencji pokojowej wobec wyzwolenia spod panowania austriackiego, niemieckiego i węgierskiego ziem słowiańskich, Rosja powinna dążyć do takiego rozstrzygnięcia kwestii słowiańskiej, które by wzmocniło międzynarodowe stanowisko słowiańszczyzny, wzmacniając jednocześnie międzynarodowe i słowiańskie znaczenie Rosji. Plan „odbudowania Polski“ w całej rozciągłości — to skrajność prowadząca nieuniknienie do kolizji z rosyjskim narodowym punktem widzenia. Rosyjska część Polski z centrum przemysłowym — Łodzią — była jednym z najbardziej uprzemysłowionych regionów Rosji. Czy Polska będzie w pełni samodzielna, czy też zachowa związki z Rosją, w obydwu wypadkach konieczny jest dla niej dostęp do morza. Gdyby Polacy, rozwiązujący ten problem, szukali dostępu do morza na południu, to kierunek ten będzie nie do przyjęcia dla Rosji; byłby bowiem początkiem urzeczywistnienia Wielkiej Polski od morza do morza. Mając nadzieję na rozstrzygnięcie sprawy cieśnin (Bosfor i Dardanele) po swej myśli, Rosja nie powinna tworzyć nowej siły, która by osłabiła jej rolę na Morzu Czarnym. Powinna więc Rosja poprzeć na konferencji przyznanie Polsce dostępu do morza na północy z Gdańskiem lub Królewcem wraz z przyłączeniem rdzennie słowiańskich ziem. W ten sposób Rosja zabezpieczy ostatecznie własne Morze Bałtyckie i zdobędzie poprzez Polskę dodatkowy dostęp do morza oraz postawi granicę zachłanności niemieckiej wobec rosyjskich „gubernii nadbałtyckich“, których utrata oznaczałaby odpadnięcie doskonałych portów.

Oddzielnymi konwencjami, w razie powstania samodzielnej Polski, należy zabezpieczyć:

- 1) udogodnienia dla wywozu towarów rosyjskich do Polski i tranzyt ich poprzez jej obszar;
- 2) prawo rosyjskiej ludności do posiadania własnych szkół;

- 3) zupełną swobodę dla religii prawosławnej;
- 4) prawo składania przez Rosjan podań do władz w języku rosyjskim.

Przy określaniu polsko-rosyjskiej granicy przez mieszane komisje należy wziąć pod uwagę strategiczne interesy Rosji jako przyszłego obrońcy całej Słowiańszczyzny.

Reasumpcją referatu M. S. Z. są jego tezy w 2 wariantach:

A. w wypadku zupełnego oddzielenia Polski od Rosji, w uzupełnieniu referatu:

- I. a) żadna część Litwy i Białorusi nie może być przyłączona do Polski;
- b) Chełmszczyzna powinna zostać w granicach Rosji;
- c) Ruś Halicka, Przykarpacka i Bukowina powinny być przyłączone do Rosji, przy czym zachodnia granica Rosji powinna bezpośrednio stykać się ze Słowacją;
- d) ze względu na nieuniknione przyłączenie zarówno do Polski jak i do Rosji miejscowości z mieszaną ludnością powinny zostać opracowane ustawy o prawach mniejszości, zabezpieczające kulturalno-narodową samostanność jednej i drugiej narodowości.
- II. Polska powinna przejąć część rosyjskiego długu państwowego i udzielić odszkodowań za odchodzące do Polski mienie państwowe, społeczne i prywatne.
- III. Bez względu na zupełne oddzielenie i odgraniczenie Polski konieczne jest w interesie ogólnosłowiańskim zawarcie z rządem polskim ścisłego sojuszu tak politycznego jak i ekonomicznego. Z tychże powodów należy nalegać na to, by terytoria Polski sięgały aż do brzegów Bałtyku i aby obejmowały te części Niemiec wschodnich, które są rdzennie polskie.

B. W wypadku zachowania przez Polskę terytorialnego i politycznego związku z Rosją.

- I. Polska Zjednoczona (z 3-ch zaborów. — s.w.w.) posiada wspólną z Rosją granicę zewnętrzną.
- II. Jednolita (skupiona w rękach rosyjskich) staje się polityka zagraniczna i finansowa, a także wspólna armia i flota.
- III. Wspólne też powinny być środki komunikacji, poczta, telegraf i system monetarny.

IV. Rosja w tym wypadku będzie się starała o to, by terytoria Polski rozpościarały się do Bałtyku i aby obejmowały te części Prus Wschodnich, które są rdzennie polskie.

V. Kulturalno-narodowe prawa każdej z mniejszości włączonej w obręb drugiego państwa zostają zabezpieczone poprzez rozległą kulturalno-narodową autonomię.

VI. We wszystkich kwestiach dotyczących polityki oświatowej i wewnętrznej Polska pozostaje państwem zupełnie samodzielnym.

Przy porównaniu obydwu tych wariantów uderza fakt, że w wypadku ewentualnego dobrowolnego przyłączenia się Zjednoczonej Polski do Rosji, Polska nie uzyskiwała by żadnych koncesji, była by uzależniona od centralizmu moskiewskiego i otrzymałaby tylko autonomię kulturalno-oświatową.

Motywacja tych tez jest niezwykle nieprzyjazna dla Polaków. Jest to zrozumiałe, ponieważ tylko uznanie ze strony sojuszników Rosji prawa Polski do samodzielnego bytu państwowego zmusiło Rosję do zajęcia stanowiska wobec tej sprawy.

Państwo polskie utworzone z 3 oddzielnych części, a zamieszkałe w większości przez ludność polską (zgodnie z deklaracją Wilsona o przebudowie Europy na podstawie samostanowienia narodów o sobie) będzie miało kształt kwadratu, którego punktami narożnymi będą: na płn.wsch. — Przerósł w pow. suwalskim; na pld.-wsch. — Piwniczna w pow. nowosądeckim; na pld.-zach. Jabłonków na Śląsku Cieszyńskim, obecnie na terytorium Czechosłowacji — 20 klm. na południe od Cieszyna. Motywacja w wywodzie historycznym zarzuca Polsce zdradę słowiańszczyzny od chwili kiedy Kazimierz III Wielki zawarł z Zakonem Krzyżackim Pokój Kaliski w 1343 r. Polacy w XIX i XX stuleciu kontynuowali marzenia o odbudowie Polski w ramach idei jagiellońskiej, tj. z przyłączeniem Litwy, Białorusi i „Małorusi“. Obecnie gdy na horyzoncie pojawiają się kontury państwa polskiego, chora fantazja Polaków nie może pogodzić się z Polską w granicach etnograficznych. Na dowód tej „chorej fantazji“ o przebrzmiałej chwale przytoczona jest odpowiedź Polskiej Rady Stanu z dn. 24/3/1917 r. na deklarację rosyjskiego Rządu Tymczasowego z 16/3/1917 r.: „...„wiekowy spór polsko-rosyjski o rozległe prowincje leżące pomiędzy etnograficzną Polską a Rosją, a należące w ciągu wieków do Polski, jeszcze nie jest zakończony. Rozstrzygnięcie tej kwestii Rada Stanu nie może pozostawić Wszechrosyjskiemu Zgromadzeniu Ustawodawczemu (Konstytucji)“.

Interesy Rosji i Słowiańszczyzny wymagają niedopuszczenia do zagarnięcia przez Polaków chociażby piędzi ziemi rosyjskiej. Jak widzimy (Przez „rosyjskie“ Komisja rozumiała wszystkie ziemie oprócz „Priwislińskiego kraja“ — s.w.w.).

Dlatego więc niedopuszczalne jest połączenie Polski z Litwą — zmartwychwstanie idei jagiellońskiej. Motywacja zaleca politykę ministra P. A. Stołypina, który „dokładnie rozgraniczył ziemie polskie od rosyjskich przez wyodrębnienie Chełmszczyzny z terenu Królestwa Polskiego. Na konferencji należy kontynuować tę politykę za wszelką cenę, utrzymując związek Chełmskiej, Halickiej, Bukowińskiej i Przykarpackiej Rusi z Rosją i nie dopuszczając do Unii pomiędzy Polską i Litwą. Tylko wtedy wielki spór między Rosjanami i Polakami, rozpoczęty w 981 r. z powodu Grodów Czerwińskich, zostanie zakończony. Wtedy Polska ujrzy swą misję historyczną w walce z niemieckim „Drang nach Osten“. (Tak samo wypowiedział się Stalin w Teheranie i do P.K.W.N. w Moskwie w czerwcu 1944 r.).

Szkoda wielka, że nie sporządzono stenogramu dyskusji; dowiedzielibyśmy się wtedy jeszcze więcej ciekawych faktów oraz szczegółów o nastawieniu oficjalnej białej Rosji do Polski i Polaków. W dyskusji tej kpt. mar. N. J. Fomin wskazał, że Chełmszczyzna nie jest w całości zamieszkała przez Rosjan, na co W. T. Jazwickij odczytał obszerny memoriał M. S. Z. w sprawie „Rusi Chełmskiej“ — całkowicie solidaryzujący się z §§ Traktatu Brzeskiego w tej sprawie oddającymi Chełmszczyznę Ukrainie; oczywiście identyfikował naród ukraiński i Republikę Ukraińską z Niepodzielną Rosją, a Ukraińców uważał za Rosjan. Ożywioną dyskusję wywołała sprawa obrony mniejszości. Wice-min. W. G. Żukowski podkreślił, że sprawa ta odpowiada duchowi deklaracji Wilsona i że komisja konieczności powinna wejść na drogę tych zasad. W. T. Jazwickij (M. S. Z.) wypowiedział się o konieczności ochrony praw rosyjskiej ludności w Polsce, która znajdzie się tam w mniejszości. Ciekawe wypowiedział się Elacie. „Wytyczna o ochronie praw mniejszości jest niezbędna. Byłaby ona udanym taktycznym pociągnięciem. Nie należy także zapominać, że istnieje narodowość, która zawsze będzie mniejszością. Są to żydzi, którzy w Polsce uważają siebie za ludność rosyjską (sic). Ta okoliczność może być atutem w naszym ręku“. (sic). Zgadza się, że szczegółowego określenia sposobów ochrony nie należy podawać. Gen. maj. G. W. Władimirow, szef sztabu, był przeciwny tej wytycznej. Twierdził, że wobec tego, że w granicach Rosji znajdzie się dużo różnych narodowości,

cały wysiłek skierowany na obronę praw mniejszości, zwróci się właśnie przeciwko Rosjanom samym. N. J. Nikiforow również wyraża obawy, że „zwrócenie uwagi na ochronę praw mniejszości jest dla nas szkodliwe z następujących powodów: w Polsce znajdują się tylko dziesiątki tysięcy Rosjan, natomiast w zachodnich guberniach Rosji Polaków będzie ponad milion. Polacy, zorganizowawszy się, mogą stanowić dużą polityczną siłę, dla nas niebezpieczną.“

Innego rodzaju są bardziej zasadnicze zastrzeżenia rzeczoznawcy prof. N. A. Borodina, który uważał, że przed rozstrzygnięciem kwestii ukraińskiej, nie należy rozwiązywać problemów poruszonych w punktach „b“, „c“ i „d“, na co gorąco replikował Żukowski, że „istotna sprawa tych punktów tkwi nie w problemie ludności ukraińskiej, lecz czysto rosyjskiej.“ Jazwicki zaś, że „Specjalny Komitet“ „doprawdy powinien bronić punktu widzenia, wedle którego ludność ukraińska wchodzi w skład Rosji.“

W rezultacie punkt „d“ tezy został jednak w głosowaniu przyjęty.

W obradach nad II tezą „enfant terrible“ Specjalnego Komitetu Fomin wypowiada się za złagodzeniem tej tezy o odszkodowaniach, jakie powinna dać Polska. Komitet uchwała ją jednakże bez zmian.

Odnośnie tezy III A. G. Sobolew podkreślając, że Rosja podtrzymuje roszczenia Polski w sprawie dostępu do morza, stwierdza, że „jest to zagadnienie międzynarodowe, które będzie rozpatrywane na konferencji. Natomiast kwestia sojuszu z Polską jest naszą wewnętrzną sprawą. Zwracanie uwagi na nią w tezie jest rzeczą zbędną i powinno być opuszczone.“ — Stwierdzenie to jest niezmiernie ważne jako podkreślające tendencję Rosji traktowania stosunków z Polską nie na płaszczyźnie międzynarodowej, a na gruncie stosunków wewnętrzno-rosyjskich.

Wobec powyższego Żukowski poddaje pod głosowanie wniosek o przyjęcie w tezie III wskazania na konieczność zawarcia z Polską sojuszu. Wniosek przyjęto.

Następnie komitet obradował nad drugim wariantem tezy (z wypadku zachowania związku Polski z Rosją).

Prawie z pewnością można twierdzić, że zaledwie tylko kilka wypowiedzi z dyskusji na temat 2-go wariantu znalazło swój wyraz w protokole. Ciekawą jest ta sprawa sporządzenia przez rosyjskie M. S. Z. aż 2 wariantów tezy dotyczących Polski. „Propanstwo“ rosyjski kierunek wśród Polaków został wyprodukowany w umysłach carskich urzędników w celu zakamufłowania imperialistycznej zachłanności rosyjskiej

polityki. Niepodległe państwo polskie istniało już od kilku miesięcy, lecz oni nie chcieli z tym pogodzić się. Jazwicki chce mieć przygotowane postulaty na wypadek „zwycięstwa tego propanstwo-wego kierunku“. Wtedy prof. Borodin stawia sprawę wyraźniej, zapytując czy Specjalny Komitet „uważa za konieczne zachować związek z Polską“ (inaczej: nie uznać istnienia niepodległego Państwa Polskiego i zmusić go siłą do „zachowania związku z Rosją“ — s.w.w.), czy też Specjalny Komitet zamierza tolerować oddzielenie się Polski.

W końcu dyskusji Borodin wyraził obawę, że przyjęcie 2-go wariantu może być dla Rosji bardzo niewygodne, bowiem jeżeli fakt ten dojdzie do wiadomości Polaków, wywoła on niekorzystny dla Rosji zwrot (Oburzenie S.W.W.) w polskiej opinii publicznej. W rezultacie przyjęto wniosek o wycofanie z dyskusji 2-go wariantu.

* * *

Protokoły Omskie wypełniają bez reszty lukę, jaka istniała odnośnie wiadomości co do zamierzeń carskiej, białej Rosji w stosunku do Polski i Polaków. Na równi ze stenogramami pertraktacji Traktatu Brzeskiego, albo może nawet jeszcze bardziej, są one dla nas rewelacyjne i niezmiernie cenne jeszcze dziś. Dlatego też były tak starannie chowane przez przeciwnika aż do 1957 r. Demaskując daleko-falowy i dalekosiężny plan polityczny Rosji w stosunku do Polski odkrywają nam one również tajniki i drogi rozumowania polityki rosyjskiej, niezmiennej zresztą od stuleci.

Zdajemy sobie przede wszystkim sprawę, że wariant I-szy — „niepodległa Polska“ został wymuszony wypadkami i niepowodzeniami Rosji, jej „chwilowym“ osłabieniem, walką orężną Polaków, uznaniem Polski przez aliantów i tym podobnie. W razie zaś zwycięstwa Rosji nad Niemcami aktualnym byłby wariant II.

Na podstawie więc tego II wariantu stwierdzamy niezbicie, że Polacy życie swe mieli poświęcić na ołtarz najczarniejszego rosyjskiego imperializmu i zachłanności. Mielę zdobywać odwiecznie polskie ziemie na niemieckim i austriackim zaborcy dla zaborcy rosyjskiego. Takiej tragedii w historii naszej nie przeżywalimy. Nie było również żadnych wątpliwości, że centralistyczno-ru-syfikacyjny reżim na dalszą metę zostanie utrzymany (patrz wariant II, także korespondencja Kołczaka z Denikinem). Telegram przygotowany przez G. K. Ginsa do podpisu Kołczaka, a adresowany do Denikina najwyraźniej mówi o „chwilowości ustępstw“. Czy można wreszcie wyobrazić sobie autonomię kulturalno-oświatową bez oparcia o stronę

finansową (a ta miała pozostać w rękach rosyjskich).

Wariant I — ta wymuszona Polska, to niezdolny do samodzielnego bytu twór, nędzny satelita uwikłany w spór z Niemcami, zdany na łaskę pomocy Rosji, a w rzeczywistości nie zamocowany jeszcze nabytek rosyjskiego „Drang nach Westen“. Wariant I usiłuje stworzyć dla Polski sytuację polityczną podobną do tej z czasów konszachtów Katarzyny II z Fryderykiem. Wariant I ukazuje nam nastawienie i politykę białej Rosji wobec powstałego niepodległego Państwa Polskiego.

Nie możemy też oczywiście pominąć memoriałów, uzasadnień i dyskusji dookoła obydwu wariantów, są one bowiem źródłem kapitalnym. A więc, nie wolno nam „śnić“ o Polsce Jagiellonów od morza do morza, gdyż to godzi w interesy „wielkiej i niepodzielnej“ Rosji po Basfor i Dardanele, które nigdy do niej nie należały, ale o których „śnili“ od wieków carowie. Polsce chodziło o istnienie — Rosji o ekspansję. Stawianie na ostrzu noża sprawy oderwanej Chełmszczyzny, wskazuje jak „rozumiano“ sprawę etnograficznej Polski.

Białoruś i Ukraina miały być włączone do Rosji jako ziemie zamieszkałe przez ludność niepolską. Jeżeli słusznym było uznać Białorusinów i Ukraińców za odrębne narodowości w stosunku do Polski, to jakaż logika pozwala uznać ich za Rosjan? Polska polityka miała być perfidna przeprowadzając uchwały Unii Lubelskiej; jakżeż nazwać rosyjską choćby wtedy, gdy popierała bunt hetmana Chmielnickiego, a wreszcie odmówiła Ukraińcom nawet prawa odrębnego narodu. Ukraińcy mieszkają na dostępnym do Morza Czarnego, więc są tak jak i Polacy wrogami Rosjan i naród ten musi zniknąć, gdyż nie można go odwrócić tak jak Polaków na północ do szachowania Niemców i poszerzenia Wybrzeża Bałtyku. Kazimierz Wielki zdradził Słowiańszczyznę, ponieważ nie czuł się na siłach prowadzić wojny z Zakonem, a propagująca „ideę słowiańszczyzny“ Rosja przeprowadza z „odwiecznym wrogiem słowiańszczyzny“ — Niemcem — trzy rozbiory Rzeczypospolitej Polskiej. „Idea“ Jagiellońska była pozytywnym faktem historycznym, „idea słowiańszczyzny“ carskich rządów była mitem i fikcją, dlatego, że w interpretacji carskiej polityki była parawanem dla imperializmu rosyjskiego. Gdy niepodległa Polska stała się faktem dokonanym — była Rosja ustosunkowała się do niej negatywnie i perfidnie — paradoks „rosyjskiej idei słowiańskiej“ — ta wielostronna polonofobia w rzekomym słowianofilstwie Czuwaszów i Mordwy.

I tej rosyjskiej polonofobii carskich zwolenników i urzędników negować się

nie da: przecież sami powiedzieli: „Ży-
dzi w Polsce uważając siebie za ludność
rosyjską. Ta okoliczność może być atum-
tem w naszym ręku“. Trzeba sprostowa-
wać, że nie „może być“ — gdyż już
od dawna była, oczywiście w wypadku
tzw. Litwaków, a nie polskich Żydów.

Wniosek ogólny: Proponowana przez
Kończakowców, Denikinowców, Sazono-
wych itp. Polska „etnograficzna“ była-
by tworem państwowym niezdolnym do
życia. Dążenie do nowoczesnej sfedero-
wanej Polski Jagiellonów — było odruchem
zdrowym, samozachowawczym dla
nas, dla Ukraińców, Białorusinów, Litwi-
nów itp. — było oparte na dobrowolnym
porozumieniu. Rosja „słowiańska“ —
centralistyczne państwo knuta — jak
pokazały ruchy narodowościowe w Rosji
w 1917-20 r. — nie mogła liczyć na
współpracę tych narodów, na dobrowol-
ne pozostanie w jej granicach.

„Idea“ wielkiej, niepodzielnej (zwró-
my uwagę na słowo „niepodzielnej“) —
Rosji, żyjącej kosztem organizmów in-
nych narodów, przetrwała wieki, prze-
trwała rewolucję październikową — bols-
zewicką i nie przestała zagrażać za-
sadzie wolności i samostanowienia na-
rodów.

Tylko, że dziś czarny parawan prze-
malowano na czerwono! Ideę słowiań-
ską zastąpiono ideą „rewolucji świato-
wej“, ale „starszy brat“ pozostał ten
sam z knutem i naganem. Metody „per-
swazji“ w Rosji nie zmieniły się.

Ataki Denikina w jego książkach na
ówczesną politykę polską, przy jego
entuzjastycznej akceptacji postulatów
brzeskich źle świadczą o jego horyzon-
tach myślowych, gdyż są wiernym wy-
razem tradycyjnej polityki imperializmu
rosyjskiego.

Stefan Witold Wojstomski

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S. W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

WYRAZ: „humor“ nie jest pocho-
dzenia polskiego. Wzięliśmy go
żywcem z łaciny, podobnie zresztą
jak wiele innych narodów — naszych
starszych krewnych w europejskiej
rodzinie. Przykładem choćby francu-
ski „humer“ i pochodny odeń an-
gielski „humour“, identyczny z nie-
mieckim. Po łacinie „humor“ zna-
czył: wilgoć, mokrość, nie wiele więc miał
wspólnego ze śmiechem. Używany był
w medycynie średniowiecznej dla o-
kreślenia „soków organizmu“, które
wpływać miały na charakter czło-
wieka, na jego usposobienie — stąd ko-
lejne, bliższe dzisiejszemu znaczenia.

Tę łacińską genealogię słowa warto
mieć w pamięci, gdy szuka się po-
czątków. (a przynajmniej: znanych
początków), humoru staropolskiego.
Bo są owe początki właśnie bardzo
międzynarodowe, wszech europejskie i
mocno pachną łaciną. Jak i w innych
dziedzinach kultury tak i w tej (bo
humor jest niewątpliwie przejawem
kultury i to niepoślednim!) byliśmy
w Średniowieczu bliżsi niż dziś in-
nym narodom, owej uniwersalnej
„europejskości“.

Można oczywiście wyrazić to ina-
czej: mianowicie że w okresie gdy
poczucie narodowe mniej było uświa-
domione i skryształizowane, uniwer-
salizm automatycznie poważniejszą od-
grywał rolę.

Nim jednak przejdziemy do wczes-
nych dziejów polskiego humoru, trze-
ba zatrzymać się jeszcze na chwilę
przy pojęciach mu pokrewnych, przy
słowach bliskoznacznych. Szereg z
nich przybyło do nas z zagranicy, z
Zachodu, niektóre jednak wydają się
rodzime, a przynajmniej ogólnosłow-
iańskie.

Krotochwila (a dawniej krotofila),
tak ulubiona przez Mikołaja Reya, za
pośrednictwem Czechów przyszła do
nas z Niemiec. Także „żart“ — we-
dług opinii prof. A. Brücknera od za-
chodniego pochodzi sąsiada (niemiec-
kie: scherz), choć ma i włoskie po-
wiązania, co w „żarcie muzycznym“
— scherzo — widać naocznie. Kon-
cept, już od XVI wieku u nas po-
wszechny, znaczący jednak częściej
„pomysł“ niż „dowcip“ — łacińskiego
jest początku.

„Śmiać się“ to (na szczęście!) po-
jęcie odwieczne, pra-słowo. Od niego
prasłowiański „śmiech“ się wywodzi.
Podobnie „dowcip“. Franciszek Sław-

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

HUMOR

ski sądzi — warunkowo zresztą —
że nauczyliśmy się go od Czechów.
Dodajmy, że w staropolszczyźnie
„dowcip“, częściej niż „żart“, znaczył
„bystrość umysłu“. Był więc celnym
odpowiednikiem angielskiego „wit“,
co nie łatwo dziś przetłumaczyć do-
kładnie jednym słowem.

Kpić, kpina, to słowa własne pol-
skie, wspólne zresztą nam i innym
Słowianom. Wywodzą się od kpa —
durnia. Pierwotnie jednak kiep zna-
czył nie innego jak część ciała (któ-
rą? — wiadomo: srom niewieści; cel
wielu niewybrednych „kpin“). W wie-
ku XVIII kiep, w tym ostatnim zna-
czeniu, pars pro toto, pogardliwie
określał „kobietę“. Zarówno znacze-
nie „anatomiczne“ jak i drugie: „dur-
nia“, połączył w jednym ze swych
znakomitych, sprośnych skrótów Wa-
claw Potocki: „... Jak to może kiep
we kpa odmienić człowieka“.

Drwić, drwina, jest także słowem
rodzimum. Początkowo znaczyło po-
 prostu: „gadać bez sensu“. Charakte-
rystyczne, że te dwa terminy, oby-
dwa swojskie, noszą w sobie podobny
element sądu ujemnego, błędu, nieu-
dolności, co uwidacznia się choćby
w zwrocie „pokpić (a także: podrwić)
sprawę“.

Nazwy zjawisk, form literackich z
humorem związanych, noszą na sobie
niezatarte piętno cudzoziemczyny:
„kalambur“ wzięliśmy z francuskie-
go, gdzie dostał się znowu z niemiec-
kiej literatury sowizdrzalskiej (drwi-
ny „popa z Kalenburgu“). Satyra
wywodzi się z łaciny. Także facecja,
ale tę może włoskiemu pośrednictwu
zawdzięczamy. Wreszcie fraszka. Tu
narodowy talent do przyswajania
święci tryumf: Trudno wyobrazić
sobie słowo bardziej „po polsku“
brzmiać. Wszak nawet Wespazjan
Kochowski zbiór ich zatytułował:
„Epigramata polskie, po naszymu
fraszkki“. A przecież pochodzi z wło-
skiego: „fräsche“, tj. „głupstwa,
bzdury“. O owej, wybitnej u Pola-
ków, zdolności do przyswajania, do
swojszczenia, właśnie we fraszkopis-
arstwie, przejawiającego się szcze-
gólnie jaskrawo, przyjdzie jeszcze
mówić szerzej.

W tym przeglądzie słów i ich po-

STAROPOLSKI

B.D.I.C

chodzeń bynajmniej nie zależało mi na tym, by temat wyczerpać, by dać pełny katalog wyrazów i pojęć w języku polskim, z humorem związanych. Każdy uważny czytelnik słowników etymologicznych — a mamy ich już dziś dla polszczyzny, rzecz można, półtora — listę moją bez trudu powiększy. Zbierając tę garść częściej używanych wyrazów humoru dotyczących, chciałem podkreślić że (i do jakiego stopnia) braliśmy w tej dziedzinie od innych.

Otóż sprawa, podobnie jak ze słowami, ma się i ze samym zjawiskiem. Polski humor średniowieczny — a przynajmniej te jego przejawy, których ślad się zachował — napiętnowane są w dużym stopniu europejskim uniwersalizmem, tkwiącym korzeniami w kulturze łacińskiej. Wystarczy przejrzeć pierwsze księgi „Roczników“ Długosza by zauważyć, że rozsiane w nich tu i ówdzie opowiadania o posmaku anegdotycznym trącą uważną lekturą starożytnych historyków i wczesno-średniowiecznych kronikarzy, jak choćby wzmianka przytoczona na zakończenie roku tyśięczonego, a znana już z kroniki W. Rolewinka.

Gdy jednak mistrz Jan przechodzi od opisywania czasów i ludzi dla siebie zamierzchłych, znanych mu tylko z cudzych opracowań — do dziejów których był świadkiem i współaktorem, lub o których mógł przynajmniej słyszeć od świadków naocznych, opowieść ożywia się, nabiera rumieńców. Żarty, przycinki, stają się soczyste. Oto co ma nasz dziejopis do powiedzenia o trzecim małżeństwie Jagielly:

„Jakoż król Władysław zjechawszy na zapusty do Nowogródka, rzeczoną księżniczkę Sonkę, złączoną z nim powinowactwem w trzecim i czwartym stopniu, a po odbytych chrzcie (była bowiem greckiego wyznania) nazwaną Zofią, zaślubił. Dopetnił obrzędu Maciej biskup Wileński, pobłogostawiwszy małżeństwo niemile Polakom, a królowi, już nachylającemu się do starości, niepotrzebne i niestosowne. Wesele odbyło się w Nowogródku z wielką okazałością; były

to gody nierównych wiekiem małżonków, Władysława króla podeszłego w latach i rzeczonej Zofii, kwitnącej na ów czas dziewicy, a urodą więcej niżli cnotami zalecanej“.

Godne uwagi, że to właśnie anegdoty o Jagielle najbliższe są w dziele długoszowym naszemu poczuciu humoru. Przejawiają cechy znane, rodzime: Obyczaje trącające jeszcze pogaństwem Litwina, który był „do próżnowania i rozkoszy, do zabaw myśliwskich i biesiad skłonny z przyrodzenia“ musiały stanowić ulubiony temat uciesznych rozmów po mało- i wielkopolskich dworach. Długosz wiernie odzwierciadla smak swego wieku, z wyraźną satysfakcją zbierając te — niekiedy rubaszne — anegdoty:

„(Król Władysław) zazwyczaj dawał połowę tego, o co go proszono; za czem poszło, że proszący żądali zawsze dwa razy więcej, aby z tym większą pewnością połowę uzyskali. Miał niektóre zwyczaje zabobonne. Wyrwał włosy z brody i powplatawszy je między palce, wodą ręce obmywał. Zawsze nim z domu wyszedł, trzy razy obrócił się w koło i słomkę na trzy części złamaną rzucił na ziemię... Sypiał długo, a wstawszy z łóżka szedł prosto do wychodku, gdzie długo także wysiadując, wiele czynności układał lub załatwiał, a nigdy nie był przystępniejszym i łatwiejszym jak wtedy: przeto wszyscy korzystali zwykle z takiej pory, dla wyjednania sobie tego, co im było pożądanę...“.

Wcześniejszym zabytkiem polskiego humoru, powstałym w początkach wieku XV zapewne gdzieś około roku 1415 — roku urodzenia Długosza — jest piosenka żakowska, „cantilena inhonesta“, zapisana nieoczekiwanie przez nabożnego śląskiego franciszkanina, Mikołaja z Koźła: „Skarga na Pannę“. „Skarga“ ta jest jurna i — powiedzmy to szczerze — sprośna. W swym charakterze, w metodach stwarzania sytuacji humorystycznych żywo przypomina piosenkę ludową. Jak ona, konsekwentnie używa „zaskoczenia“: kończenia zdań zapowiadających się nieprzyzwoicie, dwu-

znacznie „przyzwoitym“ rozwiązaniem:

*Chcym na pannu żalować
nie chciała mi trochy dać
memu koni owsa.*

Jak słusznie zauważył prof. Krzyżanowski „dalsza część piosenki nie dowodzi bynajmniej wytrwałości panny w oporze“:

*Na pisane pierzynie
damy sobie do wole
i piwa i miodu.
Rozży panno kahaniec,
chledawa hnet wieniec,
jeszcze-li je cał.*

Zestawienie czcigodnego dzieła Długoszewego z frywolną żakowską piosenką zakrawa niemal na świętokradstwo. Pozostaje jednak faktem, że właśnie te dwa utwory literackie stanowią pierwsze dowody istnienia dojrzałego polskiego humoru i zawierają cechy zapowiadające przyszły jego kierunek i charakter.

A trudno by to powiedzieć o jednym z najciekawszych dzieł polskiej poezji średniowiecznej, mianowicie o „Rozmowie mistrza ze śmiercią“, którego to utworu głównym walorem artystycznym jest jego satyryczność.

Poemat ten powstał jako luźna adoptacja wzorów zachodnio-europejskich, zapewne łacińskich i jego wielkie wartości literackie dowodzą uniwersalizmu, a nie narodowego indywidualizmu, naszej literatury w XV wieku. Motyw dialogu ze śmiercią pokrewny jest popularnym „Tańcem Śmierci“ leżącym na pograniczu literatury i plastyki średniowiecznej (bo cykl ilustracji zaopatrywany był zwykle w krótkie, najczęściej wierszowane teksty, a wszystko zaprawione makabrycznym humorem).

Za najwcześniejszy znany zabytek uważa się dziś serię z Cmentarza Niewiniątek w Paryżu, pochodzącą z lat 1424-5. Przedstawiciele różnych stanów przesuwali się w niej w tańcu korowodzie, zawsze do pary z upersonifikowaną Śmiercią, a każda para zaopatrzona była w wierszyk ujęty w formę dialogu między partnerami, podkreślającego znikomość doczesnego żywota i jego uciech.

Pomysł zdobył sobie niesamowitą popularność i rozprzestrzenił się po Francji, Anglii, Niemczech, Szwajcarii. Najwcześniejszy, zachowany do dziś w Polsce zabytek „Tańca“ (w kościele Bernardynów w Krakowie),

pochodzi z końca w XVII, czyli z okresu ponownej popularności tego pomysłu w czasach baroku, ale trudno wykluczyć możliwość istnienia takich cykli średniowiecznych, znieszonych, lub może ukrytych gdzieś pod późniejszym tynkiem. Na istnienie u nas jakichś wcześniejszych „Tańców“ wskazywałyby pomysły pokrewne, jak choćby dekoracja stiukowa kaplicy Pana Jezusa w kościele parafialnym w Tarłowie.

„Rozmowa mistrza ze śmiercią“ (podobnie jak „Tańce śmierci“) ma podłoże moralizatorskie, ale jest najciekawsza w częściach satyrycznych, gdy śmierć odgraża się, że ukarze złych sędziów, nieuczciwych karczmarzy, swawolnych mnichów, na których wydaje się być szczególnie zawzięta:

*Inako morzę zle mnichy,
Którzy mają zakon lichy,
Co z klasztoru uciekają,
A swej wolej pożywają
Gdy mnich pocznie dziwy stroić
Nikt go nie może ukoić...
...Mówię to przez kłamu, wierę
Dam go czartu na ofierę.*

Do sprawy makabrycznego humoru „Tańców Śmierci“ wypadnie jeszcze wrócić, ale już teraz warto podkreślić w tym średniowiecznym utworze o pokrewnej tematyce i formie charakterystyczne zatarcie granicy między treścią wzniosłą i tragiczną, a satyrą, czy nawet, wręcz, kpina, głoszoną przecież z miną pozornie poważną. Nie zawsze wiadomo jak dalece nuta humoru jest u twórcy świadoma. Podobne zjawisko wystąpiło po wiekach u arcysarmaty, księdza Józefa Baki w jego „Uwagach śmierci niechybnej“, w czterowerszach z krakowskiego „Tańca“, resztą w niejednej staropolskiej anegdocie.

„Rozmowa mistrza ze śmiercią“ zasługuje na uwagę również jako utwór blisko powiązany z plastyką, na co wskazują nie tylko pokrewieństwa z „Tańcami śmierci“, ale także sama technika opisu, szczególnie gdy chodzi o odstraszący wygląd „bohaterki“ poematu.

Otóż nie ma prawie wcale w zachowanych dziełach polskiej sztuki średniowiecznej elementu świadomego humoru, może za wyjątkiem niektórych drobnych ilustracji wplecionych w dekoracje iluminowanych rękopisów — jak choćby „baba i diabeł“ z graduła fundacji Jana Olbrachta (koniec wieku XV). Zjawi-

sko to jest niepokojące. Nie spotyka się na przykład u nas zupełnie rzeźb na spodniej stronie ruchomych siedzeń w stallach, owych „mizerykordii“, tak popularnych w całej Europie Zachodniej, ale szczególnie w Anglii — ulubionego miejsca dla umieszczenia scen bądź satyrycznych, bądź czysto humorystycznych. Samo pojęcie takiej rzeźby nie istnieje w Polsce i nie mamy nań odpowiedniego terminu w języku.

Polska sztuka średniowieczna, której nie brak było umiejętności i polotu w osiągnięciu efektów lirycznych, niekiedy bardzo wysokiej próby (jak choćby Madonna z Królowej) okazywała dziwną nieśmiałość, gdy chodziło o humor, o żart. I żał trochę, że uroczystej powagi naszej romańszczyzny i gotyku nie przerywają choćby na chwilę wyrzeźbane w drzewie czy wykute w kamieniu szelmowskie wyczyny lisa Reinarda, że nie natykamy scenek takich jak walencjański zakonnik z kozą, czy pogrzeb kota uroczyście wyprawiany przez szczury, na kapitulu w krużgankach taragońskiej katedry.

Trudno, gdy brak humoru rzeźbiennego i malowanego zaspokoić się musimy pisaniem, lub raczej drukowaniem. Bo oto w pierwszej ćwierci wieku XVI pokazują się u nas książki drukowane w rodzimym języku, a wśród nich okazałe miejsce zajmują bajki, figle, facecje, jak to np. Biernata z Lublina „Żywot Ezopa“ z 1522 r., czy Jana z Koszyczek „Rozmowy które miał król Salomon z Marchołem grubym a sprośnym“ z 1521 roku. Wprędce zajął obok nich miejsce pierwszy, nieudany, przekład „Sowizdrzała“ (około 1530 roku) i drugi, znacznie lepszy i niezmiernie popularny, z 1540, wielokrotnie powtarzany.

Ale przekłady te i adaptacje, które położyły wielkie zasługi przy formowaniu języka, nie wiele wzbogaciły nasz humor. Choć wydawane w XVI wieku, należą jeszcze do średniowiecza i reprezentują średniowieczny uniwersalizm. Tłumacze nie starali się tekstów wzbogacać własnym materiałem anegdotycznym pochodzącym z lokalnego środowiska. Te żarty i dowcipy mało dzisiaj bawią, są nam bowiem obce. Wygląda na to, że owe pierwsze druki dowcipom i facejom u nas poświęcone, nie należały do

głównego nurtu, którym popłynął, płynie do dziś, humor polski.

I nie sam fakt, że były to przekłady, zaważył chyba decydująco. Bo oto w niewiele lat później, w 1560 r. ukazał się „Dworzanin Polski“, przykład-adaptacja dokonana przez Łukasza Górnickiego z „Il Cortegiano“ Baltazara Castiglione. Włoski oryginał jest znakomitym przykładem renesansowej literatury, a tłumacz — to zaprzysięgły zwolennik Odrodzenia i jego krzewiciel w Polsce, chwaleca i wielbiciel kultury włoskiej swego czasu, kultury pełnej polotu, lekkości i wdzięku.

A przecież humor przewijający się przez całą książkę od razu uderza swojskością, rodzimością, nawet jeśli anegdoty były tłumaczone czy przyswajane. Dodajmy, że wiele z nich zaczerpnął Górnicki nie z włoskiego oryginału, ale z otaczającej go polskiej rzeczywistości. Nastroczały je zabawne sytuacje — których nigdy nie brak — ale formułowało środowisko o którego charakterze wiele mówi jego poczucie humoru tj. zarówno wybieranie z rzeczywistości tego co mu się śmiesznym wydaje, jak i sposób zredagowania, podania, żartu czy facecji.

Otóż poczucie humoru u Górnickiego, przy całej jego renesansowości (we włoskim wydaniu) jest bardzo — chciałoby się rzec — „sarmackie“. Jego recepty na śmiech, na wesołość odpowiadać musiały ściśle wymaganiom, oczekiwaniu narodowego gustu, bo stosowane będą przez wieki, właściwie po dziś dzień. Koncepty zawarte w „Dworzaninie“ powtarzane były zawzięcie, lub, jak to z dowcipem bywa, przywłaszczane bezceremonialnie. Odnaleźć je też można nie tylko w zbiorach facecji: Takie na przykład opowiadanie o Wenecjaninie, który „jako żyw na koniu nie siedział“ i — gdy zasza konieczność wyruszenia w drogę — buty zakładał na ostrogi, aby się te ostatnie nie ubłocły, stało się tematem barokowym intermedium, zawędrowało do XVII-wiecznego polskiego teatru.

Największą popularnością cieszyły się jednak zapewne te anegdoty, w których puentę stanowiła dowcipna odpowiedź na zaczepkę czy natręctwo, pasowały one bowiem (i pasują) do atmosfery polskiej kultury, w której tak wielką, dominującą rolę gra życie towarzyskie, gdzie talent do riposty szczególnie musi być ceniony.

SYLWETKI LUDZI

B.D.I.C

EMIGRACJI

Oto, dla przykładu, jak Zygmunt Stary odpowiada jakiemuś dworakowi:

„Kiedyś do króla Starego, gdy pieczęć wakowała, jeden zacny sekretarz przyszedłszy powiadał, chcąc wyrozumieć wolę królewską: Miłościwy królu — prawi — wszystkim dwór tam o mnie powiada, że mam być pieczętaczem. A król do niego: Dajcie wy sobie pokój, wszak ludzi znacie, a czego oni nie splotą!”

Zawsze jest zaletą facecji, gdy dotyczy osób popularnych, a przynajmniej znanych. Postać ulubionego monarchy — trafnie tu zresztą scharakteryzowana — przytoczony żart znakomicie ożywia, a dla współczesnych i odgadnięcie nazwiska owego sekretarza musiało być zapewne nietrudnym a ucieśnym i pikantnym zadaniem. Ale raduje szczególnie, gdy bohaterem anegdoty staje się człowiek, który sam wielkie położył zasługi w tworzeniu i rozpowszechnianiu polskiego humoru — Mikołaj Rey. A dodajmy, że rubaszna odpowiedź pana z Nagłowic, którą mu Górnicki przypisuje, pasuje do stylu autora „Figiików“:

„Mając raz dworzanie jeść u pana Mikołaja Tarła, chorążego sędmiernskiego, pytał jeden drugiego przed królem stojąc: Panie, a wszak u Tarła?” — Jaki taki odpowiedział: — U Tarła.

Aż do pana Reya przyszło, który gdy go też spytano: Panie, a wszak u Tarła? — On zaraz, by z bicia, ze dwu jedno uczynił słowo i rzekł: — Wie ją dyabeł, jać-em jej tam w ogon nie patrzal!”

Tak to Górnicki, dworak, bywalec, a przy tym pisarz o rzetelnym talencie, stał się w dziejach polskiego humoru postacią zwrotną: Zamknął swym „Dworzaninem“ (którego słusznie nazwał „polskim“) okres średnio-wieczny, uniwersalistyczny, a otworzył, nowy, rodzimy. Można — z zupełną słusnością — nazwać go okresem renesansowym. Ale można także traktować polski renesans jako początek i część integralną prądu, który cechy swojskie świadomie pielęgnował i który położył ogromne, do dziś mało znane, albo lekceważone zasługi przy tworzeniu naszej kultury. Prąd ten nosi miano Sarmatyzmu. W dziedzinie humoru był Łukasz Górnicki prądem tego, nieświadomym może, ale na pewno udałym krzewicielem.

Mieczysław Paszkiewicz

Urodził się w Kępnie Wielkopolskim. Jako czternastoletni harcerzyk brał udział w kampanii wrześniowej. Później Stalin i Beria etapami zsyłki ułatwili mu zwiedzanie Syberii. Ewakuacja w grupie młodzieży zebranej przy Armii Polskiej w Rosji pozwalała mu trafić do Szkoły Mechanicznej w Tel-Kibir na Środkowym Wschodzie. W roku 1944 już jako ochotnik jest w Batalionie Łączności przy 5 Dywizji Kresowej. Zostaje ranny w walkach wyścigowych do akcji pod Monte Cassino.

Po wyleczeniu wraca do oddziału i odbywa całą kampanię włoską. Po demobilizacji osiedla się w Bradford i pracuje kolejno w kilku fabrykach. Interesuje się sportem i działalnością sportową. Jest czynny w organizacji młodzieży katolickiej. Po tragicznym, a do dziś jeszcze niewyjaśnionym zaginięciu ks. Henryka Boryńskiego, odnajduje w sobie powołanie kapłańskie. Zgłasza się do Polskiego Seminarium Duchownego w Rzymie, by następnie przenieść się do seminarium w Paryżu. W wiele lat po zakończeniu nauki, teraz już jako dorosły mężczyzna uzupełnia swoją wiedzę.

Ale powołanie i upór dopinają celu. Wiosną 1965 roku, zostaje wyświęcony na kapłana w kościele polskim w Londynie. W czerwcu odprawia w Bradford Prymicyjną Mszę świętą, a wkrótce potem zostaje wikarym w parafii polskiej w Manchester. Taką jest historia twardej drogi ks. Henryka Biernata do służby duszpasterskiej.

PIOTR PARTYZANT

Farma „Helderleigh“ w wiosce Huby pod Jorkiem wygląda imponująco. Z frontu przy drodze stoi zgrabne i nowe „bungalow“. Uśmiecha się do przejeżdżających jasnymi oknami. Jeśli jesteś Polakiem, a przypadek skieruje Cię w te strony będziesz tam przyjęty ze staropolską gościnnością. Serdecznie i otwartym sercem.

Zaraz za domem jest sad owocowy. Przeważają jabłonki, jeszcze dość młode, sadzone nieregularnie, a więc tak jak to się zwykło robić w sadach Kielecczyny. Z boku, zaraz na wprost wjazdu z drogi stoi okazały garaż i szopa-sortownia. Przed szopą lekki ciągnik i ciężarówka, a dalej w polu, tak w polu stoją hangary. Tak chyba można tylko określić wielkie i mocne kurniki z okazałymi tysiącami rasowych kur.

Oto paroletni dorobek Piotra Mierzwińskiego.

Z Piotrem znaliśmy się jeszcze w wojsku. Pamiętam jak pod koniec po-

bytu 2 Korpusu we Włoszech dołączył do dywizyjnego Szwadronu Ochrony Sztabu w Macerata. Skromny, spokojny, uśmiechnięty. Przyszedł prosto z partyzantki. Opuścił kraj, kiedy już nie było żadnej nadziei. Był małomówny, więc nazwano go Piotr-partyzant.

Tuż przed demobilizacją zapadł na gruźlicę. Żałowaliśmy dobrego kolegi, ale los porozrzucił nas w różne strony. Urwały się kontakty. Przez ładnych parę lat n.c. o nim nie słyszałem. Aż kiedyś, zupełnie przypadkowo spotkałem go na jednej z polskich imprez w Leeds. Wyglądał czerstwo i zdrowo. Nie było warunków na rozmowę, więc dowiedziałem się tylko tyle, że ma farmę. Przy następnym, już dłuższym spotkaniu opowiedział mi o swoich wojennych przygodach. O tym jak z wielkim uporem dorabiał się własnego gospodarstwa. Jak z partyzanta przedzierzgnął się w angielskiego farmera. Początki były trudne. Każda deska na kurnik, każda nowa inwestycja — to duży nakład własnej pracy i odmawianie sobie wielu przyjemności. Pięć lat takiej harówki — to właśnie ta farma w Huby.

Kiedy odwiedziłem go wraz z rodziną, pewnej spokojnej letniej niedzieli, Piotr był oczywiście przy kurach. W farmerskich butach, w sportowej koszuli doglądał tych sześciuset kurcząt, które w stałej rotacji podrastają do okresowej wymiany. Krótka gawęda w sadzie, zapoznanie dzieci, a żony już na boku omawiają swoje sprawy i troski. Żona Piotra jest Angielką. Pochodzi z rodziny farmerskiej z tych okolic, a teraz dumna jest z męża, który własną pracą dorobił się chyba największej w północnym Yorkshire kurzej farmy. W każdym razie na rynku jajczarskim w Middlesborough jest swojego rodzaju potęgą.

Wieczorem w starym, wiekowym barze, Piotr zdradza mi tajemnicę swego powodzenia: praca i upór — powiada — nie mogłem dopuścić, aby sąsiedzi Anglicy uważali mnie za coś gorszego. Od teścia na którego farmie uczyłem się hodowli, nie wziąłem nawet gwoźdźcia do kurnika. Teraz szanują mnie, nie tylko jako sąsiada ale i jako Polaka. Okazuje się bowiem, że chociaż jest w tym rejonie kulkuset Polaków rozrzuconych po kilku i kilkunastu po różnych wioskach i miasteczkach, prawie wszyscy przyjęli angielskie obywatelstwo. Piotr uważa, że jemu tego zrobić nie wolno. Mówi: „Mam angielską rodzinę, wzięłem się w tutejsze stosunki i zapewne, na zawsze tu już pozostanę. Gdyby Polska była wolna —

to co innego — wtedy bez wahania wziąłbym paszport brytyjski. Tak jak teraz nie mogę. Przecież całą wojnę spędziłem w lesie, w partyzantce. Mnie szczęście sprzyjało i z największych opresji wyszedłem cało. Ale tylu znanych przyjaciół oddało dla sprawy życie. Nie, dopóki Polska nie odzyska prawdziwej wolności — nie mogę zdradzić ich pamięci“.

I teraz dopiero po wielu latach znajomości i przyjaźni po raz pierwszy słyszę wspomnienia Piotra z lat wojny. Opowiada krótkimi epizodami o twardym, pełnym samozaparcia życiu partyzanta. O walkach na Grodzieńszczyźnie i na Podlasiu. Ale najmocniejszym akordem wielkiej tragedii nacechowane było kilka starć — już wojennych — z oprawcami sowieckimi i z oddziałami Bezpieki. Rozpaczliwy bunt więźniów z AK w sowieckim obozie na Lubelszczyźnie i ostatnie walki oddziału Piotra w lasach lubelskich i podlaskich. Kiedy nie było już żadnej nadziei, ci młodzi strażnicy stali się ostatnim aktem protestu. W większości wyginęli.

Piotr, choć stworzył sobie nowe życie w obcym kraju pamięci tamtych przyjaciół pozostał wierny.

MARYNARZ Z POD DĄBIA

Na dalekim przedmieściu Rochdale Edwin Schmidt ma duży skład z używanymi meblami. Przedsiębiorstwo dobrze prosperuje, a dawny pracownik poznańskich Zakładów Cegielskiego jest dziś zamożnym kupcem. Zna i ceni go ośrodek polski w Rochdale, bo zawsze znajdzie trochę czasu aby trafić do kombatanów. Nawet żonę Doreen, rodowitą Angielkę, nauczył dobrze mówić po polsku. Tak dobrze, że teraz potrafi organizować sama grupy polskiej dorastającej młodzieży.

W czasie wojny p. Edwin był marynarzem na „Byskawicy“ i „Konradzie“. Nawet demobilizował się w Portsmouth, gdzie początkowo prowadził kafejkę, ale ostatecznie nowe życie urządził sobie w Lancashire. Mówi: „Odrzuć po wojnie uparłem się, aby być samodzielnym i ostatecznie dopiąłem swego“.

Teraz, gdy szczęśliwie udało mu się nawiązać kontakt z dalszą rodziną w Dąbiu nad Nerem jest w pełni zadowolony, że może się swoim bliskim pościć pełnym sukcesem życiowym.

ODDANA HARCERSTWU I SZKOLE

Trzeba mieć wiele samozaparcia i poświęcenia aby poza wychowywaniem własnych dzieci zajmować się jeszcze — jak czyni to od paru lat p. Helena Sawicka z Leeds — nie tylko nauką w polskiej szkole, ale także prowadzeniem licznej gromady zuchów. Zespo-

ły zuchów i zusek w Leeds, wszystkim dobrze znane „Biedronki“ — to liczna gromadka ponad 30-ro dzieci, znajdujących się pod baczną opieką wychowawczą p. Heleny. Prowadzi ona z niemi cotygodniowe gry i zabawy, a w ostatnich trzech latach towarzyszy swoim zuchom także na corocznych kolonjach wychowawczych.

Sporo czasu zajmuje p. Helenie sobotnia szkoła polska w Leeds, gdzie prowadzi jedną klasę, a jak są imprezy szkolne zawsze jeszcze potrafi roztańczyć nad gromadką „swoich“ dzieci troskliwą opiekę, a bywa i tak, że później grupkami rozwozi je do domu.

(p. t.)

UROCZYSTOŚCI MILLENIJNE W SZKOCJI

Fala uroczystości milenijnych ogarnęła dosłownie całą Szkocję. Odbijają się one nie tylko w tych miejscowościach, gdzie są skupiska polskie, ale również i tam, gdzie Polaków zupełnie nie ma. Bardzo często z projektami urzędzenia obchodu w jakimś szkockim miasteczku występują Szkoci i sami te projekty realizują.

O MILENIUM społeczeństwu szkockiemu przypomniał Arcybiskup Edynburga i St. Andrews ks. Gordon Grey, który zwrócił się z gorącym apelem do wszystkich katolickich proboszczów, aby w dniu 8 maja odprawili specjalne nabożeństwa na intencję Polski. W dniu tym ks. Arcybiskup celebrował uroczyste nabożeństwo w asyście licznej duchowieństwa szkockiego i polskiego w katedrze katolickiej Edynburga. W ślad za duchowieństwem katolickim poszli duchowni innych wyznań. Wygłoszone przez nich w czasie nabożeństw kazania znamionowała wielka znajomość historii Polski, a zwłaszcza obecnej sytuacji, w jakiej Kościół Katolicki w Polsce się znajduje.

Nie brak również przyjemnych odruchów wśród młodszego szkockiego pokolenia. Ograniczę się do przytoczenia jednego, ale bardzo znamiennego przykładu.

Dzieci jednej ze szkół w Edynburgu dla uczczenia Millennium ofiarowały Kołu Związku Inwalidów Wojennych w Edynburgu dużych rozmiarów mozaikę przedstawiającą postać Królowej Jadwigi. Na mozaice widnieje napis „Królowa Jadwiga oraz herby Polski i Litwy. Pod mozaiką, w oddzielnej ramce, widnieje następujący napis po angielsku:

This mosaic was made by St. David's School, West Pilton, in honour of the MILLENNIUM (966—1966) of Christianity in Poland.

This is our present for Polish War Disabled Ex-Servicemen in Edinburgh with Love and Best Wishes.

Piękna i świetnie zorganizowana uroczystość milenijna odbyła się w niedzielę 22 maja na północy Szkocji, w nadmorskim miasteczku Invergordon. Zorganizowała ją polska organizacja „Stowarzyszenie Polaków — Północna Szkocja“ przy wybitnym poparciu i udziale szkockiego społeczeństwa.

Podczas wojny w Invergordon stacjonował 25. Pomorski Batalion Piechoty, wchodzący w skład 4. Dywizji Piechoty. Stosunki pomiędzy polskimi żołnierzami i miejscowym społeczeństwem układały się jak najlepiej. Szkoci okazali polskim żołnierzom wiele serdeczności, roztaczając nad nimi opiekę, jak by to była co najmniej szkocka jednostka wojskowa. Chcąc się im odwdziżyć, w roku 1945 Batalion ufundował miastu „pomnik wdzięczności“. Był to pomnik skromny, ale nie pozbawiony cech artystycznych; obelisk kilkumetrowej wysokości, zakończony stylizowanym orłem, na cokole odpowiednie napisy. Po dwudziestu latach pomnik wymagał gruntownego odnowienia — zadania tego podjęło się Stowarzyszenie Polaków. Wówczas provost miasta zasugerował, aby wokół pomnika urządzić trawnik i całość ogrodzić. Sporządzony kosztorys wyniósł kilkaset funtów. Bynajmniej nie zraziło to Stowarzyszenia; z miejsca zabrano się do gromadzenia funduszy, przeznaczając na ten cel i honoraria, które uzyskał chór Stowarzyszenia za występy w B. B. C. Gdy prace wokół pomnika zbliżały się ku końcowi, dla uczczenia Millennium zorganizowano uroczystość poświęcenia pomnika i przekazania miastu. Na uroczystości przybył biskup Aberdeen, ks. Thomson, który celebrował na intencję Polski uroczyste nabożeństwo, a następnie dokonał aktu poświęcenia pomnika. Należy podkreślić, iż w uroczystości tej wzięły udział duchowni i innych wyznań. Liczne tłumy Szkotów z Invergordon i okolicy w tej uroczystości wzięły udział z Provostem miasta na czele. Uroczystość zakończona została przyjęciem, urządzonym przez Stowarzyszenie dla zaproszonych gości.

Uroczystości milenijne w Szkocji organizowane są przez Komitet Milenijny na Szkocję z siedzibą w Glasgowie. Pracami Komitetu kieruje jego przewodniczący, p. Brodziński. Komitet ma już za sobą wiele zorganizowanych imprez we wszystkich większych miastach Szkocji, jednak główna uroczystość na zamknięcie Roku Milenijnego zorganizowana zostanie na jesieni w Glasgowie.

S. Błaszczak

TRZY WIELKIE IMPREZY POLSKIE W LONDYNIE



W połowie maja br. odbyły się w Londynie trzy wielkie imprezy polskie, które odbyły się szerokim echem wśród całej emigracji. Zdjęcie górne: hołd sztandarów bojowych z drugiej wojny światowej w czasie uroczystości millenijnych na stadionie White City w chwili odegrania hymnu narodowego. — Zdjęcie środkowe: otwarcie Światowego Zjazdu Polski Walczącej. Przemawia (z lewej) dr T. Bielecki — przewodniczący Rady Jedności Narodowej. Przy stole prezydyjnym (od lewej): P. Hęciak, S. Soboniewski, M. Chmielewski (W. Brytania); prezes A. Ciolkosz — przewodniczący Zjazdu; A. Demidowicz-Demidecki (Francja); B. Biega i S. Gierat (Stany Zjednoczone); Z. Celichowski i A. Sas-Korczyński (Kanada). — Zdjęcie dolne: Na przyjęciu w Inst. im. Gen. Sikorskiego z okazji VIII Światowego Zjazdu SPK: od prawej — gen. S. Kopañski, J. Minkiewicz (Holandia), R. Szenwic (Włochy), J. Dąb-Dworski (Australia), J. Hawran (Włochy), gen. W. Anders, W. Zahorski (Włochy)

KSIEŻA kardynałowie, czcigodni bracia, ukochani synowie!

Kim jesteście, wy, którzy uczestniczycie w tym świętym obrzędzie i wypełniacie podniosłymi pieśniami tę Bazylikę?

Wiemy dobrze, i nie sposób zwrócić się do was słowami dzisiejszej Ewangelii przed złożeniem Bogu ofiary Mszy świętej co dopiero rozpoczętej — nie pozdrowiwszy was przedtem i nie nawiązawszy z wami owej łączności duchowej, która powinna przygotować sakramentalną obecność Chrystusa wśród nas.

Nasze zjednoczenie z Nim winniśmy poprzedzić i przygotować jednocząc się między sobą. Urzeczywistnienie Ciała Mistycznego Chrystusa, jakim jest Kościół — staje się narzędziem i celem prawdziwej obecności Chrystusa, który wkrótce stanie wśród nas w tajemnicy Eucharystii.

Wiemy dobrze kim jesteście! Zaprosiliście nas przecież na tę uroczystość, a myśmy oczekiwali w tym świętym obrzędzie jak ojciec przyjmuje synów, przychodzących z dala w progi rodzinnego domu, który jest zarówno domem ich jak i jego, tak my cieszymy się niezmiernie, że jesteście z nami i że możemy roztworzyć wam nie tylko bramy tej świątyni, strzegącej grobu świętego Piotra, ale również ramiona i serce.

Wiemy! Jesteście Polakami! Prawdziwymi Polakami, a tym samym i katolikami. Pielgrzymami polskimi przychodzącymi z rozmaitych i dalekich stron, rozproszonymi po świecie, ale zawsze pamiętającymi o wspólnym pochodzeniu, świadomymi zawsze braterstwa krwi, wspólnoty historii, języka i religii. Zawsze gotowymi wejść na drogę wspólnego i głównego celu, jak to napisał wasz narodowy poeta: „Gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a busolą miłość Ojczyzny“.

Pielgrzymi polscy! Witajcie! Nie zmyliliście drogi przychodząc do Rzymu na spotkanie z nami.

Jak wy teraz tutaj reprezentujecie cały wasz naród, zarówno przebywający w kraju rodzinnym, jak i ten liczny, a sławny, rozsiany po całym świecie, podobnie Rzym katolicki, to źródło waszej wiary — ośrodek jedności i powszechności Kościoła świętego, ta Stolica Piotrowa, gdzie poprzez wieki znajduje ochronę ktokol-

PAPIEŻ PAWEŁ VI

wiek stara się budować świat oparty na prawdzie, miłości i sprawiedliwości, wolności i nadziei — ta przyśtań apostołska jest obecnie symbolem waszej Ojczyzny — i zaprawdę również dla was rzeczywistą Patria Communis — wspólną Ojczyznę.

Jesteśmy szczęśliwi, że możemy przyjąć was i powitać właśnie w chwili kiedy uczucie ku waszej świętej ziemi jest w was tak żywe i kiedy konieczność uświadomienia sobie czym jesteście, staje się obowiązkiem, od którego nie wolno wam się uchylić.

Radość wyrażenia przez was wszystkich razem waszej wierności i waszego braterstwa wynagradza wam tyle lat uchodźstwa i tak wiele trudów podjętych dla urzeczywistnienia tego niezwykłego spotkania.

Jakiż tedy jest powód tej waszej pielgrzymki i naszego spotkania?

I to wiemy. Trzeba jednak, abyśmy ogłosili tę przyczynę ku czci Bożej, wam na chwałę, całemu kościołowi na umocnienie, a światu na wzór.

Obchodzicie rocznicę! Liczycie tysiąc lat! Przebiegacie na nowo historię dziesięciu wieków. Wracacie do źródeł waszej świadomości narodowej. Radujecie się, że jednoczycie waszą godność wolnego i zjednoczonego narodu i postanowienie cywilizacyjne waszych plemion między ludami społeczności międzynarodowej z faktem religijnym, z rzeczywistością przekraczającą ramy wielkiej polityki doświadczeń przyrodzonych. Z czynnikiem mistycznym, prawda, ale z czynnikiem jak żaden inny wdrażającym, rozstrzygającym i decydującym o naszym istnieniu i to tak jednostek jak i wybranego ludu, jako narodu nieśmiertelnego.

Chodzi — wszyscy o tym dobrze wiemy — o chrzest święty, przyjęty w 966 roku przez księcia z rodu Piastów, głównych organizatorów plemion słowiańskich, zamieszkujących ziemie polskie. O chrzest Mieszka, męża pobożnej katolickiej księżniczki czeskiej Dąbrowki. On pierwszy dał swojemu dworowi i swojemu ludowi przykład, w owym czasie decydujący o przyjęciu chrześcijaństwa. Pierwszy też przyczynił się do włączenia swego narodu, stojącego się

państwem średniowiecznym, do Kościoła Katolickiego.

Stolica Piotrowa i światło Rzymu wywarły swój wpływ na rodzące się duchowe życie narodu.

Wiara chrześcijańska, język i pismo łacińskie, świadomość przynależności do świata zachodniego zapoczątkowały wspólnie nową kulturę narodu polskiego, która później miała dawać poprzez swoje instytucje polityczne, religijne, naukowe i artystyczne w ciągu Tysiąclecia pełnego burz i chwaty nieprzerwane świadectwo swej niegasnącej żywotności moralnej, niewątpliwej swoistości etnicznej.

Zegar wieków milczący poprzez liczne i długie okresy tak iż mógł zrodzić wątpliwość w jego przetrwanie — przebudził się dzisiaj i bije równo i donośnie w swój dzwon: pierwszy, drugi, trzeci, dziesiąty wiek.

Polsko! Jakże wielka to godzina w twoim życiu! Godzina Tysiąclecia!

Głos, który niesie echo dawnych czasów, jest wstrząsający. Każde miasto narodu polskiego go wyraża, każdy pomnik ojczysty powtarza go, każda mogiła w tajemniczy sposób go przekazuje. Jest to głos, który woła: „Polska żyje!“, głos, który śpiewa: „Polska jest zjednoczona!“, głos, który płacze: „Polska cierpi!“, głos, który się modli: „Polska jest katolicka!“.

Jest to głos wielkich, głos bohaterów, głos artystów, głos młodzieży, głos ludzi prostych, głos świętych! Głos ten staje się chórem. Cały naród woła jednomyślnie: „Słuchajcie! Słuchajcie!“ To naród powtarza (te słowa papież wypowiada po polsku): „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Jest rzeczą piękną i jest obowiązkiem wstuchiwanie się w głos wieków, gdy staje się on orędziem wierne przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Pragniemy powiedzieć, synowie najmilsi, że obchody waszego Tysiąclecia są wydarzeniem niezmiernie ważnym. Dobrzeście uczynili przygotowując się do nich tak sumiennie. Przez dziewięć lat rozmyślaliście i modliliście się, by uświadomić sobie

DO NARODU POLSKIEGO

KAZANIE WYGŁOSZONE 15 MAJA 1966 W BAZYLICE ŚW. PIOTRA W RZYMIE

jego prawdziwe znaczenie historyczne i moralne. Stosownie też postąpiliście, obchodząc tak wielki dzień religijny i powszechną uroczystością. Jej doniosłość wynika z potrójnej perspektywy dziejowej.

Z perspektywy przeszłości.

Pamięć o czasach minionych jest szkołą szlachetną i mądrą. Świadomość historyczna sprzyja wychowaniu narodu, daje mu poczucie własnej godności, umiłowanie wolności i jego jedności, zapat do zwartego i uporządkowanego rozwoju.

Więcej — w takim narodzie jak wasz, syntetyczne spojrzenie na własną przeszłość pomaga w odkryciu właściwego mu geniuszu etnicznego, powołania obywatelskiego, jak również jego misji duchowej. Może ono także w oparciu o pewne szczególne znaki odsłonić plan Boży. Bóg prowadzi dobre narody. W trudnych zaś i ciemnych godzinach to rozważne spojrzenie na przeszłość może stać się źródłem światła, mocy i nadziei.

Doniosłość Tysiąclecia wynika również z perspektywy teraźniejszości.

Teraźniejszość zawiera w sobie liczne, bardzo ważne i zawiłe zagadnienia życia współczesnego. Zagadnienia, które jak wszyscy wiemy, nastrożają tak wiele trudności, a równocześnie tyle możliwości szczęśliwych rozwiązań.

Głównym zagadnieniem jest tu niewątpliwie miejsce i rola, jaką należy przyznać życiu religijnemu w społeczeństwie dzisiejszym, a które znajdują swoje uzasadnienie w obchodach Tysiąclecia.

Wierzimy, że obchodów Tysiąclecia chrześcijaństwa narodu polskiego nie można podejrzewać ani o charakter antypaństwowy, ani o chęć przywrócenia przywilejów teokratycznych, względnie przestarzałych ustrojów politycznych lub społecznych. Obchody te należy uznać za wyraz dążenia narodu wierzącego do prawdziwej wolności religijnej i obywatelskiej, należnej mu nie tylko z prawa natury, ale i z tytułu jego wielowiekowej charakterystycznej a tak czcigodnej tradycji.

Sądzimy więc, że obchody te nie sprzeciwiają się zupełnie dobrobytowi i postępowi nowoczesnego społeczeństwa. Należy raczej uznać, że przynoszą mu zaszczyt i korzyść.

Z tego względu — jak to zostało szeroko rozgłoszone — pragnęliśmy osobiście na zaproszenie kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski i arcybiskupa Warszawy oraz całego Episkopatu i tyłu naszych synów tego drogiego narodu, przynieść nasze ojcowskie pozdrowienie ludowi polskiemu, oraz złożyć nasz korny hold Najświętszej Pannie czczonej w Częstochowie, by z wszystkimi Polakami żyjącymi w ojczyźnie i poza jej granicami we wszystkich stronach świata uczcić tak chwalebny rocznicę.

Jednak nie pozwolono nam na tę pielgrzymkę, chociaż ujawniliśmy w sposób uczciwy i należyty nasz zamiar i zapewniliśmy, że nasza bardzo krótka podróż miałaby charakter wyłącznie religijny i ograniczyłaby się jedynie do wzięcia udziału w tak wyjątkowej, bo tysięcznej rocznicy.

Odczuliśmy naturalnie bardzo boleśnie tę odmowę również ze względu na osobiste uczucia miłości, jakie żyjemy dla Polski.

Jesteśmy przekonani, że podane motywy, mające uzasadnić uniemożliwienie naszej pielgrzymki, przypisane postępowaniu i stanowisku najczcigodniejszego kardynała Wyszyńskiego, nie są słuszne i nie możemy uwierzyć, by znalazły one poparcie w ogólnych uczuciach tak szlachetnego i tak oddanego Kościołowi narodu, jakim jest Polska. Ale dodajemy natychmiast, że z tego powodu nie kochamy mniej umiłowanej Polski. Zapewne podobnie uczynicie i wy, najdrożsi synowie obecni tutaj, jak czynią to wierni Polacy przebywający w ojczyźnie i w rozproszeniu na całym świecie.

I otóż to właśnie stanowi perspektywę przyszłości, jaką otwierają obchody Tysiąclecia.

Powinniśmy jeszcze bardziej niż w przeszłości kochać tę drogą, utra-

coną, ale zawsze żywą i zawsze wierzącą Polskę. Miło nam podkreślić, że obchody Tysiąclecia są wielkim wyznaniem wiary katolickiej. Jesteśmy pewni, że to wyznanie, dalekie od powiązania z tym co przeminęło, dalekie również od gaszenia ducha narodowego, wzmocni Polskę i otworzy jej bramy prawdziwego i zbawiennego zdobywania współczesnego życia na drogach myśli i wiedzy, wolności obywatelskiej i postępu społecznego, na drogach współpracy, zgody i pokoju w życiu międzynarodowym, na drogach szlachetności, uprzejmości, świętości i wszelkiej ludzkiej doskonałości. Bo wiara jest prawdą, wiara jest mocą, wiara jest życiem, wiara jest zbawieniem.

Miło nam wreszcie podkreślić, że ten akt tysiącletniej wiary wyraża się praktycznie w dwóch przejawach, które ją zawierają, ujawniają i potwierdzają.

W synowskim przywiązaniu do Stołicy świętego Piotra i w hołdzie składanym Najświętszej Pannie Matce Chrystusa, a więc Matce Boga, a tym samym i Matce naszej.

Dziękujemy Bogu, synowie najmiłsi, za niezastąpiony dar wiary udzielony Polsce katolickiej. Odnówmy postanowienie dochowania wiary, zawsze silnej i zawsze czynnej na przyszłe lata i na przyszłe wieki.

Kościół wzywa nas dzisiaj abyśmy prosili, by Bóg zapewnił Polsce swą opiekę i błogosławieństwo.

(Papież po polsku:)

Nasza myśl wybiega w tej chwili ku kardynałowi Wyszyńskiemu, ku wszystkim biskupom polskim, ku kapłanom, zakonnikom i zakonnicom, ku synom katolickim, ku młodzieży, ku pracującym. Wybiega także, bo tak nakazuje czynić obowiązek chrześcijański, do wszystkich władz świeckich, prosząc Boga, by je wspomagał w zapewnieniu narodowi prawdziwego i prawowitego wspólnego dobra. Wybiega nade wszystko nasza myśl ku Pani Naszej Częstochowskiej, aby otaczała nieustającą opieką ziemię, Kościół, naród polski.

NAJGORSZYM biletem wizytowym każdej organizacji jest komunikat jej władz, który donosi, że takiego i takiego dnia „w podniosłym nastroju” odbył się jej walny zjazd, który wykazał „niezachwianą postawę ideową, stworzył nowe zręby” itd. Takich komunikatów czytaliśmy już tysiące i gdyby nasz ostatni zjazd pokwitować czymś podobnym, nikt by już nie miał siły na przejrzenie tych, słusznym zresztą i zgodnym z prawdą, uwag. Wrzucono by je do kosza i Stowarzyszeniu stałoby się wielka krzywda, bo właśnie ostatni zjazd nie był ani banalny ani suchy jak urzędowy komunikat.

Przyśpieszono go o rok, by zjechać się w okresie obchodów milenijnych, zjazdu Polski Walczącej i dwudziestolecia Stowarzyszenia i te właśnie okazje wywarły na nasze obrady pewien wpływ, ale tylko częściowy. Były pewne trudności z terminami, zjazd trzeba było kilkakrotnie przerywać i wynikały z tego powody niewygody, ale nie należy przeczyć i korzyści. Ostatecznie, nie codziennie gromadzi się 40 tysięcy Polaków na wielkim stadionie. Była to wielka manifestacja nie tylko przywiązania do tysiąclecia naszych dziejów, ale także polskiej solidarności i więzi, która nas łączy. Demonstrujemy ją rzadko, bardzo rzadko, ale gdy zachodzi potrzeba objawia się ona z wielką siłą. Na pewno dobrze się stało, że delegaci z całego świata, którzy przybyli na nasz zjazd, mogli być na White City.

Trudności w układaniu programu naszych obrad były, ale nie zaważyły na wynikach zjazdu. Stało się tak dzięki dużej pracy jaką wykonały: Komitet Zjazdowy, Biuro Studiów i Prezydium Rady. Od wielu miesięcy te trzy zespoły pracowały bardzo zgodnie, by jak najlepiej przygotować poważną liczbę wniosków. Niektóre z nich wymagały

JÓZEF GARLIŃSKI

PO ÓSMYM ZJEZDZIE



Otwarcie VIII Światowego Zjazdu SPK w sali „Ogniska Polskiego” w Londynie: od lewej — ks. biskup W. Rubin, gen. W. Anders, gen. T. Bór-Komorowski, amb. E. Raczyński, ks. inf. B. Michalski

Foto: W. Bednarski

drobiazgowej analizy i kilkakrotnej dyskusji, wszystkie były przedmiotem głębszych rozważań. Zanim weszły na obrady zjazdu, rozestano je uprzednio w teren do wszystkich krajów, w których Stowarzyszenie ma swoje oddziały. Dzięki tej dużej pracy przygotowawczej dyskusja nad wnioskami już w czasie obrad była znacznie łatwiejsza i bardziej sprawna.

Pamiętając o wnioskach i sprawozdaniach, nie przeoczono także strony czysto organizacyjnej. Jest ona mocnym punktem Zarządu Federacji, ale o niedociągnięcia przecież łatwo. Nie było ich i delegaci, którzy zjechali z całego

niemal świata, powrócili do krajów swego osiedlenia bez żadnych utyskiwań.

Najmocniejszą stroną naszych zjazdów są właśnie ci delegaci z dalekich ładów. Przyjazd ich jest kosztowny, muszą opuszczać swe warsztaty pracy i ponoszą straty materialne, ale obecność ich jest bezcenna i nigdy nie będzie można z niej zrezygnować. Żadna korespondencja, żadne wyjazdy przedstawicieli centrali, żadne dorywcze kontakty nie zastąpią dni, w których Koledzy z Kanady, St. Zjedn., Argentyny, Południowej Afryki, Australii i całej niemal Europy spotykają się wszyscy razem. Godzina wspólnej wymiany informacji i wrażeń, godzina wspólnej dyskusji daje więcej niż miesiące korespondencji. Wnioski, które się wspólnie uchwała, mogą być wartościowe tylko wówczas, gdy poprzedzi je konfrontacja rzeczywistości na wszystkich terenach naszego osiedlenia. Rzeczywistość ta jest różna a przede wszystkim podlegająca ciągłym zmianom. Obecność przedstawicieli ze wszystkich krajów i ich udział w dyskusji dają gwarancję, że wnioski będą dostosowane do potrzeb i wymagań całości Stowarzyszenia a nie tylko Londynu i centrali. Popatrzmy zresztą na to samo zagadnienie z innej strony. Co by się stało, gdyby zrezygnować ze zjazdów, obrócić wydawane na nie pieniądze na inne cele i ograniczyć się do korespondencji i dorywczych kontaktów? Czy Stowarzyszenie utrzymałoby swój charakter? Na pewno nie. Z organizacji społecznej przemieniłoby się w instytu-



Na „lampce wina” z okazji VIII Zjazdu SPK. Od lewej: prezes Federacji gen. K. Ziemiński, W. Chodorowski, prezes SPK w Stanach Zjednoczonych — inż. S. Gierat, sekretarz SPK W. Brytania — T. Krasoń, ks. biskup Władysław Rubin, gen. Scaewola-Wieczorkiewicz, gen. B. Duch

Foto: W. Bednarski

S. P. K.

cję. Posiadałoby nadal domy i przedsiębiorstwa produkujące pieniądze, ale duch wolnej myśli i dyskusji uleciałby zeń na zawsze. Przestałoby być reprezentantem dużego odłamu naszego wychodźczego społeczeństwa, samo pozbawiłoby siebie prawa do zabierania głosu w sprawach, w których potrzebna jest wypowiedź opinii publicznej.

Ósmy zjazd zamknął okres pierwszego dwudziestolecia naszego Stowarzyszenia. Był to okres trudny, w którym szukano dróg, szukano miejsca dla polskich żołnierzy w wolnych krajach zachodniego świata. W poszukiwaniach tych zrobiono wiele błędów, ale osiągnięcia pozytywne znacznie je przewyższały. Dzięki temu SPK jest dziś organizacją silną, opartą na zdrowych podstawach materialnych i mającą wyraźny kierunek ideowy. Wszędzie tam, gdzie działa, jest uznawane przez miejscowe władze, reprezentuje polskie wychodźstwo wojenne, niesie pomoc potrzebującym, stanowi widomy symbol walczącego o wolność narodu.

W pełnym poczuciu obowiązków, jakie na nas ciąży, z pełną świadomością celów i zadań wchodzimy w nowe dwudziestolecie.

UCHWAŁY VIII ZJAZDU

Zjazd powziął szereg uchwał mających żywotne znaczenie dla Stowarzyszenia, a w wielu wypadkach dla całości naszego życia zbiorowego. Poniżej zamieszczamy teksty trzech uchwał:

TYSIĄC LAT ORĘŻA POLSKIEGO

Stowarzyszenie Polskich Kombatanów Federacja Światowa, łącząc się z całym narodem w obchodzie Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej, patrzy z dumą na historię żołnierza polskiego w służbie narodu.

Zbrojne ramie narodu służyło zawsze polskiej racji stanu, opartej na przyrodzonym prawie bytu i fundamentach chrześcijańskiej wiary i kultury.

Z perspektywy tysiąca lat jasno widzimy główne zadania, które w wielkich historycznych etapach ciążyły na siałach zbrojnych narodu.

W piastowskim okresie rycerskie drużyny naszych królów i książąt walczyły z naporem niemieckim na zachodnim pograniczu, a potem z zabobnością krzyżackiego zakonu, aż wreszcie grunwaldzkie zwycięstwo położyło kres ówczesnej zbrojnej ekspansji germanizmu.



FRAGMENT OTWARCIA VIII ZJAZDU S.P.K.

Od lewej: prezes SPK W. Brytania — S. Soboniewski, S. Lewicki, Z. Szadkowski, inż. J. Zaba, Cz. Czapliński, W. Kipp, W. Chodorowski, J. Sniechowski

Foto: W. Bednarski

To przełomowe zwycięstwo — owoc połączenia sił Polski i Litwy — otworzyło zarazem nowy okres dziejów, już odtąd Rzeczypospolitej trojga narodów, tego wspaniałego przykładu dobrowolnego połączenia się i stopniowego zrastania ludów o różnych językach, tradycjach i wyznaniach. W obronie tej jagiellońskiej wspólnoty narodów przed rosnącą potęgą Moskwy i niebezpieczeństwem tureckim na wielu polach bitew walczyli ramie przy ramieniu Polacy, Litwini i Rusini. W taktyce broni konnej polska sztuka wojenna wyprzedziła wtedy resztę Europy. Oręż polski zabłysnął zwycięstwami Tarnowskiego, Batorego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Czarnieckiego i Sobieskiego. Ostatnim wielkim czynem tej epoki było zwycięstwo pod Wiedniem.

Po nieszczęsnym saskim okresie załamania się energii i poczucia obywatelskiego, odradzający się w stanisławowskich czasach naród musiał już toczyć rozpaczliwą walkę o samo istnienie państwa, a po rozbiorach o odzyskanie niepodległości. Przez długi okres niewoli naród czerpał siły duchowe z natchnionej twórczości swych wielkich mistrzów słowa i artystów oraz z ofiary krwi, którą kolejne pokolenia składały w powstaniach i ruchach rewolucyjnych, a także w walkach o wolność innych uciskanych narodów. Rycerskim zawołaniem żołnierza polskiego stało się szlachetne hasło: „za wolność naszą i waszą” — wyraz głębokiej prawdy, że wolność jest niepodzielna. Temu hasłu żołnierz polski był wierny od Kościuszki i Pułaskiego aż po wszystkie pomniki chwały oręża polskiego w drugiej wojnie światowej.

Ukoronowaniem wysiłków i walk kilku pokoleń był dzień 11-go Listopada 1918 roku, a zwycięstwo Józefa Piłsudskiego w 1920 roku zapewniło Polsce

oknes niepodległości, której największym moralnym osiągnięciem było zjednoczenie wszystkich warstw społecznych w poczuciu odpowiedzialności za losy Państwa. Z atmosfery tego moralnego zespolenia wyrósł wspaniały żołnierz polski kampanii wrześniowej i całej drugiej wojny światowej ze szczytem męstwa i poświęcenia w powstaniu warszawskim.

Dzięki temu zespoleniu naród nie załamał się w katastrofie 1939 roku. W heroicznej postawie przetrwał okupację niemiecką i sowiecką i nadal, pod narzuconym komunistycznym reżymem, trwa w wierności, narodowym i chrześcijańskim ideałom.

W tej nowej ciężkiej próbie serdeczna myśl nasza biegnie do naszych braci-żołnierzy w Polsce i w wielu krajach świata. W ich gorący patriotyzm, umiłowanie wolności i gotowość do poświęceń dla lepszej przyszłości Ojczyzny niezachwianie wierzymy.

PRZYSZŁOŚĆ S. P. K.

W dwudziestą rocznicę powstania SPK myśli nasze, jak w chwili zakładania organizacji i jak przedtem na polach walki, biegna ku naszej Ojczyźnie. Przez dwadzieścia lat istnienia naszej organizacji pozostaliśmy wierni tym samym ideałom, o które walczyliśmy w szeregach PSZ w Kraju i poza jego granicami. Szeregi naszej organizacji otwarliśmy dla młodzieży, by wspólnie z młodszym pokoleniem prowadzić walkę o wolność narodu polskiego, jego prawa i by ideę służby dla narodu przekazać w ręce naszych następców. Oddziały naszego Stowarzyszenia powstały i pracują w niemal wszystkich krajach polskiego osiedlenia. Staliśmy się organizacją społeczną o światowym zasięgu opartą na zdro-

wych demokratycznych podstawach, której zapewniłoby zdrowe podstawy finansowe.

W rozważaniach na temat przyszłości organizacji bierzemy pod uwagę podwójne zadanie, jakie stoi przed tą częścią narodu polskiego, która znalazła się poza granicami ojczystego Kraju. Pierwsze zadanie to przywrócenie naszej Ojczyźnie pełnej wolności, przywrócenie narodowi polskiemu swobody urządzania życia wedle własnej woli. Dla spełnienia tego zadania kontynuujemy walkę polityczną o niepodległość, a za swój obowiązek szczególnie uważamy utrzymanie wierności idei niepodległości w całym zorganizowanym polskim życiu społecznym. Drugie zadanie to utrzymanie związku z Krajem i naszą kulturą części narodu polskiego poza jego granicami i osób polskiego pochodzenia oraz wychowanie przyszłych pokoleń w łączności z krajem ojczystym. Dla realizacji tego zadania SPK szczególną troską otacza młodzież polską, a w dziedzinie utrzymania polskości stara się współpracować ze wszystkimi organizacjami i instytucjami polskimi w wolnym świecie.

Pod względem organizacyjnym stawiamy sobie dwa główne cele na przyszłość:

Pierwszy to rozbudowa własnej organizacji, do której jest dostęp otwarty dla wszystkich Polaków, stojących na stanowisku utrzymania świadomości narodowej i współdziałania w wysiłku na rzecz przywrócenia narodowi polskiemu pełnej wolności. Na tych terenach polskiego osiedlenia, gdzie zaistnieją ku temu warunki, będziemy się starali stać się organizacją powszechną, do której powinien należeć każdy Polak, bez względu na to, do jakiej organizacji należy.

Drugim naszym celem będzie koordynacja prac wszystkich polskich organizacji społecznych w poszczególnych krajach i wzmocnienie całości polskiego życia społecznego. W tym celu SPK w pierwszym rzędzie umacniać będzie współpracę z innymi polskimi organizacjami kombatanckimi, aż do zlania się w jedną organizację w miarę powstawania warunków oraz zgody zainteresowanych.

SPK będzie w życiu społecznym popierać na każdym terenie prace koordynacyjne. Uważamy, że w każdym kraju polskiego osiedlenia powinna powstać polska reprezentacja społeczna, zrzeszająca wszystkie polskie organizacje społeczne i koordynująca ich współpracę. Uważamy za celowe tworzenie instytucji łączących wysiłki istniejących organizacji społecznych szczególnie na polu prac kulturalno-oświatowych i w dziedzinie opieki społecznej. Uważamy wreszcie za wskaza-

ne, by w tych krajach polskiego osiedlenia, gdzie będą ku temu warunki i zostanie osiągnięte porozumienie istniejących organizacji, tworzyć organizację powszechną, lub też przekształcić w nią jedną z organizacji istniejących. Celem naczelnym powinno być skupienie wysiłków i zorganizowanie najszerszych rzesz polskiego pochodzenia w jak najprostszym systemie organizacyjnym.

Wreszcie SPK będzie pracować nad wyłonieniem światowej polskiej reprezentacji społecznej — Światowego Kongresu Polskiego. W tym przedmiocie VIII Światowy Zjazd SPK podejmuje oddzielną uchwałę. Światowy Kongres Polski winien objąć zarówno przedwojenną emigrację polską, jak i nową emigrację polityczną.

We własnej pracy organizacyjnej i we współpracy z innymi organizacjami i instytucjami szczególny nacisk kłaść będziemy na rozbudowę szkolnictwa polskiego wszystkich szczebli.

Polskie życie społeczne winno obok zaspokojenia potrzeb narodowych wspanąć na wszystkich terenach osiedlenia polskie życie religijne, a w szczególności parafie polskie tam, gdzie istnieje możliwość ich zorganizowania i utrzymania.

Wreszcie, polskie życie społeczne winno być zapleczem dla działalności polskich czynników politycznych, które do czasu odzyskania przez nasz naród wolności muszą prowadzić działalność polityczną poza granicami Kraju.

Zatem przyszłość naszej organizacji widzimy:

- 1) w kontynuowaniu przez nią walki o niepodległość;
- 2) w skupieniu na gruncie idei niepodległości całego polskiego życia społecznego w wolnym świecie;
- 3) w dalszym przyciąganiu młodzieży do naszej organizacji i popieraniu prac organizacji młodzieżowych;
- 4) w rozbudowie SPK w organizację powszechną wolnych Polaków na tych terenach, na których zaistnieją ku temu warunki;
- 5) w stałej pracy na rzecz koordynacji i upowszechnienia życia społecznego we wszystkich krajach polskiego osiedlenia;

Czy jesteś członkiem SPK ?

- 6) w pracy nad powołaniem Światowego Kongresu Polskiego jako naczelnej reprezentacji społecznej Polaków i osób polskiego pochodzenia w wolnym świecie.

VIII Światowy Zjazd SPK w dwudziestą rocznicę istnienia naszej organizacji wyraża wiarę w jej dalszy rozwój i zwraca się do wszystkich polskich organizacji społecznych w wolnym świecie z apelem o skupienie wysiłków, których celem powinno być zjednoczenie Polaków i osób polskiego pochodzenia w jedną wielką wspólnotę, owianą duchem miłości Polski i poczuciem braterstwa.

ŚWIATOWY KONGRES POLSKI

Dla skuteczniejszego pełnienia zadań polskich organizacji społecznych w wolnym świecie należy je wzmocnić i zakreślić działalność poszerzyć przez powołanie Światowego Kongresu Polskiego.

1) W wolnym świecie znajduje się wielomilionowa rzesza Polaków i osób polskiego pochodzenia. Rzesza ta, pod warunkiem właściwego zorganizowania, może waleń wzmocnić naród polski w walce o jego wolność i prawa, a równocześnie oddać poważną przysługę krajowi swego osiedlenia, przyczyniając się do zwalczania komunizmu i niewoli, jak również do utrzymania trwałego pokoju, którego warunkiem na terenie Europy jest wolność narodów pomiędzy Niemcami i Rosją.

2) Życie polskie w poszczególnych krajach osiedlenia skupia się w organizacjach politycznych i społecznych. Zasadniczym celem pierwszych jest prowadzenie politycznej walki o niepodległość. Naczelnymi celami pracy wszystkich polskich organizacji społecznych powinno być:

- a) utrzymanie polskości oraz związku z kulturą polską,
- b) podtrzymanie walki narodu polskiego o wolność i należne mu prawa,
- c) pomoc dla ojczystego kraju,
- d) krzewienie ducha współpracy z narodami w tym samym co Polska położeniu geograficznym i z wolnymi narodami uznającymi prawa narodu polskiego,
- e) pomoc wzajemna.

3) Zadania Światowego Kongresu Polskiego winny obejmować:

- a) reprezentację polskiego życia społecznego poza Krajem,
- b) koordynację działalności organizacji społecznych,
- c) ustalanie naczelných zadań i metod pracy,

NOWE WŁADZE FEDERACJI ŚWIATOWEJ S.P.K.

d) bezpośrednie kierownictwo akcji o znaczeniu ogólnonarodowym oraz naczelnych polskich instytucji społecznych, których zakres działania i koszty przekraczają ramy i możliwości poszczególnych organizacji.

4) Światowy Kongres Polski powinien opierać się w zasadzie na polskich społecznych reprezentacjach krajowych.

5) VIII Światowy Zjazd SPK wznowia w roku milenijnym inicjatywę powołania Światowego Kongresu Polskiego wierząc, że na odcinku polskiego życia społecznego będzie to godnym i trwałym uczczeniem tej wielkiej rocznicy narodu polskiego.

VIII Zjazd powołał nowe władze Stowarzyszenia. Do Prezydium Rady wybrano: gen. K. Glabisz — przewodniczący; inż. J. Żaba oraz J. Wawrzkiwicz — wiceprzewodniczący; J. Garliński i S. Lewicki — sekretarze; dr S. Benedykt, mec. M. Chmielewski, A. Fedyk, P. Hęciak, K. Sabbat i H. Zabiński — członkowie Prezydium.

Komisja Rewizyjna Federacji: G. Tysocki, M. Piekarczyk, M. Czank, T. Dą-

browski, J. Dudziński, J. Kazimierski, J. Trytko, A. Pomian-Izdebski i S. Wisłocki.

Zarząd Federacji: gen. K. Ziemiński — prezes; Stanisław Lis, S. Soboniewski¹ S. Wąsik — wiceprezesa; Z. Szadkowski — sekretarz generalny; Cz. Czapliński, A. Czułowski, Z. Kołodziejski i O. Marcinek — członkowie Zarządu.

Zarząd PCA Ltd: S. Soboniewski — przewodniczący.

P.C.A. RADIO na wystawie elektronicznej



W tegorocznej międzynarodowej wystawie elektronicznej, która odbyła się w maju br. w londyńskiej Olimpii, wzięła udział także fabryka kombatancka P. C. A. RADIO.

Stoisko P.C.A. Radio — urządzone bardzo starannie i ze smakiem — cieszyło się dużym zainteresowaniem zwiedzających. Był to niewątpliwie sukces, jeśli zważyć jak olbrzymia jest dzisiaj konkurencja w dziedzinie magii elektronicznej, rzucającej każdego roku przed oczy zdumionego widza setki, jeśli nie tysiące, przeróżnych mechanizmów, wykonujących nieprawdopodobnie skomplikowane prace.

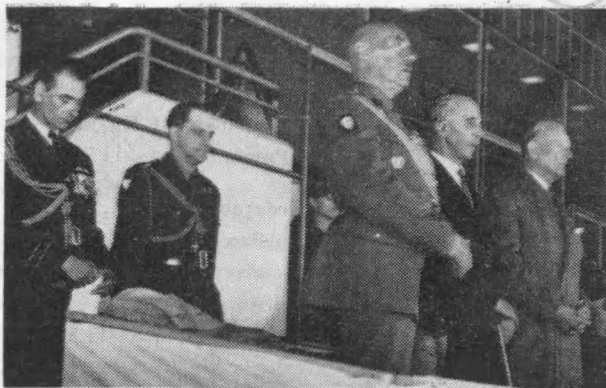
P. C. A. Radio wystąpiło z kilkoma, bardzo interesującymi wynalazkami własnej konstrukcji. Jeden z mechanizmów, to automatyczna ładownica akumulatorów oparta na nowej zasadzie, polegającej na zastosowaniu magnetycznego amplifikatora.

Inny wynalazek: automatyczny wyłącznik światłoczuły. Dzięki niemu następuje automatyczne zapalenie się i gaśnięcie światła, w zależności od intensywności światła naturalnego.

Dalej przyrząd do automatycznego sprawdzania włośzytych kabli połączeniowych. Aparat ten, najciekawszy chyba ze sprzętu wystawionego przez P.C.A. Radio, pozwala w prosty automatyczny sposób wykrywać wszelkie usterki połączeniowe 25, a nawet 50-cio żyłowego kabla, co ogromnie skraca czas dla tego rodzaju pracy. Ciekawa jest w swym pomysłowości transistorowa kondensatorowa przystawka zapłonowa do samochodu; daje ona mocną iskrę bez względu na obroty silnika oraz na stan baterii, powoduje tylko minimalne spalanie kontaktów przerywaczy i utrudnia kradzież samochodu.

I wreszcie mały, ale sympatyczny przyjaciel człowieka: sygnalizujący zegar elektryczny, który w zależności od nastawienia, odzywa się w odpowiednich odstępach czasu, nawet pięćminutowych.

A. Cz.



Członkowie Rady Trzech w łoży honorowej na White City: gen. W. Anders, gen. T. Bór-Komorowski i amb. E. Raczyński. Za nimi adiutanci: major pil. B. H. Drobiński, b. dca dyw. 303 i por. J. Konopka

MANIFESTACYJNY NA STADIONIE "WHITE CITY" W LONDYNIE

PAWEŁ HĘCIAK

(Wszystkie fotografie na stronach 32 i 33 wykonał W. Bednarski)

Dwie manifestacje polskie w Londynie pozostaną na zawsze pamięci naszej i zapisane zostaną złotymi zgłoskami w historii tej emigracji: sławny „pochód milczenia“ z kwietnia 1956 z udziałem ponad 30.000 Polaków — i wielu przedstawicieli narodów ujarzmionych ze wschodniej Europy — z okazji wizyty sowieckich dygnitarzy — Chruszczowa i Bułganina oraz manifestacja milenijna w dniu 22 maja br. na stadionie White City w Londynie z udziałem 40.000 Polaków.

Gdy pierwsza manifestacja była protestem, druga podkreśleniem naszego związku z Krajem, z jego przeszłością tysiącletnią a jednocześnie hołdem oddanym episkopatowi polskiemu z Prymasem Polski ks. kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele. Czekaliśmy wszyscy na ten wielki dzień od lat, bo od kilku lat trwały w całej Anglii, wszędzie, gdzie tylko były serca polskie, przygotowania do jak najgodniejszego uczczenia Tysiąclecia Polskiej Chrześcijańskiej. A obchodów tych jest niezmiernie wiele. Urządzają je parafie i organizacje społeczne, działacze świeccy wspólnie z duchowieństwem. Zgodnie zaś z duchem tolerancji biorą w nich udział przedstawiciele różnych wyznań. I to jest także wielką siłą tych uroczystości.

Przygotowania do uroczystości trwały pełnych pięć lat i — jak to zwykle bywa — nie obywało się bez trudności. Ale w miarę upływu czasu, gdy krystalizowały się projekty i plany, i zbliżał się nieuchronnie ważny termin majowy, gdy zdawano sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, by ta manifestacja odbyła

się jak najgodniej i stała się naprawdę wydarzeniem historycznym, gdy uświadamiano sobie coraz bardziej, że to przecież tylko raz na tysiąc lat można przeżyć taki dzień i że szczęśliwe jest to pokolenie, które dnia tego dotrwało, — wzrastało napięcie, a gorączkowy nastrój i zrozumiały niepokój były coraz widoczniejsze. Bo, zaiste, niemała była odpowiedzialność, jaką wziął na siebie Komitet Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

Od dnia 22 maja upłynęły już 4 tygodnie i myślę, że bez przesady można stwierdzić, iż całemu Komitetowi należy się uznanie za ten ogrom pracy, jaki został wykonany, zwłaszcza w ostatnim półroczu. I to zarówno prezydium Komitetu jak i przewodniczącym oraz członkom różnych komisji. A nadto tym paru tysiącom wykonawców, którzy nie spotkawszy się nigdy i nigdzie, nagle po raz pierwszy, wystąpili wspólnie na wielkim stadionie i improwizując, ze znakomitym wyczuciem, powagą i pogodą, wykonali swoje zadanie. To było naprawdę imponujące.

I wreszcie nasze społeczeństwo. Niczego się bardziej nie obawiano jak tego, czy aby będzie należyta frekwencja, czy aby stadion nie będzie pusty. Przecież coraz więcej osób odchodzi od życia polskiego, od udziału w polskim życiu politycznym i społecznym.

Optymiści liczyli, że w najlepszym wypadku będzie około 20.000 osób. I to byłby już sukces. Ale w miarę zbliżania się terminu i w miarę, gdy prasa coraz szczegółowiej informowała o przygotowaniach i coraz goręcej wzywała społeczeństwo do

poparcia, a przede wszystkim w miarę jak Gomułka zachowywał się coraz nieprzychylniej i coraz gwałtowniejszą wypowiedział walkę Kościołowi a zwłaszcza Prymasowi Polski — organizatorzy mogli mieć pewność — i mieli — że w takiej sytuacji wszyscy Polacy staną murem, pójdą ławą i zademonstrują swoją postawę antykomunistyczną, antytyreżymową, antygomułkowską w najszerszym tego słowa znaczeniu. Że staną w obronie całej tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej i kulturalnej tak jak w jej obronie stanął naród w Kraju.

I dlatego — niemal w przededniu tych uroczystości — nie starczyło 20.000 programów, a potem nie starczyło jeszcze dodatkowo wydrukowanych 10.000 kart uczestnictwa, a potem jeszcze wiele tysięcy osób weszło bezpłatnie na stadion. Takiego naporu nie przewidywali organizatorzy, którzy stawali na głowie, by i na taki wypadek być przygotowanym. W rezultacie co najmniej 5.000 osób powinno poczuwać się do odpowiedzialności i przekazać do Komitetu ofiarę na pokrycie poważnych wydatków — w miejsce niewykupionego biletu. Ale nie tylko o wydatki tu chodzi: w planie było także zebranie pewnej kwoty na następne tysiąclecie, na jakiś fundusz wieczysty, czy wieczyste stypendium dla młodzieży. Planów zresztą było wiele...

Niemniej na trybunach panował porządek, choć nie zawsze i nie wszyscy zajmowali właściwe miejsca. Rozmawiałem po uroczystościach z wieloma osobami — z Londynu i spoza Londynu a nawet spoza Anglii. I choć były niedociąg-

OBCHÓD TYSIĄCLECIA B.D.I.C



Jedna ze scen historycznych na White City: Tadeusz Kościuszko (Witold Schejbal) składa przysięgę

nięcia, z których zdają sobie sprawę i organizatorzy, to — rzecz to ogromnie podnosząca na duchu — nie spotkałem się dosłownie z ani jednym głosem krytycznym. Wzruszenie było powszechne, przeżycie było głębokie i wyjątkowe, uznanie dla wszystkich organizatorów i wykonawców powszechne. I to jest chyba najlepsza zapłata za ten wielki wysiłek organizacyjny na stadionie i poza stadionem.

Trudno mi w tym artykule opisywać szczegółowo cały przebieg manifestacji. Chciałbym jednak wydobyc z niej kilka akcentów, które najgłębiej wryły się w pamięć i które długo jeszcze będziemy wspominali. Pierwszym było wejście sztandarów!

Tych naszych bojowych sztandarów! Sztandarów, niesionych przez byłych polskich żołnierzy w mundu-

rach jak przed dwudziestu laty, niesionych dumnie i wysoko, albo kładących się hołdem nisko Najświętszemu Sakramentowi. Przypominały całą dolę żołnierską polskiego pielgrzyma.

A potem ta burza, która niespodziewanie przewaliła się przez stadion! W czasie Mszy św. odprawianej przez ks. biskupa W. Rubina. Wichura i ulewny deszcz! Dobrze było w tym momencie widzom, którzy mogli się schronić pod trybunami, natomiast duże zamieszanie powstało przy ołtarzu. Wysocy dostojnicy kościelni zbili się w gromadkę kryjąc się pod olbrzymi parasolami, które dostarczono z trybun. W pewnej chwili chyba kilkadziesiąt parasoli osłaniało dostojne mitry biskupie tak, że nie widać było księdza celebriansa. Ta burza miała swoje symboliczne znaczenie także. Przecież i nasze dzieje były raz słoneczne, raz burzliwe i nie zawsze świeciło słońce nad ziemią polską w tym minionym tysiącleciu. Na szczęście burza była krótka a potem słońce świeciło w całej okazałości, właśnie wtedy gdy na boisku znalazła się młodzież.

Wreszcie odważne słowa ks. kardynała J. S. Heenana. Czekał na nie chyba cały stadion! Rzadko kiedy była taka okazja do wypowiedzenia tych myśli, które padły z ust Jego Eminencji. Już po pierwszych zdaniach czuliśmy wszyscy, że oto ktoś myśli naszymi myślami i rozumie nasze troski, nasz Kraj i wszystko co się tam dzieje. Publiczność



J.E. Ks. Kard. J. C. Heenan schodzi po Mszy św. ze stadionu pod osłoną parasola

przerywała przemówienie wielokrotnie oklaskami. Tak przerywa się tylko Ojcu Świętemu, gdy przemawia w bazylisce św. Piotra i Pawła w Rzymie do pielgrzymów! Polacy zachowują się w podobnych natomiast sytuacjach raczej spokojnie, poważnie, milcząco! Tu jednak dłonie same się składały, by natychmiast, z miejsca podziękować Dostojnemu Purpuratowi za to co mówił o Prymasie Polski, o całym naszym Millenium, o Polakach na tej wyspie, jak i za słowa potępienia pod adresem reżymu komunistycznego. Były to słowa śmiałe, twarde, nie owijające niczego w bawełnę! Jaka szkoda, że prasa brytyjska — poza jednym „Timesem” — nie znalazła miejsca



Z lewej: najmłodsze pokolenie tysiąclecia w strojach narodowych wita pokolenie starsze chorągiewkami. Są to dzieci ze szkół londyńskich na Clapham South, Ealingu i z Zakładu SS. Zmartwychwstanek w Sunnigdale. Z prawej: grupa kosyńców (Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”). Reżyseria widowiska spoczywała w rękach dr Leopolda Kielanowskiego. Wiersze wiążące i opracowanie historycznej części widowiska powierzono Edwardowi Chudzyńskiemu

na przedrukowanie tego przemówienia.

I ostatni akord! to była druga część widowiska milenijnego. Być może, że część pierwsza („Tareze polskich miast” — „Nasze tysiąclecie” — „Róża polskich miast”) nie wypadły dla oka i ucha tak efektownie jak to z pewnością było zamierzone, choć jest wiele osób, które domagają się wydrukowania pełnego tekstu „Litani polskich dziejów” (i słusznie). Ginęli na wielkim trawniku niektórzy aktorzy, może komentarze były za długie, i zabrakło dobrego komentatora w języku angielskim (mimo, że zwracało się na to niejednokrotnie uwagę). Wszystko to prawda. A przecież było tysiące osób, które z zachwytem patrzyły na kosynierów, na żołnierzy z czasów napoleońskich, a widok przysięgającego Kościuszki — czyż nie ścisłał za gardło? A te wszystkie sławne w dziejach postacie historyczne i postacie świętych! A żaki krakowskie fikające koziołki na trawniku! A Sobieski z husarzami!

I tak przesunęła się przed naszymi oczami cała historia! Dlatego tym wszystkim artystom, młodzieży z licznych szkół londyńskich i spoza londyńskich, i ich wychowawcom, bądźmy także wdzięczni za tę przepiękną część programu.

A potem był jeden wielki entuzjazm! — oklaski i raz jeszcze oklaski, i żyły gorące polały się także (nie wstydę się do tego przyznać), gdy na trawnik wbiegła młodzież. Młodzież tańcząca. Młodzież w strojach narodowych! Tu wzruszenie było powszechne. Tu właśnie zobaczyliśmy następne tysiąclecie w najpiękniejszym wydaniu, bo w szczerzej młodości. Jakże zakwieciło się całe boisko! — i pokryło kolorowym kobiercem. Wszystko wirowało, kłaniało się, podskakiwało, chłopcy wyrzucali dziewczynki w górę, to dziewczynki, zalotnie roześmiane i promieniejące, czarowały swoich partnerów. Publiczność wstał z miejsc klaszcząc bez przerwy. A potem — pamiętacie — te gromadki malców z chorągiewkami w ręku skaczących w kółeczko, czasem niezgrabnie, niejeden upadł, ale zawsze z chorągiewką w ręku. Jakiż wtedy panował podniosły nastrój! Nikt nie żałował tego trudu, tej podróży z dalekiej miejscowości spoza Londy-

nu, tych niewygód. Dla tej jednej sceny warto było przyjechać i warto było zobaczyć to morze polskiej młodzieży, choć nie zawsze już mówiącej po polsku.

Ale to nie wszystko. Bo wchodzi harcerze i harcerki — także z całej Anglii i śpiewają, że „Wszystko co nasze Polsce oddamy”! Myślałem, że będzie ich tylko gromadka, no, może nieco więcej. A tu idą szeregi za szeregiem. Karnie, wzorowo, w mundurkach harcerskich, za swoimi drużynowymi, za swoimi hufcowymi proporczykami. I nie ma końca. I po raz pierwszy przekonałem się, że tych harcerzy jest znacznie więcej aniżeli kiedykolwiek przypuszczałem. Był to także imponujący sukces organizacyjny Związku Harcerstwa Polskiego.

I schodzi się wszystko na boisku: ci kolorowi tancerze, ta młodzież harcerska. W sumie ponad dwa tysiące młodzieży. I za chwilę wchodzi jeszcze raz sztandary. by po raz ostatni oddać hołd. Idą sztandary odznaczone *Virtuti Militari* i wszystkie sztandary 2 Korpusu, które salutuje z trybuny honorowej ich dowódca, gen. W. Anders. Las sztandarów kombatantkich i społecznych.

Po ustawieniu — jakże sprawnym — w olbrzymim półkolu — podeszli do sztandarów przedstawiciele pięciu pokoleń, i złożywszy palce na drzewcu (ta podniosła scena nie została należycie przekazana przez głośniki) składają przysięgę:

Matkę Twoją Najświętszą, Królowę Korony Polskiej czcić i całym sercem zawsze miłować

ŚLUBUJEMY,

Bronić praw Polski, walczyć o jej wolność życiem całym

ŚLUBUJEMY,

„Śladem praojców naszych trwać wiernie przy sztandarach Tych, o Chryste

ŚLUBUJEMY,

Na zakończenie (szkoda, że zejście sztandarów i młodzieży z boiska nie odbyło się przy dźwiękach orkiestrowego marsza) cała publiczność odśpiewała na melodię „Roty” pieśń: „Nie rzucim Chryste świątyn Twych”.

ZDZISŁAW STAHL

PPRASA codzienna nakreśliła dokładnie malowniczy obraz imponującej manifestacji milenijnej 40 tysięcy Polaków na londyńskim stadionie „White City” i podała szczegółowe relacje z równoczesnego niemal Zjazdu Polski Walczącej. Teraz, w dalszej perspektywie czasu warto zastanowić się głębiej, co w tych obu, ideowo z sobą powiązanych, zjawiskach społecznych było najbardziej istotnego i jakie najważniejsze wnioski należało by z nich wysnuć.

Zjazd był zwołany pod hasłem walki o niepodległość, a na stadionie „White City” szerokie koła emigracji miały święcić Tysiąclecie Polski Chrześcijańskiej, dając zarazem wyraz jedności z Kościołem w kraju. Z Kościołem, który pod przewodnictwem prymasa, kardynała Stefana Wyszyńskiego, mimo prześladowań i szykan komunistycznych, zanosi modły całego narodu o wiarę i wolność z okazji wielkiej, historycznej rocznicy.

Nie mogę pominąć jeszcze jednej pochwały: pod adresem wszystkich połączonych chórów. Brzmiały potężnie, doskonale i bez zarzutu, choć także nie było wspólnej próby.

Dla nas, Polaków z W. Brytanii, manifestacja na White City miała oczywiście wielkie znaczenie. Ale nie przesadzę, jeśli podkreślę, że wielokrotnie większe dla naszych rodaków, którzy właśnie w tych samych dniach przybyli do Londynu ze wszystkich zakątków świata by wziąć udział w dwóch wielkich imprezach: Światowym Zjeździe Polski Walczącej i w Światowym Walnym Zjeździe Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, którzy w tak wielkim stopniu przyczynili się do sukcesu organizacyjnego na White City. Goście nie mieli słów uznania, a były to słowa szczerze, i nie ukrywali swego wzruszenia ani wdzięczności, iż mogli być świadkami tej manifestacji.

Dołączamy się do tych uznań.

Paweł Hęciak

TYLKO SAMODZIELNA

EMIGRACJA

SPEŁNI SWOJE

ZADANIE

Refleksje po Zjeździe Wolnych Polaków

Hasła więc majowych dni polskiej emigracji, w Londynie były bojowe, płynące z postawy, którą zwykle się ostatnio nazywać niezłomną i rzekomo właściwą już tylko niektórym, szczerzejszym kołom uchodźczym. Tymczasem, mimo sceptycyzmu pewnych, wyżej postawionych ośrodków i wbrew nadziejom reżymu, odzew szerokich mas emigracyjnych na te „niezłomne“ hasła był powszechny, zgodny i spontaniczny. Obecność jednej trzeciej ogółu Polaków z wysp brytyjskich w dniu 22 maja na „White City“ oraz reakcje ich na mówione tam słowa, czy wprowadzane na zieleni areny symbole naszego całego kraju i jego dziejów, były silny i zgodności tego rezonansu masowym, niewątpliwym dowodem.

Mimo rozczarowań powojennych i upływu czasu, mimo obcości narodowej środowisk, w których przyszło nam żyć na uchodźstwie i wbrew propagandzie reżymu, emigracja po dwudziestu z górą latach nie przekształciła się w zarobkową, wynarodowioną czy uległą narzuconemu Polsce reżymowi. Pozostała natomiast w swej masie polityczną i niepodległościową. Ani obcość otoczenia, ani materialne konieczności, nie zabiły w naszym uchodźstwie — wbrew materialistycznym doktrynom — polskiego ducha.

Nie zdołała też komunistyczna albo zachodnio-jałtańska propaganda przesłonić mu politycznej rzeczywistości naszego kraju, pozornie niepodległego, a naprawdę pod zwierzchnictwem Moskwy. Jak żywa i głęboka jest świadomość tego tragizmu polskiej współczes-

ności w naszych masach uchodźczych, ujawniła ich reakcja na słowa arcybiskupa Westminsteru, kardynała Heenan'a, kiedy stwierdził: „cały świat wie, że Polska to dziś tylko nazwa, a kraj jest pod sowiecką okupacją“ i kiedy ponadto oświadczył, że odmowa zezwolenia na pielgrzymkę do Częstochowy Papieżowi i jemu samemu ze strony reżymu komunistycznego, nie obciąża narodu polskiego, bo nie była poparta jego wolą. Po treściwych zdaniach brytyjskiego Kardynała ze wszystkich trybun, opasujących stadion z otarzem, otoczonym sztandarami i herbami miast polskich, po środku, rozbrzmiewały żywiołowe oklaski. Świadczyły one, że w zdaniach tych zawierała się prawda polskich serc, bijących jednym tętnem z całym narodem w Polsce. Należy się wdzięczność kardynałowi Heenan'owi, że tę prawdę odczuł i miał rzadką odwagę publicznie ją wypowiedzieć.

Ideową postawę „niezłomną“, tę samą, jaką ujawniło 40 tysięcy Polaków z W. Brytanii na „White City“ wykazali też delegaci na Zjazd Polski Walczącej, przybyli do Londynu ze wszystkich niemal ważniejszych ośrodków polskiego rozsiadania uchodźczego. Z ich strony znalazła ta postawa wyraz w trzydniowej dyskusji politycznej oraz w powziętych uchwałach.

Zjazd we wstępie do uchwał napiętnował „niegodne Polski, sprzeczne z interesami narodu obraźliwe udarowanie przez reżym komunistyczny w Warszawie pielgrzymki Papieża Pawła VI“ i potępił „walkę, jaką reżym toczy od lat przeciw Kościołowi Katolickiemu i innym wyznaniom, w szczególności nieustanne i oszczercze ataki przeciwko Prymasowi Polski kardynałowi Wyszyńskiemu“. Charakteryzując sytuację w Polsce, Zjazd przypominał, że „w wyniku decyzji powziętych przez wielkie mocarstwa w Teheranie i Jałcie, Polska — okrojona na wschodzie — wbrew swej woli została włączona do bloku sowieckiego, a naród polski pozbawiony prawa o własnym losie“.

Dalej uchwała Zjazdu stwierdza, że „w dziesięć lat od wypadków poznańskich i październikowych reżym komunistyczny utrzymał swą dyktaturę i odbudował totalną władzę... Mimo pewnych zmian w metodach rządzenia jest to nadal rząd, utrzymujący się przy władzy wbrew woli narodu polskiego, a autorytet swój czerpie z poparcia obcego mocarstwa... Emigracja w wolnym świecie — konkluduje uchwała o sytuacji w Polsce — będąc nierozzerwalną częścią narodu i ponosząc wraz z społeczeństwem w Kraju odpowiedzialność za jego losy, będzie nadal najbliższą z nim współżycie, utrzymywać jak najmocniejsze z nim więzy,

równocześnie odcinając się od stosunków z narzuconym reżymem i jego reprezentantami“.

Delegaci Zjazdu przemówili językiem stanowczym i jasnym, odcinającym się od dwuznaczności, prowadzących nieraz do podważenia zasad i otwierających drogę obcej penetracji. Komunistycznej czy ze strony zachodnich rządów koegzystujących z Sowietami i uznających warszawski reżym.

Takie same stanowisko zasad, a nie — pozornie realistycznej, sugerowanej zwykle przez obcych — taktyki dyplomatycznej /zajęła przeważająca większość delegatów w sprawie granic i międzynarodowego położenia Polski.

Wpływy obce czy argumenty „dyplomatów“ wyrażają się z reguły w nacisku, aby polska emigracja niepodległościowa pomijała milczeniem lub przynajmniej stawała połowicznie czy mgliście prawa polskie do ziem wschodnich, zabranych przez Sowiety w rezultacie zmywy jałtańskiej. Bezwiednie chyba przyjmując tak niemiecko-sowiecką teorię rekompensaty ziem wschodnich za zachodnie, argumentują oni, że przemilczanie Traktatu Ryskiego i praw Polski do ziem wschodnich wzmacnia nasz postulat uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej przez mocarstwa zachodnie.

„Dyplomatyczne“ takie stanowisko może wprawdzie odpowiadać tym kołom, które z polskiej emigracji chcą sobie zrobić narzędzie gry taktycznej i stawkę w przetargach z Moskwą czy Niemcami, ale nie wytrzymują one krytyki z punktu widzenia interesów rzeczywistej polskiej. Przede wszystkim żadne ustępstwa nie wzmacniają nigdy niczyjzego stanowiska i zachodni jałtańczycy nawet nie próbują obiecywać uznania przez swoje rządy granicy Odry — Nysy za wyrzeczenie się ziem wschodnich. Naprawdę chcieli by oni, aby wolni Polacy wyrzekli się praw do jednego i nie uzyskali uznania drugiego. Za to otrzymali by... pochwały swoich zachodnich rozmówców, łaskawe poklepanie po ramieniu, awanse na „realistów“ i może coś jeszcze z podobnej kategorii.

Szczęśliwie przeważająca większość delegatów przyjechała na Zjazd Polski Walczącej, aby formułować dążenia, postulaty i prawa narodu polskiego, a nie by podobać się naszym wątpliwym przyjaciółom. W pierwszym punkcie uchwały „Sprawa Polski w świecie współczesnym“ czytamy na wstępie „Naczelnym celem narodu polskiego i naszym jest: a) przywrócenie Polsce niepodległości w granicach Odry i Nysy na zachodzie i traktatu ryskiego na wschodzie, a jej mieszkańcom wolności i należnej im zgodnie z podsta-

NARÓD POLSKI CHCIAŁ WIZYTY PAPIEŻA

wołał ks. kard. Heenan w czasie uroczystości milenijnych
w Londynie

„Polski biskup celebrował Mszę św., polski ksiądz wygłosił kazanie. To jest polska uroczystość i dlatego moje do was przemówienie będzie krótkie. Niech mi wolno będzie najpierw w imieniu biskupów i duchowieństwa i wiernych tego kraju złożyć wam gratulacje z okazji tysiąclecia chrześcijaństwa Polski.

Smutno jest wam, że jesteście uchodźcami, ale Kościół katolicki i całe społeczeństwo angielskie zostało wzmocnione i wzbogacone waszą w tym kraju obecnością.

Choć jesteście uchodźcami nie jesteście tutaj obcy. Z długiego doświadczenia wiecie jak bardzo staram się podnieść na duchu moją najukochańszą polską trzodę.

Jesteście nam tak drodzy jak nasz własny lud, lecz cieszę się, że dzisiaj jest z wami wasz własny biskup monsignor Rubin.

Jesteśmy zasmuceni, że Ojciec św. nie został wpuszczony do Polski na uroczystości częstochowskie. Władze polskie zrzucają za to odpowiedzialność na kard. Wyszyńskiego, ale papież Paweł VI ma inne zdanie.

„Jesteśmy przekonani — powie-

dział Ojciec św. — że nieusprawiedliwione są powody dla których nie zezwolono nam na pielgrzymkę. Nie możemy uwierzyć, aby odmowa władz była poparta wolą ludu polskiego, tak bardzo szlachetnego i oddanego Kościołowi...“

Naturalnie, naród polski chciał wizyty Papieża.

Naturalnie, życzeniem narodu byłoby przyjąć pielgrzymów z wolnych krajów.

Nie do narodu polskiego mamy żal o to, że odmówiono nam prawa wzięcia udziału w uroczystościach.

Cały świat wie, że Polska to tylko nazwa, że cały kraj jest pod sowiecką okupacją.

Przyznanie wizy nie zależy od Warszawy tylko od Moskwy. Musimy to powiedzieć głośno ponieważ to milennium musi przyciągnąć uwagę ca-

tego wolnego świata na tragedię chrześcijańskiego narodu rządzonego przez ateistów z łaski czerwonej armii. Jak papież Jan oświadczył „istotą istnienia władz cywilnych jest strzec podstawowych potrzeb narodu“.

A cóż jest bardziej podstawową potrzebą Polski jak i każdego kraju jeśli nie potrzeba wolności

Modlimy się dzisiaj o uwolnienie chrześcijańskiego narodu polskiego spod tyranii jego antyreligijnego rządu. Przed inwazją Polski przez komunizm kwitły kościoły, szkoły i szpitale i instytucje dobroczynne.

Modlę się dzisiaj, aby Polska była znowu wolna.

Niech Bóg błogosławi Polsce i jej bohaterowskiemu narodowi.

Niech Maryja Królowa i Matka Boża opiekuje się swoimi dziećmi.“

W KRAJU O PRZECIWIENSTWACH POKOLEŃ

(Dokończenie ze str. 16)

dych, co później nadmiernie przedłużył okres trzymania się przez nich kurczowo władzy, chociaż czas ich wyraźnie przeminął. Prędzej czy później, ale raczej już prędzej niż później, będzie musiało dojść na tym tle do otwartego konfliktu pokoleń. Uważam, że przyspieszy ten konflikt wchodzący obecnie w czynne życie, a mimo wszystko ciągle jeszcze niedocenianny, wyż demograficzny. Skutków, oczywiście, nie będę tu przewidywał. Jest to już odrębne zagadnienie, którym może wypadnie kiedyś zająć się oddzielnie.

Rejestrując krajowe zjawisko przeciwności pokoleniowych, czynię to nie tylko po to, aby je jedynie zarejestrować. Wydaje mi się nie mniej ważne otwarcie przez to nowych możliwości politycznych. Czy zostaną one wyko-

rzystane lepiej, niż te możliwości, jakie nastąpią dla Polski rok 1956, — zależy od tego z jakim hasłem młode pokolenie wystąpi do walki. Starzy propagandziści z Polskiego Radia podzuczają 20-latkom hasło: — „Zróbmy z Polski kraj nowoczesny!“ — i podpowiadają, aby młodzi nie nawiązywali zbytnio do starych tradycji..., aby „przetłumaczali wielkie hasła na nieco mniejsze“. I — wychodząc z założenia o przykrajaniu tych młodych na własną miarę — ustanawiają coraz więcej nagród dla „młodych“ do lat 40-tu. Oczywiście jako „nagród pocieszenia“ za cierpliwe czekanie na pokojową zmianę warty.

Nie wierzę, aby młodzi dali się na to nabrać.

Tadeusz Podgóski

wowymi prawami człowieka i zasadami demokracji“.

Zjazd stał się dowodem, że powojenna emigracja zachowała swoją polityczną samodzielność i nie roztopiła w cudzoziemskich morzach. Dowiódł, że nie dała się przekształcić w peryferię obcych wpływów, lecz utrzymała własny pion moralny i własną myśl, czyli zasadnicze warunki należytego pełnienia swojej służby. Tylko one pozwolą nam działać z pożytkiem i na dalszą metę.

Zdzisław Stahl

W PRZYGOTOWANIU :

ZBIGNIEW GRABOWSKI

OJCZYZNA EUROPA

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

(Wydanie drugie)

DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELSTWA W PARYŻU WPLACILI NA „LEKARSTWA DO KRAJU“

4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 40,74, 4088 L. S. Co. (kpt. K. Rogoziński) Fr. 40,00, 4507 L. S. Co. Mjr. T. Ąroja-Kopeć) Fr. 100,00.

Trzeci międzynarodowy sezon teatralny w Londynie

W MAJU zakończył się trzeci z kolei międzynarodowy sezon teatralny w teatrze Aldwych w Londynie. Impreza ta, będąca rodzajem teatralnego festiwalu na dużą skalę, rozpoczęta sezonem w r. 1964, stała się już stałą częścią londyńskiego programu teatralnego, i budzi zarówno tutaj, jak i za granicą, żywe zainteresowanie. Analizując cele i założenia ostatniego sezonu, krytyk londyńskiego „Timesa“ zastanawiał się nad wartością tej imprezy dla szerokich warstw publiczności, bo — naturalnie — znaczenie festiwalu dla specjalistów teatralnych nie ulega wątpliwości. Ostatecznie doszedł on do wniosku, że chociaż najlojalniejszą publicznością festiwalu jest z reguły publiczność, rekrutująca się z szeregów emigranckich, ale sam fakt udostępnienia przedstawień obcych zespołów szerszej publiczności, który w zasadzie możliwy jest tylko w ramach festiwalu, a więc wydarzenia o posmaku specjalnym i uroczystym, może przyczynić się do większego i bardziej obiektywnego zainteresowania teatrem.

Sezon 1966 otworzyli Czesi, przyjeżdżając z klasyczną sztuką czeską braci Capek o owadach. W wystawieniu Narodowego Teatru Czeskiego gorzka satyra Capków na obyczaje i moralność świata ludzkiego, napisana w r. 1922, zmieniła się niemal że w wodewil ze śpiewami i tańcami. Ucierpiał na tym zdecydowanie cierpki smak oryginalnej sztuki, ale ogromnie zyskała jej wartość czysto rozrywkową, jakże ważną przy przedstawieniach wobec obcojęzycznych widzów. Użycie zwierciadlanego skłębienia ponad sceną pozwoliło na stworzenie wielu pomyslowych efektów wzrokowych, a oparcie się pokusie przebrania aktorów w kostiumy owadzie wyeliminowało nieuniknione w takim wypadku skojarzenia z pantomimą dla dzieci. Sztukę zagrano poprawnie, a nawet, jeśli chodzi o wykonawcę roli głównej Peska, z dużą dozą ciepła. W sumie występ udany i życzliwie przyjęty przez krytykę i publiczność, chociaż nie przynoszący odkrywczego spojrzenia na znaną i popularną w latach dwudziestych sztukę.

Włoski Teatr Młodych, kierowany przez Giorgio de Lullo, zjawił się z powtórna wizytą w Londynie, powtarzając pokazane nam w roku ubiegłym „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora“ Pirandella, i przywoząc

nowe wystawienie „Przepisów gry“, tego samego autora. „Sześć postaci“, naturalnie, nie zmieniło się od roku ubiegłego; jest to kompetentne przedstawienie znakomitej sztuki, nie wykraczające poza fachowość, której się należy spodziewać po dobrym zespole. Natomiast „Przepisy gry“ wystawione były znakomicie i zdecydowanie zasługują na przyznanie im palmy pierwszeństwa w tegorocznym festiwalu. Sztuka, oparta na pozornie banalnym temacie trójkąta małżeńskiego, pokazuje raz jeszcze, jak świetnym pisarzem był Pirandello, zaskakujący nas co chwila śmiałością dialogu i pomysłowością rozwiązań sytuacji. W roli męża Romolo Valli stworzył najlepszą kreację sezonu w Aldwych: cóż za precyzja słowa, gestu i spojrzenia! Dzielnie mu sekundowała Rosella Falk w roli żony, historycznej i przesadnej, ale przekonującej.

Po odwiedzinach Grecyjskiego Teatru Artystycznego Kouna w latach ubiegłych oczekiwałem z wielkim zainteresowaniem występów Narodowego Teatru Greckiego, który przyjechał z przedstawieniami „Edypa Króla“ i „Edypa w Kolonie“ Sofoklesa oraz „Hekuby“ Eurypidesa. Niestety, spotkało mnie duże rozczarowanie. Reżyseria scen chóralskich, jakże ważnych w tragikach greckich, była bezduszna i mechaniczna; chórzyscy zmieniali miejsca z precyzją królewskiej gwardii na paradzie, ale zupełnie brak było narastającego poczucia tragedii, które tak świetnie oddawał przy pomocy chórów Koun. Jeśli się jeszcze doda, że czołowa gwiazda teatru, znana doskonale publiczności kinowej, Katina Paxinou, należy do zdecydowanie starej szkoły aktorskiej o bardzo już dziś dla nas przesadnym geście, a odtwarzający główne role męskie kierownik i reżyser teatru Minotis ma nieduży, zmęczony głos, trudno być zachwyconym tymi odwiedzinami. Nawiasem mówiąc, prasa londyńska przyjęła teatr grecki lepiej, niż na to w moim przekonaniu zasługiwał.

Po teatrze greckim doczekaliśmy się na koniec przedstawień Teatru Powszechnego z Warszawy, zapowiedzianego z góry, jako teatr śmiały i eksperymentalny, chociaż bardzo kontrowersyjny. Istotnie, „Wesele“, którym Teatr Powszechny rozpoczął swoje występy, obudziło wśród emigracji polskiej zajadłe spory. Moim zdaniem, dyrektor i reżyser Hanuszkiewicz poszedł po linię, któ-

ra prawdopodobnie ułatwiła cudzoziemcom strawienie tego w gruncie rzeczy nieprzetłumaczalnego arcydzieła: pozwolił grać kostiumom, kolorom, tańcom, scenie obrotowej — słowem, dał obcojęzycznemu widzowi o co zaczepić oko. Inną rzeczą, że w tym całym zamieszaniu i ruchu, panującym na scenie, ulotniła się gdzieś i wparowała poezja. Przyjmując, że w ramach festiwalu widowisko przeznaczone było dla Anglików, gotów byłbym uznać tego rodzaju ujęcie za szczęśliwe. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że przedstawienie „Wesele“ przygotowane było z myślą o publiczności polskiej w Kraju, to eksperyment niezbyt się udał. „Zbrodnia i kara“ Dostojewskiego potraktowana została przez Hanuszkiewicza bardzo filmowo: oświetlenia pewnych małych wycinków sceny, jak np. ręce Raskolnikowa, podczas gdy reszta ginęła w ciemnościach, zastępowało filmowe zbliżenia. Musze od razu podkreślić, że nie lubię przeróbek powieści na scenę, ponieważ z reguły traci się cały głębszy sens książki. Przeróbka Hanuszkiewicza nie była wyjątkiem od tej reguły; zrobiona była fachowo, zwięźle i z wyczuciem możliwości scenicznych, ale dała tylko szkielec problemu. Nie mogę również powiedzieć, abym uważał Hanuszkiewicza za aktora na miarę Raskolnikowa — technicznie był najzupełniej poprawny, ale brakowało mu pełnego wzięcia się w postać. Najbardziej kontrowersyjne z naszego, polskiego punktu widzenia, było przedstawienie „Kolumbów“ przerobionych z powieści Bratnego. Nie bardzo rozumiem, dlaczego sama sztuka obudziła takie oburzenie w pewnych kołach emigracyjnych; w gruncie rzeczy najgorzej w niej wychodzą pewne typy komunikacyjne. No, ale to są sprawy polityczne; wróćmy do sztuki i teatru. Ludziom, którzy sami brali udział w powstaniu warszawskim, trudno jest nie reagować uczuciowo na przedstawienie tego powstania na scenie; odrzucając jednak na bok ten balast uczuciowy, trzeba stwierdzić, że część pierwsza przeróbki, rozgrywająca się w powstańczej Warszawie, pozbawiona jest zupełnie konfliktu dramatycznego i stanowi tylko obrazki z powstania; tego rodzaju widowisko zupełnie chybia celu, jeśli je pokazać obcojęzycznemu widzowi. Część druga, dramatycznie o wiele lepsza, z konieczności odznacza się znaczną ilością fałszywie brzmiących pokłonów pod adresem komunizmu, a jej konflikt dramatyczny jest zupełnie niezrozumiały

dła cudzoziemskiego widza. Nawet tego rodzaju reżyserskie chwyt, jak pantomina w kanale, nie mogą uratować kiepskiej sztuki. Rozumiem, że w Polsce nawet taka sztuka na temat powstania musi wzbudzić silny oddźwięk, ale czy warto było ją przywozić do Londynu? Prasa brytyjska daleka była od zachwyków.

Festiwal zamknięty został występami leningradzkiego teatru im. Gorkiego. Rosjanie przyjechali z przeróbką „Idioty“ (znów ten Dostojewski!) i ze współczesną komedią „Babcia, Wujek Iliko, Hilarion i ja“. Możemy sobie oszczędzić omawiania „Babci“, będącej bezpretensjonalną komedio-farsą, pozbawioną tempa i wielkich kreacji aktorskich. Natomiast „Idiota“ przybył do Londynu, poprzedzony rozgłosem o zdobyciu za tę rolę wielkiego uznania przez Smoktunowskiego, znanego nam tutaj z ciekawego filmu „Hamlet“. Po surowej i nowocześnie ujętej „Zbrodni i karze“ Hanuszkiewicza przenieśliśmy się tutaj w stuprocentowo naturalistyczny i niebawale przestarzały teatr z początku dwudziestego wieku, którego przedsmak dał nam zresztą już teatr Stanisławskiego w ubiegłym sezonie. Trzeba jednak powiedzieć, że podczas gdy teatr moskiewski aktorsko stoi na najwyższym poziomie, przy najlepszych chęciach nie da się tego powiedzieć o gościach z Leningradu. Smoktunowski gra doskonale, ale ujęcie roli Myszkińa w jego interpretacji wypacza zupełnie intencje autora powieści: Myszkiń nie jest tu „idiotą“, ponieważ jest zbyt szlachetny, aby się umieć dostosować do realnych warunków życiowych, ale jest prawdziwym półgłupkiem, spóźniającym się z odpowiedziami, głupawo wodzącym oczami po ścianach i powłóczącym nogami. Jak wobec tego może się w nim zakochać uroczą Aglaja, pozostanie tajemnicą reżysera tego niemal wiktoriańsko przyprawionego melodramatu.

Niewątpliwie tegoroczny festiwal, chociaż bardzo interesujący dla nas z uwagi na udział Teatru Powszechnego z Warszawy, stał na niższym poziomie, niż dwa ubiegłe. Tłumaczy się to bardzo prosto faktem, że liczba zespołów teatralnych na naprawdę wysokim poziomie nie jest duża, i po spotkaniu wielu z nich w poprzednich sezonach międzynarodowych, musimy też zapoznać się z teatrami nieco niższej klasy. W każdym razie dają one doskonałe pojęcie o poziomie teatru na świecie i potwierdzają fakt wyjątkowo silnej pozycji teatru brytyjskiego.

Stefan Wóycicki



GRYF

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

KSIEGARNIA SPK

P O L E C A

WYDAWNICTWA

WŁASNE

I W SZYSTKICH

WYDAWCÓW

POLSKICH

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskiemu instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odroczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

**20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.**

Tel.: KNI 3500

WOJCIECH STEFAŃSKI

— Napije się pan herbaty? — zapytała pielęgniarka.

— Nie! — odburknął.

Nie lubił herbaty. Ot, filiżanka po obiedzie była zupełnie do przyjęcia, ale w ciągu dnia? Nonsens! Whisky — o, to był napój, nadający się do picia o każdej porze dnia i nocy. Cóż z tego, kiedy lekarze twierdzą, że napoje alkoholowe nie są dla niego wskazane. „W pańskim wieku i przy pańskim stanie zdrowia...“ Durnie! W jego wieku Churchill podobno wypijał pół — a może to nawet była cała? — butelki whisky na dzień. Ale pielęgniarka nie da się przekupić. „Jeżeli pan się będzie bardzo dobrze sprawował, to doktor pozwolił mi dać panu kieliszek whisky w niedzielę. Ale tylko jeden mały kieliszek.“ Sadyzka! Westchnął, poprawił pled, którym miał nakryte kolana i sięgnął po leżącą przed nim teczkę z papierami.

Za pół godziny przyjdzie stenografka, której będzie dyktował dalszy ciąg swoich wspomnień, „niecierpliwie wyczekiwanych przez szeroki ogół“, jak go zapewnił wydawca. Ten sam wydawca postarał się o stenografkę. „Zależy mu na pościechu. Boi się widać, że umrę, zanim skończę“ — uśmiechnął się do siebie. Zabawna rzecz, takie pisanie wspomnień. Wszystko wydaje się takie odległe, pokryte szarym pyłem zapomnienia, który odbiera kształt i barwę przeszłości; trzeba odgrzebywać z tego pyłu drobne odłamki wydarzeń, z których potem, jak z kości mamuciej w rękach pracowitego paleontologa, powstaje wreszcie kojarzalna rekonstrukcja rzeczywistości, budząca podziw czytelników dla znakomitej pamięci pamiętnikarza. Ba, żebyż to oni wdziali, ile szczegółów opiera się na relacjach innych, również wiarygodnych

SPRAWA ROBERTA BOWEN SMITH'A

Opowiadanie

świadców tych samych przeżyć, które autor umiejętnie przykrywał i dopasował, aby tylko godziły się z jego własnym pojęciem nie o tym, co było, ale o tym, co być powinno. Ale dzisiejszy ustęp pamiętników nie miał być pracą rekonstruktora; chwile, które miał przekazać na pamiątkę przyszłym pokoleniom, pamiętał tak dokładnie, jak gdyby minęły zaledwie wczoraj. Nie otwierając teczek, przymknął oczy.

„Sprawa Roberta Bowen-Smitha“ — cóż to za doskonały, zwiezły i pełen nostalgicznych wspomnień dla każdego, kto brał udział w życiu politycznym sprzed lat dwudziestu, tytuł rozdziału. Kiedyż to widział po raz ostatni Roberta? Zastanowił się; tak, musiało to być dobre piętnaście lat temu, bo przecież Robert wyjechał z kraju czternaście lat temu i wkrótce potem umarł we Włoszech na raka. A Anna odeszła jeszcze wcześniej, ginąc w wypadku samochodowym na M. 5. Właściwie poza nim samym nie pozostał już nikt, kto mógłby się domyślać prawdziwego podłoża sprawy Roberta. Nikt, oprócz autora tajemniczego listu anonimowego, jeśli ten żyje do dzisiaj. Ciekawe, że nigdy nie potrafił się domyślić ani dowiedzieć, kto właściwie ukuł pierwsze ogniwo tego długiego i skomplikowanego łańcucha wypadków, zakończonego tak tragicznie. A przecież, gdyby nie ten list, mówiący wyraźnie, ba! brutalnie: „Pańska żona zdradza pana z Robertem Bowen-Smith“, wypadki potoczyłyby się na pewno zupełnie inaczej. Przecież on do dzisiaj nie ma pewności, czy słowa listu (podpisanego, naturalnie, „Życzliwy“) były prawdą, czy nie. Doskonale pamiętał swoje próby przyłapania Anny i Roberta na jakimś słowie, czy spojrzeniu, które by mu dało klucz do sytuacji, pozwoliło

powiedzieć z bolesną reakcją: „To prawda!“ Nie, wszystko, co zauważył, co skrycie podpatrywał kątem oka, co wysłuchiwał, zatrzymując się przed przymkniętymi drzwiami przed wejściem do pokoju, nie przekraczało granic przyjaźni, zupełnie usprawiedliwionej między żoną przywódcy wielkiej partii politycznej i jego przewidywanym następcą i spadkobiercą. Miał zresztą za mało czasu, aby śledzić Annę, a na wynajęcie prywatnych detektywów był zbyt dumny. Poprawił się w myśli: to nie duma wstrzymała go od tego, ale obawa przed rozgłosem.

Otworzył oczy i spojrzął w okno, za którym rysowały się sylwetki drzew. Dlaczego więc przyszedł nagle do wniosku, że słowa anonimowego listu muszą być prawdą, że Robert i Anna oszukują go, że spotykają się poza jego plecami i śmieją się z jego łatwości? Kiedy właściwie przyszedł ten moment nieodwracalnej decyzji, który doprowadził do stopniowego odsunięcia Roberta, do powolnego, postępnego spychania go w dół hierarchii partyjnej, i w końcu do jego wyjazdu z kraju, jako rozgoryczonego i złamanego człowieka? Trudno byłoby chyba ustalić uczucie i precyzyjnie godzinę i dzień, w których powiedział sobie: „Jest winien!“, w którym Robert z najbliższego współpracownika i przyjaciela przeobraził się w rywala o względy o tyle młodszej jego żony. Jeżeli uwierzył anonimowi, to chyba tylko dlatego, że chciał mu uwierzyć. Wzruszył ramionami: „Zabawna rzecz, wracamy do Szekspira“. Jak to on tam powiedział — „Zazdrość to potwór, co płodzi sam siebie“. Tak, ale Otello miał przy sobie Jagona, a ja? Chyba sam byłem własnym Jagonem“. Choć, kto wie? Pamiętał doskonale, jak oczywistym stwierdzeniem jego podejrzeń wydało mu się oburzenie Anny, kiedy dowiedziała się o pierwszych przesunięciach w gabinecie, zwiastujących niełaskę, w jaką popadł Robert. Ba, zrobiła mu wtedy prawdziwą scenę, zakończoną płaczem. Tak, płakała z powodu Roberta; nigdy jej nie pamiętał płaczącej dla siebie. Więc może jednak miał rację?

Pobłażliwie pokiwał głową. Czy to było dzisiaj ważne? Wszystko działo się tak dawno, stało się dalekie, jak gdyby dotyczyło innych, obcych ludzi. Nawet myśl o Annie nie budziła w nim wzruszenia. Anna należała do innego, pogrzebanego już świata, który mógł budzić zaciekawienie, ale nie uczucie. Złe przespana noc była dziś dla niego ważniejszym problemem, niż sprawa postępowania Roberta i Anny. Ciekawe, o ile bardziej przywiązany do siebie samego staje się człowiek z chwilą, kiedy to przywiązanie nie może już

trwać długo. Czym się tu zresztą wzruszać? Równie dobrze mogło się przytrafić, że to właśnie on by umarł, a oni żyli razem długo i szczęśliwie. Po prostu sprawa szczęścia, udanego rzutu kostkami w loterii życia.

Otworzył trzymaną na kolanach teczkę i wyjął z niej kilka listów. To były listy, które Robert pisał do niego po zerwaniu, listy, pełne stwierdzeń stuprocentowej lojalności, pełne zapewnień o gotowości służenia jemu i partii na każdym stanowisku, które on uzna za stosowne dla piszącego. Ostatni krótki list, napisany był po wyjeździe za granicę, znał prawie na pamięć. Otworzył go, i — nie czytając — powtórzył w myśli: „Nigdy nie potrafięś mi wyjaśnić, czym sobie zasłużyłem na to, co mnie z Twojej strony spotkało. Wiesz, że złamało to wszystkie moje zamiary i zgasiło wszelkie moje ambicje. Dzisiaj to już obojętne — jestem człowiekiem ciężko chorym i na pewno długo nie pociągnę. Wobec tego może to i lepiej, że się tak to stało, bo nie byłbym w stanie spełnić pokładanych we mnie nadziei. Nie piszę tego, żeby się skarżyć, i nie oczekuję od Ciebie odpowiedzi. Po prostu doprowadzam moje sprawy do porządku. Niegdyś Twój Robert“.

Odkłócił na bok trzymany w ręku list. Robert miał rację — o wiele lepiej, że tak się właśnie stało; gdyby zachorował w momencie przejmowania władzy, wiele spraw pogmatwałoby się fatalnie. W życiu politycznym nie chodzi o sprawiedliwość, chodzi o normalne, gładkie funkcjonowanie wszystkich organów, o unikanie zbytecznych wstrząsów i zaburzeń. Zdrowy żołądek jest o wiele ważniejszy od czystego sumienia. Co prawda dzisiejsi lekarze dowodzą, że jedno ma większy związek z drugim, niż to można było dawniej przypuścić, ale kto by wierzył lekarzom? Ich sądy i przyrzeczenia nie są więcej warte, niż sądy i przyrzeczenia polityków.

We drzwiach pojawiła się głowa pielęgniarki:

— Sir John, Miss Jones już jest i pyta, czy chciałby pan zaczynać?

Skinął potakująco głową. Lepsze chyba dyktowanie pamiętników, niż nikomu niepotrzebne rozpamiętywanie przeszłości. Schował listy Roberta do teczeki.

Miss Jones, „najlepsza stenografka w całym mieście“, jak go zapewnił wydawca, weszła do pokoju, wnosząc z sobą atmosferę gotowości do pracy i klinicznej wydajności. Zapytawszy, jak zawrze, o zdrowie i samopoczucie pracodawcy, usiadła na krześle i wydobyła swój blok i polyskujące cienkimi grafkami ołówki.

— Wczoraj skończyliśmy rozdział o nowej polityce ekonomicznej — przypomniła.

— Dobrze. Niech pani zaczyna: Sprawa Roberta Bowen-Smitha. To tytuł następnego rozdziału.

Zatrzymał się na chwilę, szukając odpowiedniego zdania, które wprowadziło by spragnione rzesze czytelników w natychmiastowy kontakt z ukrytą dotychczas prawdą.

— Doskonale zdaje sobie sprawę — zaczął — że moje wspomnienia nie byłyby kompletne, gdybym nie poświęcił dłuższego ustępu wydarzeniu, które wywołało więcej domysłów, plotek i wątpliwości, niż jakikolwiek fakt polityczny w ciągu mojej długiej pracy. Mam tu na myśli niespodziewany koniec świetnie zapowiadającej się kariery Roberta Bowen-Smitha. Reporterzy i polityczni komentatorowie doszukiwali się wszelkich możliwych przyczyn tej poważnej zmiany na naszym politycznym horyzoncie, nie cofając się przed najbardziej sensacyjnymi. Dziś, kiedy Robert Bowen-Smith nie żyje już od czterestu lat, a ja sam od dawna wycofałem się z areny spraw państwowych, uważam za swój obowiązek wyjaśnić te przyczyny definitywnie i bez reszty.

Przerwał i spojrzał na papier bloku, trzymanego na kolanach przez Miss Jones, który szybko pokrywał się tajemniczymi wężykami o jej tylko wiadomym znaczeniu.

— Bez reszty — powtórzyła Miss Jones, wyczekująco spoglądając na dyktującego.

— Prawda, jak zawsze, jest znacznie prostsza i mniej skomplikowana od fantastycznych domysłów. Stopniowe rozejście się dróg moich i Bowen-Smitha nie było spowodowane, jak to sugerowały niektóre pisma opozycyjne, żadnym antagonizmem osobistym, żadnym zatargiem personalnym, żadną kłótnią czy sporem, mającymi swe źródło w sprawach poza politycznych. Był to tylko i wyłącznie wynik niezgodności

2148
ci w ocenie przyszłych dróg, jakimi miała pójść partia...

— Partia... — powtórzyła Miss Jones.

— A z nią kraj.

Miss Jones z szacunkiem pochyliła głowę, czując, że obecna jest przy wydarzeniu, nad którym topoczają skrzydła historii.

Zatrzymał przez chwilę wzrok na pochylonej głowie stenografki. Ileż ona może mieć lat? Dwadzieścia osiem, trzydzieści? Na pewno nigdy przedtem nie słyszała nazwiska Bowen-Smitha. On sam jest dla niej zabytkiem z przedhistorycznie odległych czasów, na który można patrzeć, być może, nawet z szacunkiem, ale bez specjalnej ciekawości. Ta myśl nie sprawiła mu przykrości. Czuł się równie daleki od przeszłości i teraźniejszości.

— Niech pani weźmie te listy — powiedział, wyjmując listy Roberta z teczki, leżącej na jego kolanach — i spali je w kominku.

Stenografka posłusznie wstała z krzesła i podeszła z listami do kominka, który codziennie zapalano na jego wyrażone polecenie. Lubił siedzieć, patrząc w pelzający płomień; a poza tym tak wygodnie mógł się w ten sposób pozbywać wszystkich papierów, których nie chciał przekazać w obce, obojętne ręce. Listy Anny spalił już dawno; teraz kolej na listy Roberta. I wtedy zostanie tylko jego słowo, jako jedyny, ostateczny i nieodparty dowód prawdy — tak długo, jak długo istnieć będzie choć jedna osoba, dla której sprawa Roberta Bowen-Smitha będzie cokolwiek znaczyła. Wydało mu się to tak zabawne, że cicho zachichotał. Stenografka, kłęcząca przed kominkiem, obejrzała się z niepokojem. Opanował się natychmiast.

— Skończyła pani? — zapytał oschle — Dziękuję. Możemy pisać dalej.

Wojciech Stefański

NARESZCIE! Ociekająca lodowatą wodą po przejściu przez oleiste fale, od wywrotnej łodzi do brzegu, Lula upadła na miękki piasek. Nie, nie całowała „świętej ziemi“, jak brodaty mężczyzna obok niej. Nie płakała, jak te inne, które jechały z nią nielegalnym statkiem; ani nie dziękowała Bogu, że to koniec tragicznej wędrówki. Leżała na piachu, bez czucia, bez myśli, nie widząc poruszających się w ciemnościach sylwetek i tańczących światełek latarek. Nie dochodziły do jej świadomości obce słowa, znajome słowa, czyjaś głośno intonowana modlitwa, kachofonia głosów zmieszanych z szumem morza. Czowała tylko piach i aksamitne powietrze pod kropkowanym gwiazdami niebem.

Dotknęła ją jakaś ręka, podsunęła cynowy kubek z gorącą herbatą. Po tyłu dniach bez kropli wody do picia — gorąca herbata! „Dziękuję“, wymamrotała Lula do przykucniętej nieforemnej postaci. „Pani z Polski? Skąd?“, spytał kobiecy głos. Zamigotała latarka, oświetlając dwie twarze.

„Lula!“

„Różka!“

Zerwały się jednocześnie dwa głosy, dwa krzyki w przeszłość, w ciemnej palestyńskiej nocy, na brzegach starożytnej Cezarei, do których, po makabrycznej podróży, przybył statek z uchodźcami z wykrwawionej Europy. W którymś tam dniu 1946 roku odżył inny dzień, umarły dzień z przed 10 lat.

„Ta Różka całkiem zwariowała! Wyobraź sobie, jedź do Palestyny z grupą chalućców! Co ona tam będzie robiła ze swoimi trzema uniwersyteckimi dyplomami, naprawdę nie mam pojęcia“, powiedziała efektownie Lula, rzucając ostentacyjnie nowozdobytą togę adwokacką na poręcz krzesła w natłoczonej kawiarni „Ziemiańskiej“. W Warszawie, na ulicy Mazowieckiej.

„No cóż, jest konsekwentna. Syjonistka od najmłodszych lat, uważa, że odbuduje naród żydowski przez dojenie krów w Palestynie. Znasz przecież ich teorię: dosyć żydowskich adwokatów i sklepikarzy, trzeba wrócić do matki-ziemi, do fizycznej pracy“, odparował Adam, pałaszując trzecią bezę z kremem.

„Dość krowy, straszne! Takie brudne, cuchną gnojem i na dodatek — mogą kopnąć“, zaśmiała się Lula, rzucając zalotne spojrzenia na siedzących przy sąsiednim stoliku Tuwima i Makuszyńskiego. Bo Lula była co prawda od kilku miesięcy adwokatką, ale poezję i poetów kochała od zawsze.

„Hm, kopnąć, prawda, ale często ludzkie kopanie bardziej boli, nawet jeśli jest tylko symboliczne. Czasem zazdrość tym idealistom, że wierzą w coś, że gotowi są wszystko poświęcić, żeby

LWÓW 1782 WIEN

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

ST. BERNHARD
Likier ziołowy

KRUPNIK WIŚNIAK
STARKA WIŚNIÓWKA

J. A. BRUCE & CO.
9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808
(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)



JEDEN ZA WSZYSTKICH...

osiągnąć swój wymarzony ideał, w tym wypadku: żydowskie państwo. Może jednak...“; słowa Adama werżnęły się poważną nutą w rozświergotaną kakofonię kawiarnnianych rozmów.

„Swoją drogą ta nasza Różka zawsze była jakaś dziwna, źle ubrana, nie „zrobiczna“, i po co ona kończyła filozofię, psychologię i konserwatorium, jak tak bardzo chciała te krowy doić“, zakończyła Lula rozmowę o Różce, przechodząc do ciekawszych i bardziej aktualnych tematów.

Rzuciła Różka wygodny dom i rodzinę i z grupą chłopców i dziewcząt z chalurowej farmy w Grochowie wyjechała do Palestyny. Zabrała tylko stary fortepian z poźółkami klawiszami. Od żydowskiej Agencji grupa (po hebrajsku „kibuc“) dostała kawał pustej ziemi, kupiony za grosiki, które Żydzi z całego świata wrzucali, na żarty i nie na żarty, do białoniebieskich puszek, nie wiedząc czasem, jakie jest tych grosików przeznaczenie. Jak złodzieje, zakradli się w nocy na przydzieloną im działkę, z deskami i z narzędziami, ze zwojami kolczastego drutu i ze starymi strzelbami. Musieli tak, bo nie chcieli zacząć od walki z niechętnymi im Arabami, wierzyli przecież w braterstwo ludów, w pokojowe współżycie.

Na porośniętym wyschłymi krzewami wzgórz, wśród bagien i moczarów, postawili prymitywną wieżę wodną, otoczyli teren drutem, rozbili namioty. Postawili strażę. Wyły szakale, hukaly puszczyki, po jasno-granatowym niebie toczyły się księżyc, a upojony zapach porażającego kwiecia pozwalał zapomnieć o zmęczeniu i niepewnym jutrze, w które wierzyli.

Dla grupy chłopców i dziewcząt z farmy na Grochowie dni — to było za gorące słońce i praca, febronośne komary i praca, zaniedbana od wieków ziemia, którą chcieli zamienić w kwitnące ogrody, dla siebie i dla dzieci, swoich i cudzych. Pokrywały się szorstką skórą nieprzwyyczajnie do fizycznej pracy ręce, marszczyły spalane przez słońce twarze, ale za to bezpłodna do tej pory ziemia nabierała kolorów; zazieleniły się pola, zginęły komary, zabrawszy ze sobą kilka ludzkich ofiar, nawet różę zakwitły w świeżo założonym kibucu, któremu nadano nazwę „Źródło Nadziei“. W miejscu namiotów stanęły drewniane domki, a dla kilku-

nastu niemowląt postawiono pierwszy kamienny budynek. Dla dorosłych był chleb i pomarańcze, a dla dzieci — wszystko najlepsze plus nieograniczona swoboda, taka jakiej rodzice ich byli pozbawieni w swoich dalekich krajach pochodzenia.

Za to noce były całkiem inne od dni. Rozkwitały płomienne kwiaty ognisk, tańczyli kibucnicy horę i inne ludowe tańce. Czasem Różka — teraz Szoszana, co znaczy po hebrajsku Róża — grała na fortepianie; Chopina, „Zakwitały pęki białych róż...“ Czy „Szumią jodły“. Śpiewali piosenki hebrajskie i te inne, polskie, rosyjskie czy węgierskie, te wśród których wyrosli. Dyskutowali, kto jutro w polu, a kto do miasta po chleb, po nasiona, czy na zebranie. I jak naprawić świat, i jak budować żydowskie państwo, żeby było sprawiedliwe i dla wszystkich, jak kibuc. Oraz o tym, że trzeba wreszcie urządzić „zbiorowy“ ślub dla kilku par, których dzieci zaczynają już podraszczać.

Podczas II-ej Wojny Światowej, gdy Lulę zamknęli w getcie, a potem wzięli ją do Oświęcimia, z kibuców wychodziły grupy bojowników do wojsk alianckich, do żydowskiej Brygady. Z kibuców jechali wysłannicy do okupowanej Europy, by nieść pomoc prześladowanym braciom. Zamordowana przez Gestapo na Węgrzech, zginęła bohaterka spadochroniarka, Hana Senesz z kibucu Aszdod Jam; zginęło wielu innych, chociaż nie musieli. Ci którzy zostali pracowali nadal, siali, orali i budowali.

Po zakończeniu wojny kibuce wzięły na siebie podwójny ciężar: z jednej strony walkę z Arabami i Anglikami, z drugiej — przerwianie do Palestyny uchodźców z Europy, których Anglicy nie chcieli wpuszczać, aby nie zadzierać z Arabami. Nie odstraszyły ich ani stałe rewizje, połączone nieraz ze znieszczeniem kibucu, ani kary i wysiedlenia do obozów poza Palestyną, ani ciągłe walki z arabskimi infiltrantami. Z kibucników składały się w dużej mierze pierwsze kadry izraelskiego wojska, które do ogłoszenia niepodległości działało w podziemiu jako „Hagana“ (Obrońca). A kiedy w 1948 r. 40 milionów Arabów z 5 sąsiadujących z Izraelem państw chciało „wrzucić do morza“ milion Żydów, kibucnicy stanowili najbardziej bohaterskie przedmurze, kobiety, mężczyźni i dzieci.

„Nie ma co tać, inaczej tu u was wygląda niż wtedy, kiedy półżywa przywlokłaś mnie tu z Cezarei, pamiętasz?“ — mówi izraelska adwokatka Lula, myszkując po nowym, dwupokojowym mieszkaniu Różki-Szoszany, które kibuc wybudował dla niej, jako dla jednej z najstarszych członkiń. Książki, obrazy i, naturalnie, stary fortepian z poźółkami klawiszami.

„Tak, zupełnie inaczej, wygodnie, spokojnie, mamy już nawet własną kosmetyczkę, ale czasem tęsknię do tych dawnych czasów, inni byli ludzie, inna wiara“, odpowiada z cdrobiną nostalgii Szoszana, która jest już potrójną babką i ma na swoim koncie 3 książki z dziedziny psychologii i wiele lat nauczycielskiej pracy w kibucu.

Dużo wody upłynęło od czasu, gdy grupa rosyjskich pionierów założyła w 1909 pierwszy kibuc „Degania“. Dzisiaj istnieje w Izraelu 230 kibuców ze społecznością około 100.000 ludzi skupionych w 5 nadrzędnych organizacjach wedle afiliacji politycznych. Stare kibuce pięknie się dorobiły, mają wspaniałe Domy Kultury, szkoły, biblioteki i muzea. Niektóre założyły fabryki (mebli, plastyku, porcelany), aby wykorzystać fachowców i ludzi niezdolnych do pracy na roli. W wielkich, ozdobionych przez kibucników-artystów, salach jadalnych nieraz pada ci do stołu minister czy mąż stanu, który poza godzinami urzędowania podlega takim samym prawom i obowiązkom jak każdy inny kibucnik. Pensje ich idą do kibucu, który pokrywa wszystkie wydatki. Kibuce to dzisiaj wielkie posiadłości ziemskie rządzone zasadą: „Każdy wedle swoich zdolności, każdemu wedle jego potrzeb“. Mają „swoich“ pisarzy, poetów, generałów.

Kibuce przeżywają obecnie okres walk ideologicznych, normalne tarcia między starym pokoleniem pionierów, a młodymi, wyrosłymi w swobodzie, dla których „powrót do ziemi“ jest faktem dokonanym i którzy uważają, że świat, w którym żyjemy, wymaga innych dróg. Chcą studiować na uniwersytetach, chcą mieć więcej wygod i rozrywek niż mieli ich rodzice czy dziadkowie. Kobiety chcą mieć dzieci przy sobie, a nie w Domu Dziecka. Państwo realizuje dzisiaj ideały, w imię których stworzone zostały kibuce, pozostaje więc „way of life“, którą trzeba dostosować do istniejących warunków, aby się utrzymała. Tarcia czy nie tarcia, kibucnicy w dalszym ciągu stoją w pierwszych szeregach najlepszych obywateli Izraela; ludzie o wielkim spokoju wewnętrznym i nieskalanej uczciwości, która opiera się wszelkim demoralizującym pokusom z zewnątrz. Siałe odnawiające się źródło czystości dla Izraela i dla szarpanego milionem konfliktów świata.

OPÓŹNIENIE NIEKTÓRYCH CECH ROZWOJOWYCH U NORMALNYCH DZIECI I ICH PRZYCZYNY

MEDYCYNA nie określa ścisłego czasu, w którym pewne rozwojowe czynności dziecka muszą być przez nie wykonywane. Za charakterystyczny przykład mogą tu służyć początki mówienia: niektóre dzieci mówią całymi zdaniem mając zaledwie rok, inne natomiast w trzecim roku życia znają jedynie kilka oderwanych wyrazów. Mimo tych różnic w czasie, zarówno dziecko mówiące wcześniej jak i to mówiące późno — są całkowicie normalne. Poniżej podaję kilka przykładów stanów rozwojowych normalnego dziecka.

Siadanie. Na wiek, w którym dziecko usiadzie po raz pierwszy samodzielnie przemożny wpływ ma zachowanie się jego matki. Jeśli matka utrzymuje dziecko stale w pozycji leżącej, bojąc się zazwyczaj aby mu się „kręgosłup nie skrzywił“ dziecko takie usiadzie samo stosunkowo późno.

Od 28 tygodnia życia niemowlę lubi być sadzane czy to w krzeselku czy w wózku, a raz zasmakowawszy w nowej pozycji, leży niechętnie dając znać jak umie, aby go ponownie posadzić. Oczywiście dziecko musi być dokładnie podparte, gdyż samo nie ma jeszcze dość siły aby utrzymać w pozycji pionowej ciężar swojej własnej wagi. Około 36 tygodnia życia, posadzone niemowlę zaczyna podierać się rękami i w tej pozycji potrafi przesiedzieć kilka minut już bez niczyjej pomocy. Dopiero jednak około 40 tygodnia życia mały człowieczek jest zdolny podnieść się z pozycji leżącej i usiąść. Zauważono, że dzieci wychowywane w sierocińcach zaczynają raczkować przed tym nim potrafiły się. Można to wytłumaczyć faktem, że do raczkowania dziecka nie jest potrzebna pomoc osoby dorosłej tak jak potrzebna jest do siadania. W sierocińcach zatem z powodu niemożności zajęcia się personelu każdym dzieckiem indywidualnie — normalne, podkreślam normalne dzieci są często zapóźnione w czynności siadania.

Chodzenie. Przeciętny wiek stawiania pierwszych kroków waha się między 13 a 15 miesiącem życia. Znamy jednak wypadki i to dość częste, że niektóre dzieci zaczynają chodzić już w 10 miesiącu, a także są i takie, które nie chodzą jeszcze w drugim roku życia. I znowu obie te kategorie należą do najzupełniej normalnych. Oczywiście, że każda uboczna przyczyna, nie pozwalająca dziecku stanąć samodzielnie na nogi jak choroba, złe podejście rodziców,

czy wychowanie w instytucjach, opóźni chodzenie. Poza to, niektóre dzieci tak znakomicie posługują się systemem raczkowania, że nie mają poprostu ochoty wysłać się na chodzenie. Co sprytniejsze jednostki wynajdują nawet specjalny system szybkiego poruszania się, polegający na odbijaniu się od powierzchni jedną ręką i jednym poślakiem. Szybkość rozwijana w ten sposób bywa zdumiewająca i bardziej od raczkowania opóźnia naukę chodzenia, gdyż ruchy wykonywane przy poruszaniu się pośladek-ręka są zupełnie odmiennie od ruchów przy chodzeniu.

Ważną rolę w nauce chodzenia odgrywa charakter i temperament dziecka. Wiele dzieci, umiających już chodzić, boi się dać kroku naprzód bez mocnego trzymania się chociażby za koniec palca matki. Jeśli takie dziecko upadnie — może wogóle przestać chodzić na pewien czas — ze strachu. Dlatego też w pierwszych wysiłkach nauki chodzenia dziecko musi mieć podeszwy swych buciczków z materiału nie śliskiego.

W niektórych krajach Ameryki Południowej, a zapewne i w wielu innych, panuje jeszcze do dzisiaj niezdrowy i niehumaniczny zwyczaj ciasnego spowijania dzieci aż po za pierwszy rok ich życia. Jest zjawiskiem niezmiernie ciekawym, że takie roczne dziecko raz uwolnione ze swych powijaków przechodzi zaledwie w ciągu paru godzin wszystkie stadia rozwojowe, które mu były odjęte, a więc siadania, raczkowania, samodzielnego wstawania, aż do pierwszego kroku, czyli przez te stadia, które u dzieci niespowijanych musiały trwać kilka dobrych miesięcy.

Z powyższych obserwacji musimy wyciągnąć pewien morał dla rodziców: rodzice nie uczą swych dzieci ani siadania, ani chodzenia, ani mówienia, a jedynie im w tych czynnościach pomagają. Co więcej, rodzice nie powinni „uczyć“ na siłę. U każdego dziecka nadchodzi moment, gdy jego system nerwowy dojrzewa do danej funkcji. Wówczas jedyna pomoc jaka mu jest naprawdę potrzebna — to wiele cierpliwej i pełnej miłości zachęty. Dziecko w każdym swym nowym doświadczeniu życiowym musi się czuć bezpieczne. Raz posiadłszy pewność swego bezpieczeństwa i miłości, która go otacza, będzie dzielnie dawać sobie rady samo z każdą nowo odkrytą funkcją swojego ciała.

Kontrolowanie czynności fizjologicznych. Ten problem jest jednym z naj-

częściej spotykanych problemów w wychowaniu dziecka. W większości wypadków brak kontroli nad czynnościami eliminacyjnymi jest winą samych rodziców. Tutaj, dla lepszego wytłumaczenia, muszę przedstawić w ogólnym zarysie fizjologię dziecięcego pęcherza.

Młode niemowlę oddaje mocz co kilka naciągów. Jest to funkcja fizjologiczna całkowicie instynktowna. Pęcherz niemowlęcia nie jest w stanie zatrzymać większej ilości płynu, z biegiem jednak rośnięcia ciała pęcherz też rośnie i staje się z czasem zdolny do utrzymania większej ilości moczu niż w pierwszych dniach życia. Jak więc widzimy im starsze niemowlę, tym rzadziej oddaje mocz. Dopiero jednak między pierwszym a drugim rokiem życia okres przetrzymania moczu w pęcherzu może przedłużyć się do kilku godzin i dopiero w tym okresie dziecko zaczyna mieć świadomość chęci oddania moczu. Nie znaczy to jednak, że go oddaje z własnej woli, kiedy chce — jego pęcherz wciąż nie jest rozwojowo gotowy do wstrzymania moczu chociażby przez kilka sekund. Widzimy nieraz kilkunastomiesięczne dziecko, które podbiega do matki, wskazując na zmoczone majteczki. Nie mogło zapanować nad swym odruchem z wyżej wymienionych przyczyn. Nie wolno więc go za to karać, po prostu moment możliwości powstrzymania się jeszcze nie nadszedł.

Dziecko winno być wysadzane regularnie, cierpliwie, bez gniewu, w kilka minut po każdym jedzeniu, oraz po spaniu i po spacerze. Nie należy go nigdy przetrzymywać na siłę, gdyż takie postępowanie może jedynie wywołać bunt. Bunt ten może czasami przybrać formy umyślnego sabotowania używania nocniczka, nawet wtedy, gdy system nerwowy dziecka dojrzał już do tego, aby czynność tę spełniać świadomie. Dziecko lubi zwracać na siebie uwagę, gdyż uwaga jaką się je otacza jest jednym z czynników stwarzających atmosferę bezpieczeństwa. Jeśli więc niedoświadczona matka załamuje ręce nad mokrym ubrankiem, dziecko może to poczytać za dodatkowe zwrócenie na siebie uwagi i przy najbliższej okazji zmoczy się całkowicie świadomie.

Wszystkie „zapóźnienia“, czy „zahamowania“ z jakimi się spotykamy w rozwoju dziecka są najczęściej powodowane przez zbyt energiczne, a czasem nawet zbyt surowe metody rodziców. Raz jeszcze należy podkreślić, że w curdowym mechanizmie ludzkiego ciała na wszystko przychodzi swój własny czas, a czas ten może być u każdego dziecka inny.

W następnej gawędzie zajmę się sprawami koordynacji ruchów, oraz mowy.

Dr Michał

NIECO O POGODZIE

NAUKOWCY i meteorologowie pomimo wielu lat pracy i badań nie mogą się jeszcze pochwalić definitywnymi rezultatami nad kontrolą klimatu czy pogody. Metody, które opracowali są albo tak kosztowne, że ich eksploatacja zupełnie się nie opłaca, albo też nie osiągają pożądanego wyniku w praktycznym zastosowaniu. Dla przykładu można tu wspomnieć niedawną próbę rozproszenia mgły nad zimową miejscowością wakacyjną w Norwegii. Wynikiem tej próby było to, że chociaż mgła została rozproszona w ciągu kilkunastu minut, to jednak w niedaleko położonym Oslo nastąpiła gwałtowna burza śnieżna, paraliżując całkowicie miasto na przeciąg wielu godzin. Najważniejsze jest jednak, że meteorologowie wiedzą już co jest im potrzebne do efektywnej kontroli pogody czy też klimatu.

Aparatura i mózgi elektronowe, jakie są potrzebne do tych badań są tak kosztowne, że żadna instytucja ani żaden rząd nie są w stanie sfinansować takiego przedsięwzięcia. Najpotrzebniejszym narzędziem pracy byłoby tutaj posiadanie komputera o olbrzymiej mocy, zdolnego do przeprowadzania bardzo długich i skomplikowanych kalkulacji w rekordowo krótkim czasie, ponieważ czynniki, które składają się na dany stan pogody są niezmiernie skomplikowane; wchodzi w to zmiany w ciśnieniu ponad olbrzymimi obszarami, zmiany w wilgotności oraz nieustannie wahana temperatura.

Ilość stacji meteorologicznych, które zajmują się zbieraniem informacji o warunkach atmosferycznych stale wzrasta, czego im jednak brak, to środka, który by potrafił przeanalizować wszystkie dane i przepowiedział pogodę, którą te zmiany spowodują. Jest to praca, jaką może wykonać mózg elektronowy, który otrzymawszy odpowiednią ilość informacji będzie zdolny do przeanalizowania ich i scalenia w jedną całość w ciągu kilku minut. Dlatego właśnie przyszli badacze, czy też kontrolerzy pogody żądają komputerów dziesięciokrotnie, lub nawet stokrotnie silniejszych od tych, które są obecnie na rynku.

W Stanach Zjednoczonych, po dwóch latach pracy zespół naukowców opublikował raport pod tytułem „Modyfikacja pogody i klimatów, problemy z tym połączone i przewidywania na przyszłość”. W raporcie żąda się zwiększonej subwencji na badania naukowe, któreby w roku 1966 wynosiły około 5 milionów dolarów, a zwiększyły się do 30 milionów dolarów, w roku 1970.

Czy jednak rzeczywiście tylko posiadanie kosztownych komputerów ułatwi kontrolę nad pogodą? Wiemy, że jo-

dek sodu rozproszony w chmurze spowoduje opad deszczowy. Metoda ta we wschodnich stanach Ameryki spowodowała 10 do 20 proc. więcej opadów deszczu z chmur kumulusowych. W Australii, gdzie podobna metoda jest używana od dłuższego już czasu, i daje dobre wyniki, debatowany jest koszt takiego przedsięwzięcia. Odkryto bowiem ostatnio, że zwiększona ilość opadów powoduje bujniejszy rozwój roślinności, który z kolei wchłaniając wilgoć zapobiega parowaniu wody do atmosfery czyli tworzeniu się deszczowych chmur.

Są także i inne metody spowodowania opadu deszczowego. Na przykład, bardzo drobno zmielona sól kuchenna wystrzelona eksplozującym podskiem w chmury została wykorzystana w Australii do gaszenia pożarów buszu. Jeszcze inna metoda sugeruje pokrywanie dużych przestrzeni czarną substancją. Otóż jak wiemy z fizyki, ciało pomalowane na czarno absorbuje ciepło. Jeśli więc udało się pokryć asfaltem pustynie, wówczas zaabsorbowany nadmiar ciepła spowodowałby prądy powietrzne idące w górę, które z kolei przyczyniłyby się do formacji chmur i oczywiście deszczu nad zaczernionym obszarem. Metoda ta została już potwierdzona eksperymentalnie przez jedno z towarzystw naftowych, istnieją jednak duże obawy, czy na metodzie tej będzie można polegać całkowicie.

A oto jeszcze jeden fakt z raportu: mianowicie zmiany pogody, spowodowane przez człowieka, na które jednak człowiek ma bardzo mały wpływ.

Badania przeprowadzone w różnych częściach świata stwierdziły, że bardzo duże miasta mają o 10 proc. więcej deszczu oraz aż o 100 proc. więcej mgieł, niż otaczające je nie-miejskie okolice. Tłumaczy się to tym, iż zwiększona ilość ciepłego powietrza, unoszącego się z domów i fabryk powoduje prądy, ułatwiające formację chmur deszczowych.

Spalanie węgla i ropy naftowej spowodowało zwiększoną ilość dwutlenku węgla w atmosferze (od 10 do 15 proc.) od początku naszego stulecia, co z kolei przyczyniło się do podwyższonej temperatury powierzchni ziemi.

Możemy więc wywnioskować, że klimat zmienia się w pewnym stopniu w miarę rozwoju miast i ośrodków przemysłowych. Dlaczegoż więc nie moglibyśmy pokierować tak tymi zmianami, aby odnieść z tego korzyści? Należy

mieć nadzieję, że w niedługiej już przyszłości rządy państw zdecydują się zainwestować potrzebne miliony, aby przyszłe pokolenia mogły korzystać z pożytkiem ze swych umiejętności kierowania pogodą. Dopóki jednak to nie nastąpi muszą nam wystarczyć środki tak proste, jak wyżej wymieniony jodek sodu lub zwykła sól kuchenna.

OKO JAKO KOMPUTER

Badania prowadzone w londyńskim Instytucie Oftalmologicznym wykazały, że siatkówka — warstwa światłoczułych i nerwowych komórek, którymi wyłożone jest dno oka, jest w dużo wyższym stopniu skomplikowanym i ważnym organizmem niż dotychczas przypuszczano. Ostatnie badania siatkówki za pomocą mikroskopów elektronowych wykazały, że siatkówka jest w rzeczywistości częścią mózgu, składającą się z niezliczonej ilości połączeń pomiędzy elementami, tworzącymi ją, a które są charakterystyczne wyłącznie dla komórek mózgowych. Połączenia te są potrzebne do złożenia obrazu, na który oko jest zwrócone, przez połączenie pojedynczych sygnałów świetlnych zarejestrowanych przez komórki siatkówki.

Dr C. N. Pedlar z Instytutu Oftalmologicznego w swojej pracy wysunął kilka niezmiernie ciekawych teorii na temat siatkówki. Twierdzi on, że podobnie jak w komputerze siatka połączeń pomiędzy komórkami może być użyta do zamknięcia mniej naświetlonych komórek, podczas gdy lepiej naświetlone komórki dalej będą zdolne do przesyłania sygnałów potrzebnych na złożenie obrazu.

Niektóre komórki prawdopodobnie są połączone w ten sposób, aby rejestrować ruch przedmiotów w prawą lub w lewą stronę. Sama siatkówka jest zdolna do kontroli ilości sygnałów, przekazywanych do mózgu za pomocą nerwu optycznego, tak że połączenie to nigdy nie jest przeladowane bodźcami. Inne badania potwierdzające, że siatkówka stanowi część mózgu zostały przeprowadzone na ptakach, dla których wzrok jest jednym z najważniejszych zmysłów oraz na jaszczurkach, posługujących się wzrokiem w dużo mniejszym stopniu od ptaków. Stwierdzono, że ilość połączeń w siatkówce ptaka była znacznie większa niż u jaszczurek.

W. Lewandowski

Od Juliusza Verne do Pentagonu

KIEDY science-fiction zaczęła robić karierę? Genialny, jak się w sto lat później okazało, Jules Verne, długo był uważany za szkodliwego opowiadacza bajek dla dzieci „od których im się tylko w głowie miesza”. W okresie ząbkowania pary i elektryczności nikomu się nie śniło o podróżach na księżyc, czy nawet o przemierzeniu globu w czterdzieści dni. Podróże podmorskie, podróże powietrzne... fantazja, czysta fantazja.

Teraz między fikcją dzisiejszą a jutrzejszą wiedzą granice zacierają się coraz bardziej. Więcej nawet — czasami fantastyczny pomysł pseudo-naukowca staje się punktem wyjścia poważnych naukowych badań. Niech mnie panowie naukowcy nie wydrwiwają — podczas ostatniej wojny pomocnicze siły sztabów alianckich zupełnie serio wertowały tomiki fantastycznych powieści, w poszukiwaniu nowych pomysłów ataku, obrony, czy technicznych rozwiązań trudnych problemów.

Wiadomo każdemu, że sprawa wykorzystania energii atomowej, to był wyścig na śmierć i życie walczących potęg. Wiadomo również, że obie strony miały w ręku daleko posunięte badania — brakowało rozwiązania technicznego. W marcu 1944 ukazał się w sprzedaży nowy numer nowojorskiego miesięcznika „Astounding Science Fiction” z nowelą Cleve Cartmill'a „Deadline”. W kilka godzin później, redakcja popularnego wydawnictwa przeżyła niezwykłą sensację. Kordon wojskowy odciął dostęp do lokalu redakcyjnego, podczas gdy kilku surowych przedstawicieli F.B.I. przeprowadzało szczegółowe inwigilacje. Otóż na kilka miesięcy przed wybuchem w Hiroshimie, Cartmill w

jakimś niefortunnym natchnieniu, wymyślił bombę A. Opisał szczegółowo wybuch, zasięg, skutki... W biurach kontrwywiadu wybuchła panika. Skąd i w jakim stopniu przeciekają wiadomości; czy nowela nie jest jakimś umówionym sygnałem? Biedny błyskotliwy autor, redaktor naczelny, ilustrator (narysował wybuch bomby „jak żywy”, nawet słynnego grzyba nie darował) przeszli regularne krzyżowe badania, nim wreszcie wyjaśniło się, że „Deadline” to sprawa żywej i podlanej powierzchowną wiedzą wyobraźni autora.

Tyle o bombie atomowej. Ach nie, przepraszam, to nie wszystko! „Wynalazł” ją już w 1928 roku Edward E. Smith, w noweli „Skylark I”. W rok później S.P. Meek w „Peril Rouge”, kończy wybuchem bomby uranowej wojnę między Sowietami a Ameryką. Poza tym, oczywiście nie bawiąc się w szczegóły matematyczne i techniczne — S.A. Coblenz opisuje łódź podwodną, pędzoną siłą energii atomowej, w roku 1927.

Ile z tych „fantastycznych bredni”, jak wówczas je osądzali ludzie trzeźwi i poważni, już się spełniło... Bazooka, broń przeciwzołgowa, mała że opisana w jakiejś fikcyjno-wojennej powieści, ale uzupełniona rysunkiem ilustratora (czy to nie dziwne, że pisarz i rysownik mają te same... jakby to powiedzieć... wizje przyszłości?) mała się różni od bazooki używanej w ostatniej wojnie. Tenże sam autor, Philip Nowlan w innej swojej powieści opisuje w sposób halucynacyjny „mycie mózgu” przez Rosjan, w jakimś konflikcie wywiadów Wschodu i Zachodu.

Rekordy w dziedzinie antycypacyjnych pomysłów bije Hugo Gernsback. Z pod jego pióra wyszedł radar — prawie, że taki sam jak obecnie używany, mikrofilm, plastik, nylon i telewizja. Znalazłam kiedyś, w jakimś starym miesięczniku rysunek takiej telewizji. Działała, zdaje się na zasadzie telefonu: pan z podkreślonym wąsikiem, przemawiający czule, na klęczkach i z ręką na sercu, do obrazu młodej pani w kołnierzyku po zęby i ufiokowanej fryzurze — rok był chyba 1910.

W tym samym roku opisano wykorzystanie energii słonecznej, przez „łapanie” jej przy pomocy lśniących ekranów. Dopiero w końcu 50-tych lat zastosowano ten pomysł w rzeczywistości. Podobno, zmagazynowana w odpowiednich urządzeniach, nadaje się znakomicie np. do ogrzewania mieszkań. Oczywiście nie w Anglii, gdzie trzeba by sprowadzać ją za ciężkie pieniądze.

Wojna bakteryjna? Czerwona propaganda szerzyła panikę bakteryjną podczas wojny na Korei. Amerykańska nowela podaje pomysł takiej niezwykłej i zupełnie zimnej wojny. Wroga potęga zasypuje teren nieprzyjaciela bakteriami żyjącymi na... papierze. Cały system monetarny, administracja, informacja zostaje w ten sposób w ciągu kilku tygodni zniszczona. Nieszczęsne państwo ginie w chaosie.

Mina magnetyczna, opisana w noweli „Paradox”, gdzie w 30-tych latach, została rzeczywście użyta podczas ostatniej wojny. W dalszym ciągu tejże noweli — „Paradox Plus”, pisarz wprowadza robota elektronowego, który czyta szyfry bez „klucza”, z podaniem tylko prawdopodobieństwa informacji. Podobno opracowuje się obecnie analogiczny typ mózgu elektronowego.

W 1926 roku Edwin Balmer wymyślił aparat do wykrywania kłamstwa, oparty, jak się w 30 lat później okazało — słusznie, na podstawie ultra-czułego mierzenia ciśnienia naczyniowego, pulsu i rytmu oddychania.

Fikcyjna wiedza, to olbrzymi „brainstorming”, niewyczerpane źródło nowych idei i niestosowanych dotychczas pomysłów. Autorami są przetym często rzeczywście naukowcy dający się ponieść fantazji, często pisarze zafascynowani postępami wiedzy i wertujący naukową literaturą. Nic dziwnego, że nie tylko przemysł, ale i tajne służby wywiadu i kontrwywiadu śledzą pomysły „niepoważnej” wiedzy. Podobno wywiad niemiecki miał na terenie Anglii i Ameryki specjalną ekipę, przesyłającą każdy, nawet najbardziej fantastyczny pomysł, mogący się nadawać dla celów wojennych — do centrali w Berlinie. A sprawa Cartmill'a i jego nieszczęsnej, przedczesnej bomby podobno żywo zainteresowała płk. Zarubina z sowieckiej misji wojskowej w Kanadzie.

Wracając do Juliusza Verne'a. Wierzyć się nie chce, że jego „Podróż na księżyc” wyszła w 1866 roku. Fantastyczny wehikuł był pociskiem wystrzelonym z ziemi (miał zresztą kształt kuli rewolwerowej), znajdowały się w nim, prócz astronautów w żakietach i cylindrach, dwa psy, koguty, kurcy... Wszystko to przeżywało niesłychane przygody w sferze utraty grawitacji... nie pamiętam już zresztą szczegółów tej powieści. Wiem tylko, że doczekała się czterech wydań i 100.000 egzemplarzy. Na film z niej za późno. Rzeczywistość przeszła fantazję.

(W powieści Verne'go rakietą „wyminięła” księżyc, okrążyła go i wróciła na ziemię. Ścisłej mówiąc unosiła się na wodach oceanu, skąd ją wylowiono. — Red.).

Wzmacniają nerwy i oczyszczają krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

Poza obchodami Mil'ennijnymi ostatni okres odznaczył się szczególnie Złotą Serią odczytową. Rozpoczął ją w popularnym tonie utrzymany wykład prof. A. Folkierskiego, wykładowcy fizyki na Imperial College, zorganizowany przez Wydział Przyrodniczy Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie wspólnie z Stowarzyszeniem Techników Polskich w jego siedzibie znanej pod nazwą Domu Techników. Jakkolwiek przewodniczący wydziału prof. J. Rzóśka zapowiedział, że tematem będzie „Fizyka w drugiej połowie XX wieku“, to jednak prelegent poświęcił temu tematowi tylko końcówkę część odczytu, cofając się właściwie do początków nowoczesnej fizyki, dając jej przegląd od Newtona i Keplera. Był to rzeczywiście tour de force ze strony wykładowcy, aby pomieścić w wykładzie tak długi okres dziejów i tak wiele działów, których podstawy były przedstawione w zwięzłym a ścisłym zarysie. Była tam bowiem mowa nie tylko o mechanice, ale i o termodynamice, o elektryczności i elektromagnetyzmie, aż po teorie atomowe z teorią kwantów Plancka i teorią względności Einsteina włącznie, aby to wszystko należycie uwydatnić przeciwstawny kraniec dla fizyki jądrowej, za jaki może uchodzić najnowocześniejszy dział astrofizyki, mianowicie fizyki plazm kosmicznych, będącej dziedziną, w której prelegent się specjalizuje. Za tym pozornie prostym i bezpretensjonalnym odczytem kryło się niewątpliwie trochę blasku odziedziczonego po mistrzu słowa i wykładu, jakim był utalentowany humanista prof. W. Folkierski, ojciec wykładowcy. W bardzo interesującej dyskusji obracającej się dookoła zagadnień podstawowych dla poznania świata i filozofii, brali m. in. udział pp. dr T. M. Prus-Chąciński, prof. J. Rzóśka i prof. I. Wieniewski. Szkoda tylko, że dla dopełnienia całości nie została poruszona sprawa poszukiwań tzw. równania czy wzoru uniwersalnego z fizyki teoretycznej, wszechogarniającego ogół zjawisk fizycznych, a któremu Albert Einstein poświęcił w końcowym okresie życia tyle uwagi i energii nie uzyskując zadowalających wyników.

B.D.I.C

ZŁOTA SERIA ODCZYTOWA

Natomiast nie mogło być mowy o ujęciu w godzinnym wykładzie tematu, jaki postawił sobie prof. Józef Jasnowski, który na zebraniu zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Historyczne, w sali Instytutu Polskiego wygłosił referat z części swej pracy o „Kształtowaniu się Umysłowości“ w Polsce, przygotowanej w języku angielskim jako „Shaping of Mind“. Zgodnie z tytułem wykładu prelegent starał się uwydatnić okresy, szczególnego rozwoju nauk w Polsce na przestrzeni od średniowiecza do końca XIX stulecia. Chcąc możliwie szczegółowo przedstawić zwłaszcza najmniej znane okresy początkowe rozwoju kultury naukowej mówca ograniczył się do przejawów w zakresie nauk ścisłych, jak matematyka, medycyna czy alchemia. Szczególny rozkwit przypadł na wiek XVI, po którym nastąpił dłuższy okres osłabienia, w końcowym okresie niepodległości rozpoczął się nowy zryw, który ugruntował się dopiero w XIX wieku.

W dyskusji, która się rozwinęła nad wykładem, z udziałem płk. A. Sawczyńskiego i mgr. Tomiaka, nawiązywano do pominiętych zagadnień historycznych i humanistycznych, które prelegent poświęcił na rzecz skupienia się nad sprawami mniej znanymi.

PRAWO NARODÓW:

Ilustracją wielkiego dorobku humanistycznego nauki polskiej z XV stulecia znaleźć mogli liczni słuchacze, którzy na tej samej sali wysłuchali przemówienia prof. A.C.F. Beales z King's College na Uniwersytecie Londyńskim oraz prof. L. Koczego z Glasgow, przemawiali oni na zebraniu urządzonym przez Towarzystwo Polsko-Angielskie z okazji pojawienia się wielkiej dwutomowej monografii o Pawle Włodkowicu, pióra ks. dr. Stanisława Bełcha, poza tym redaktora polskiego przekładu „Sumy Teologicznej“ św. Tomasza z Akwinu. Postać Włodkowica przedstawiona została jako wielkiego prekursora nowoczesnych pojęć z zakresu prawa międzynarodowego. Zebraniu przewodniczył p. Grocholski i po referentach zabrał głos autor monografii wspominając o istniejącym nadal zadaniu wydania w czterech tomach głównego dorobku piśmienniczego Włodkowica. Słowa zachęty w kierunku poparcia tego wydawnictwa wypowiedział również i amb. E. Raczyński, który zastanawiał się nad tym, jakie były właściwe talenty dyplomatyczne wilekiego uczonego.

Wkrótce po tym wieczorze odbył się odczyt prof. Wenczesława Wagnera z

Uniwersytetu Indiana, przybyłego z Ameryki na Zjazd Polski Walczącej, który w sali Domu Techników mówił na zebraniu urządzonym przez Polskie Towarzystwo Naukowe na temat prac nad ustaleniem ogólnych zasad i norm prawnych uznawanych przez państwa cywilizowane. Akcja ta podjęta została z inicjatywy prof. Schlezingera, pochodzącego z Wiednia, i jest wynikiem 10 letnich zabiegów zespołu 9 uczonych amerykańskich, którzy rozporządzali sumą 1 miliona dolarów na ten cel. Obecnie ukazują się pierwsze dwa tomy, streszczające część wyników tych prac, które odnosiły się nie do międzynarodowego prawa publicznego, ale do zakresu ogólnych zasad prawa cywilnego. Z dyskusji wynikało, że impreza ta nie mogła dać praktycznych wyników. Zebraniu przewodniczył w zastępstwie prezesa Towarzystwa prof. Rostowski sekretarz generalny Towarzystwa prof. B. Hełczyński.

POEZJA I MUZYKA:

W ramach znajdującego coraz szersze kręgi zainteresowania, kursu wiedzy o Polsce współczesnej odbyło się kilka wykładów poświęconych zagadnieniom literackim i artystycznym. Prof. J. Bujnowski mówił na temat „Motywów ideowych we współczesnej poezji krajowej“ zatrzymując się na okresie jaki nastąpił po rewolucyjnym wystąpieniu w zakresie poezji, jakim był „Poemat dla dorosłych“ Adama Ważyka. Wykład ten był ilustrowany licznymi utworami poetyckimi takich autorów, jak Janusz Koniusz, Julian Przyboś, Juliusz Żuławski, Bohdan Drozdowski, Tymoteusz Karpowicz, Leszek Elektorowicz, Jerzy Haraśymowicz, Tadeusz Różewicz, Teofil Kowalczyk, Kazimierz Koszutski, Janusz Skoszkiewicz, Marian Jachimowicz, Mieczysław Jastruń, Ernest Bryll, Zbigniew Herbert, Mirosław Ochocki, Mikołaj Bieszczadowski i Andrzej Szmida. W utworach odczytanych lub recytowanych przez p. S. Paprockiego i O. Żeromską przewijały się motywy rozgoryczenia, buntu wobec przeszłości, tragizmu, ironii, religijności, katastrofizmu i sielanowości, indywidualizmu i intelektualizmu. To też w ostatecznym podsumowaniu prelegent doszedł do wniosku, że „poezja krajowa współczesna po r. 1953 wydołała szeregiem indywidualności pisarskich, szeregiem stylów i struktur poetyckich, które wywiodły ją z ciasnego załka socrealizmu i wprowadziła na szerokie gościeńce spraw ogólnoludzkich...“

O muzyce polskiej w jej dwóch etapach od 1895 do 1930 r. a potem do 1960

r. mówił dr Czesław Halski, poprzedzając swoje wywody teoretycznym wstępem o nowych prądach w muzyce, które prowadziły do „wielotorowości tendencji stylistycznych i różnokierunkowości techniki“. W pierwszym okresie muzyka polska nie była w stanie kontynuować linii rozwojowej nakreślonej przez Chopina, a dopiero Szymanowski zdołał dźwignąć ją na wyżyny i wyprowadzić na szeroki gościniec sztuki europejskiej. Następnie prelegent dokonał przeglądu długiego szeregu polskich kompozytorów, zaczynając od A. Szeluto (1884) oraz Piotra Ryty (1884) i doprowadzając go do Krzysztofa Pendereckiego (1932) i Tomasza Sikorskiego (1939). Mówca zastrzegł się przy tym, iż „Zbyt wcześnie na szeregowanie i wartościowanie osiągnięć i dokonań“. Jak zwykle dr Halski ilustrował swe wywody nagraniami.

Poza tym wykładem dr C. Halski miał inny cdczyt z ilustracjami muzycznymi pt. „Muzyka Polska przed Szopenem“, zorganizowany w Domu Technika przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie.

TEATR I FILM:

Teatrowi w Polsce współczesnej poświęcony był wykład wygłoszony przez dr. L. Kielanowskiego, który nawiązał do tragicznej sytuacji w jakiej się on znalazł, w r. 1939, gdy 18 sal teatralnych w Warszawie legło w gruzach, z wyjątkiem Teatru Polskiego, który zajęły władze okupacyjne. Mimo tego jednak zaszczytna tradycja sceny polskiej nie uległa przerwaniu. Przez okres okupacji przetrwała w podziemiu, gdzie „nielegalnym“ życiem teatralnym kierowała Rada Artystyczna w składzie L. Schiller, J. Osterwa i S. Jaracz. Kształciło się nowe pokolenie i krzewił wolny teatr w swej postaci rapsodycznej. Po wojnie dzięki dawnym działaczom teatralnym i nowemu pokoleniu wychowanków Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej z czasów niepodległości zaczęła się odbudowa sceny polskiej o nowym obliczu, przeciwstawiającym się dawnym formom, nacechowanych pewnym patetyzmem czy romantyzmem, i poszukującym nowego wyrazu. Prelegent oparł swe wywody na odpowiednio dobranym materiale faktycznym, bogatym i interesująco ujętym, który złożył się na oryginalnie zinterpretowany obraz omawianego okresu, z jego socrealistycznym załamaniem. Po zakończeniu się okresu walki z romantyzmem i historyczną tragedią dziejową nastąpił nowy okres charakteryzujący się walorami plastyki dekoracyjnej, kameralności gry aktorskiej i duchem sceptycyzmu. Z autorów dramatycznych nowego pokolenia na czołowe miejsce wysunął się Sławomir Mrożek, który zdoby-

wą sobie coraz większą popularność, nawet poza Polską na szerokim świecie.

Obszerny, przejrzysty i bogato udokumentowany obraz sytuacji polskiego filmu dał Maciej Cybulski, który najpierw wyodrębnił okresy rozrachunku z wojną, z filmami W. Jakubowskiej i A. Forda, oraz produkcyjniaków socrealistycznych jak J. Kawalerowicza, jak również prób ucieczki w kierunku estetyki S. Lenartowicza, W. Hasa i T. Kownickiego. Mówca rozwinął dalej panoramę rozkwitu kinematografii w Polsce, datującego się od października 1956 r. Kolejno omówione są postacie i twórczość najwybitniejszych reżyserów poczynając od Andrzeja Wajdy, z „Popiołem i Diamentami“, „Kanałem“, i kontrwersyjnymi „Popiołami“, J. Kawalerowicza z jego „Matką Joanną...“ i „Faraonem“, A. Munka twórcy „Eroiki“, W. J. Hasa z jego „Rękopisem znalezionym w Saragocie“, i A. Forda twórcy „Krzyżaków“, aż po R. Polańskiego, który po swym filmie „Nóż w wodzie“ przeniósł się na zachód, gdzie robi karierę filmową. Cała plejada innych przedstawicieli polskiego filmu wymieniona jest z okazji omawiania warsztatów filmowych i Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Zastanawiając się nad dalszymi perspektywami dla polskiej sztuki kinematograficznej prelegent wskazał na niebezpieczeństwa grożące z dwóch stron: elephantiasis, czyli tego co możnaby nazwać zaangażowania niemal wszystkich zasobów technicznych i artystycznych w gigantycznych filmach, oraz drugiej ze strony cenzury, której wpływy dają się obserwować w postaci odradzania się socrealistycznych produkcyjniaków. Już obecnie daje się odczuwać spadek kursu na film polski na rynku światowym na rzecz filmu czeskiego.

BILANS KURSU:

Jak ze sprawozdania złożonego na zakończenie kursu przez jego organizatora Stanisława J. Paprockiego, wynika, oprócz 5 omówionych tu wykładów poświęconych zagadnieniom ściśle kulturalnym, wygłoszono jeszcze wykłady o historii, geografii i zagadnieniach ludnościowych (4), o zagadnieniach politycznych (4), o zagadnieniach ekonomicznych (5), o sprawach społecznych (1) i nauce i szkolnictwie (1).

W ciągu 4 miesięcznego trwania kursu było 33 godzin wykładów w ciągu 17 dni, dla 152 słuchaczy, w tym 56 zwyczajnych i 96 korespondencyjnych, z W. Brytanii, Francji, Belgii, Holandii, Szwecji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Argentyny i Australii. W tych dwóch ostatnich krajach wysunęto inicjatywę zorganizowania kursów na miejscu na podstawie wydanych skryptów z kursu londyńskiego. Wraz

z wolnymi słuchaczami przeciętna frekwencja na wykładzie wynosiła 40 osób.

Kierownik Kursu p. S. J. Paprocki, jak i prezes Instytutu Badania Zagadnień krajowych dr W. Czerwiński, dziękowali słuchaczom i wszystkim osobom i instytucjom, które pomocą swą przyczynili się do urządzenia kursu. Wykłady odbywały się w domu będącym obecnie siedzibą Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Na zamknięcie kursu p. S. J. Paprocki wygłosił wobec wypełnionej sali wykład pt. „Stosunek PRL do emigracji“.

ŻYCIE LITERACKIE:

Na tle znów nieco ospałego życia literackiego jak „wystrzał na koncercie“ rozbrzmiewa echem takie wydarzenie, jak doroczne nagrody rozdawane przez jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w składzie: B. Obertyńska, gen. Z. Bohusz-Szyszko, J. Bujnowski, J. Garliński i J. Kisielewski. Nagrodę im. H. Naglerowej ufundowaną przez mec. M. Chmielewskiego przyznano Gustawowi Herling-Grudzińskiemu, za całokształt twórczości literackiej. Nagroda Związku Pisarzy za najlepszą książkę wydaną w r. 1965 otrzymała Danuta Mostwin za powieść „Oliwia“. Nagrodę Kłosa A.K. ufundowaną tym razem przez Oddział Kłosa w Manchester przypada gen. T. Bór-Komorowskiemu za książkę pt. „Armia Podziemna“ z uwzględnieniem całokształtu jego prac publicystycznych na temat A.K.

Jednocześnie londyńczykowi-Po'akowi Honoris Causa — przypadła nagroda millennialna im. Mariana Kistera ufundowana przez „Roy Publishers Inc.“ w Nowym Jorku. Otrzymał ją tłumacz „Pana Tadeusza“ A. Mickiewicza Kenneth R. Mackenzie wraz z prof. Witoldem Chwalewikiem za przekłady na polski Szekspirowskiego „Króla Leara“, „Hamleta“ i „Miarki za miarkę“, po 250 dol. dla każdego, a przeznaczoną przez Mackenziego na cele dobroczynne. Ponadto przyznano honorowe odznaczenie prof. sławistyki Un. Michigan w Ann Arbor Dawidowi Welshowi, za przekład na angielski powieści Włodzimierza Odojewskiego „Wyspa Ocalenia“. W jury nagrody za przekład z polskiego wchodził pisarka angielska B. J. Chute, prof. W. Weintraub, i prof. I. Sevchenko, za przekład z angielskiego — pp.: red. P. Mayewski, i prof. KUL I. Sławińska.

Kolejny „Obiad literacki“ „Kontynentów“ poświęcony był dyskusji o występach Teatru Powszechnego w Londynie. Zagajał ją B. Taborski i Krystyna Griffith-Jones. Z zadowoleniem wypada wspomnieć, że wyrażony na tych łamach żal, (nie pretensja), że dyskusje te nie są udostępnione w druku szerszym kołom zainteresowanych, spotkał się z ży-

czliwym przyjęciem. Zapowiedziano, że mają ukazywać się w przyszłości sprawozdania z dyskusji, do których sporządzenia, oczywiście nie potrzeba ani wywiadów, ani nagrań na taśmę. Pamięć i krótkie notatki wystarczą.

Nowym sukcesem literackim na terenie poza polskim stanowi ukazanie się w angielskim wydawnictwie W. H. Allen książki Jerzego Kosińskiego „The Painted Bird” (Malowany Ptak), który spotkał się z życzliwym przyjęciem przez krytykę.

Z wydawnictw okolicznościowych zanotować wypada ukazanie się starannie drukowanej w „Gryfie” monograficznej broszurki o „Ognisku Polskim” napisaną przez Aleksandra Milkera z racji 25-lecia istnienia tego klubu. W szeregu rozdziałów opisane są okoliczności powstania Klubu, którego siedziba podczas wojny mieściła się przez jakiś czas przy 45 Belgrave Square, S.W.1., odwiedziły wybitnych gości, kłopoty z zabezpieczeniem jego dotychczasowej siedziby, reorganizację jakiegokolwiek charakteru imprez kulturalnych i towarzyskich, które się w nim odbywały, prace nad przebudową wnętrza, a zwłaszcza sali teatralnej, restauracji i podziemia, zakończone sprawozdaniem z uroczystości jubileuszowych i listą członków władz „Ogniska”, uwzględniająca nazwiska szczególnie zasłużonych organizatorów życia klubowego, których indywidualnych zasług nie udało się uwydatnić w omówieniach. Wydawnictwo ilustrowane jest zdjęciami fotograficznymi, znaczącymi etapy w życiu „Ogniska” oraz dającymi pojęcie o jego wyglądzie zewnętrznym. Autorowi można pogratulować tej pracy, więcej niż kronikarskiej, choć jeszcze nie historycznej.

MAZURY, MAZURY:

Zespół taneczno-pieśniarski Polskiej YMCA „Mazury” pod kierownictwem I. Różyckiej dał swój doroczny pokaz w sali Instytutu Wspólnoty Narodów, uprzedzając tym barwnym wystąpieniem oficjalne obchody millennialne. Znow przed oczami wypełniającej widownię publiczności przewinęła się wsęga barwnych kostiumów, ochoczych melodii i szparkich tańców narodowych, których całość złożyła się na wrażenie coraz większego zgrania, stańczenia i sprawności sceniczej, choć może tej ostatniej brakowało bardziej wytrawnej i energicznej ręki. Na pewno wzbogacaniem programu i ciągłością pracy zespół ten niewątpliwie wybił się na czoło niezawodowych zespołów młodzieżowych, w każdym razie na gruncie W. Brytanii.

Wierne cechy swojskie posiadały występy takie, jak w „Gaiczku”, tańcach Wielkopolskich, śląskich, osiągając szczyty efektywności w „Zbójnickim” czy „Kujawiaku”. Nie zabrakło „Mazu-

ra”, tańców Huculskich i wesolego „Dyngusa Krakowskiego”. „Kujawiak” dał sposobność do popisu dla czołowej pary A. Ruskowskiej i A. Sągajło, a wśród młodego narybku tanecznego wciąż wyróżniali się Włodek Lesiecki i Basia Oziębło. Zresztą nie sposób tutaj wszystkim oddać sprawiedliwość, ale nie wolno pominąć pięknie rozwijającego się talentu pieśniarskiego Kaliny Włodarczyk. Jedyną przeciągniętą struną był popis „Przekupki” Kaziukowej (p. M. Sieniawska), ożywiony szlachetną intencją nieporadnie okazaną. Bo poza tym

B.D.I.C

struny głosowe i instrumentalne śpiewaków i grajków czy akompaniatorów z p. B. Dulębą i G. Swannem na czele brzmiały bez zarzutu. Harmonizował z tym fakt, że Koło Tańców Narodowych Polskiej YMCA istnieje już od 18 lat, ma w repertuarze przeszło 30 tańców i dorobiło się już 7 kompletów kostiumów do tańców ludowych czy narodowych, występuje na festiwalach polskich i międzynarodowych i z jego grona wyszli instruktorzy, pracujący w Europie, Australii i Ameryce.

J. Ostrowski

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

„Nowe Życie” Heleny Żurkowskiej

LITERATURA oparta na wspomnieniach z czasów okupacji narosła już w sporą bibliotekę. A przecież „temat” ten daleki jest od wyczerpania i — mimo wybredzania krytyki — ciągle budzi żywiołowe zainteresowanie czytelników. Pod warunkiem, oczywiście, że traktowany jest bez żadnych zawyłych „interpretacji”, w których gubi się historyczna i ludzka prawda tamtego okresu. Przykładem literatury, która tę prawdę ujmuje w rzeczywistym jej kształcie jest wydany w Londynie zbiór opowiadań Heleny Żurkowskiej, pod prostym, choć nie pozbawionym pewnego patosu tytułem: „Nowe Życie”.

Najpierw krótki rzut oka na samą książkę. Jest to spory tom, jak wszystkie wydawnictwa ciągle ruchliwej choć tak już zasłużonej Oficyny Poetów i Malarzy, wydrukowany bardzo starannie, ozdobiony rysunkami Ireny Ludwigojowej. Poprzedza książkę przedmowa ojca Pawła, który tak chwalebnie zapisał się w pamięci „warszawskich dzieci”, walczących ra powstańczych barykadach.

Jej treść stanowi dwadzieścia krótszych lub dłuższych opowiadań, które składają się na obraz czasów okupacji nie tylko w stolicy, ale i w ośrodkach prowincjonalnych.

Novum książki Żurkowskiej stanowi środowisko, w którym rozgrywa się walka z hitlerowskim okupantem. Nie znajdziemy w niej tak zwanych dziś — z przekąsem — bohaterów, przybranych w wysokie buty, myśliwską kurtkę i buńczuczną, a srodze tajemniczą minę. Dramatis personae Żurkowskiej, to nie ci, co z granatem w dłoni, ale te, które owe granaty — niekoniecznie w dłoni — dostarczyć miały gdzie trzeba. Aby trwała walka, której i one oddały swe wątłe siły, aby ugruntowała się nadzieja na nowe — wolne — życie.

Oddały się tej walce czasami bez głębszego namysłu, czasami z prostego przypadku, ale gdy sytuacja tego wyma-

gała, one właśnie, nawet te, które nie składały uroczystych przysięg — nie traciły głowy, znajdując wyjście z powikłań, wobec których mężczyźni stawali bezradni.

Mamy w tych opowiadaniach całą galerię warszawskich i prowincjonalnych paniów, tudzież młodych dziewcząt, przybranych w strój odpowiadający klimatowi tamtych czasów. Skryły pod nim swą dawniejszą twarz, a nawet swe prawdziwe imię. W tym nowym przebraniu, które noszą z najnaturalniejszą w świecie miną, rzadko wyglądają na to, czym się naprawdę zajmują. Jak choćby owa Anielka, nie obojętna na umizgi przedstawicieli rasy panów i zdobywająca na tej drodze ważne dokumenty. Obraz wojny, a właściwie drugiego jej frontu: społecznego zaplecza, jaki się wyłania ze stron tej książki daleki jest od tonu patriotycznej czytanki. Nie brakuje w nim momentów strachu, sercowych powikłań i życiowej goryczy. Mimo to, a może właśnie dlatego, jest tak bardzo ludzki. Stosunek autorki do jej bohaterów daleki jest od sentymentalizmu, a nawet aprobaty. Mówi o nich bardzo często z ironią, a zawsze z urzekającym humorem. I może to stanowi najbardziej indywidualny rys tej książki i największy tryumf autorki.

Czasy okupacji w ujęciu Żurkowskiej dalekie są także od tego dosyć stereotypowego wyobrażenia, jakie ludzie, którzy nie uczestniczyli w działaniach Armii Krajowej, powziąć by mogli na podstawie relacji czysto rzeczowych. Nie dlatego, że sprawy wojny są u Żurkowskiej tylko tłem, na którym rozgrywają się losy jej bohaterów. To tło jest przecież tak ciągle obecne i tak dokuczliwe, że stanowi niejako „normalny” element rzeczywistości. Ale dlatego, że autorka ogniskuje swoją uwagę na tych wszystkich powikłaniach owej drugiej linii frontu, która w historycznych relacjach

o przebiegu wydarzeń nie może być po prostu dostatecznie uwzględniona — w imię zachowania proporcji takiego syntetycznego obrazu. To jest właśnie prawo relacji literackiej: patrzeć niejako poprzez fakty i ukazywać ich powiązania ze sprawami czysto ludzkimi. W książce Żurkowskiej nie ma żadnych wojennych sensacji. Ale jest prawda atmosfery, która towarzyszyła zarówno działaniom na miarę historyczną, jak i tym mniejszym — na miarę jednego człowieka.

Nie znaczy to, aby autorka miała lekceważący stosunek do faktów. Tylko, że są to fakty niekoniecznie zgodne z regulaminem walki podziemnej. W tych opowiadaniach niemal z zasady nie nie gra tak, jak powinno. A nawet więcej: „gra“ nie wbrew, a właśnie dzięki pomysłom, nieposłuszeństwu wobec zasad, mylnej ocenie, a nawet oczywistym przeoczeniom, opóźnieniu czy podobnym grzechom wobec kodeksu żołnierskich cnót. Podobno jakiś rygorystyczny oficer AK, po przeczytaniu pierwszego zaraz opowiadania oburzał się, że to „niemożliwe“. Niemożliwe, mianowicie, aby czasowy skład dynamitu urządzać pod tapczanem i w dodatku smacznie na tym ładunku spać.

Wiemy jaką rolę zarówno w sukcesach, jak i w niepowodzeniach pewnych akcji grały ślepy przypadek, przysłowiowy łut szczęścia, czy — z drugiej strony — pech. Takie właśnie sytuacje budzą pasję obserwatorską Żurkowskiej — one dodają jej opowiadaniom życia, powodują niesłychane wprost napięcie, które śpieszy rozładować zawsze gotowy — humor autorki.

Ukazanie tego całego bogactwa stanowi główny walor „Nowego Życia“. Opowiadania Żurkowskiej pisane są tak modną dzisiaj techniką „filmową“. Fabuła rozprowadzona jest na kilku migawkach scen, które — niczym kamienie mozaiki — składają się na obraz, którego kontury rysują się z pewnego oddalenia. W ramach tych poszczególnych scen pióro autorki biegnie warłoko jak wiatr. Ale ta „pointylistyczna“ metoda ma także swe minusy: w wiązaniach poszczególnych scen powstają często szczeliny, które nieraz łamią ciągłość narracji. W rezultacie każde niemal opowiadanie rozbite jest na kilka epizodów, które stanowią sceny niemal autonomiczne, miniatury literackie włożone w większe całości. W tomie jest fragment powstańczego pamiętnika autorki. Tutaj pióro Żurkowskiej skrępowane rygiem drobniawej chronologii wydarzeń — towarzyszy im wierne, snujące opowieść w sposób ciągły i konsekwentny. Ten fragment pamiętnika daje miarę talentu narracyjnego Żurkowskiej i wśród zadyszanego popiechu jej bardziej liedercko ujętych

opowieści stanowi prawdziwe wytchnienie. Na osobną uwagę zasługuje opowiadanie tytułowe, niewątpliwie najlepsze w całym zbiorze: „Nowe Życie“. Pisane jest ono jakby inną ręką. Ma tok spokojny, większą także dojrzałość w spojrzeniu na ludzi, którzy rysują się wyraziście i w sposób zróżnicowany. W tym jednym opowiadaniu autorka odstąpiła od zasady, aby odmalować anonimowych uczestników walki podziemnej, bez których nieważnego na pozór udziału — ta walka byłaby niemożliwa.

„Nowe Życie“ jest książką debiutantki. W dalszej pracy literackiej — a już materiału zawartego w tym zbiorze starczyłoby na kilka tomów — Żurkowska znajdzie na pewno właściwy sobie styl, który nie tracąc bogactwa jej obserwacji, pozwoli autorce na pewno w sposób znacznie pełniejszy zarysować swe postacie, czyniąc z nich nie bohaterów jednego epizodu, ale pełnych, wielowymiarowych ludzi.

Kazimierz Sowiński

CZESŁAW DOBEK

FRONTY INNE

NOWA książka Józefa Garlińskiego*), zawiera trzy opowiadania o walkach Armii Krajowej. Pierwsze to sprawozdanie z łączności radiowej między Warszawą a Londynem, drugie opisuje walki o wyzwolenie Wilna w roku 1944 i tragiczne ich zakończenie, trzecie opowiadanie jest relacją z losów brytyjskiej misji wojskowej rzuconej do Polski w grudniu 1944 r.

Z wyjątkiem pierwszego opowiadania, treścią książki są sprawy dla nas niezwykle bolesne.

Zacznijmy od części ostatniej, od „Operation Freston“.

Dopiero dzisiaj możemy sobie zdać sprawę jak mało rząd brytyjski wiedział o tym, co się dzieje w Polsce w czasie okupacji. Poza frazesami o „natchnieniu narodów“ i uprzejmym traktowaniem Polaków jako zawziętych i odważnych wojowników nie było poważnego zainteresowania się naszymi sprawami. Dość wcześnie Churchill wysłał misję do Jugosławii; wedle doskonałych sprawozdań brygadiera Macleana układał swoją politykę wobec Mićhałowicza i Tity. O Polsce decydował dyktat Stalina. Nikt w Ameryce ani w Wielkiej Brytanii nie usiłował sprawdzić jak tam jest naprawdę.

Po wielu naleganiach ze strony polskiej misja wojskowa została zrzucona 28 grudnia 1944 roku. W kilka miesięcy po upadku Powstania, w kilka tygodni po rozkazie Dowódcy AK generała Guklickiego o rozwiązaniu wielkich jednostek Armii Krajowej, w chwili, gdy Rosjanie zajmowali więcej niż połowę Polski i szykowali się do ostatecznej ofensywy na Odrę.

*) Józef Garliński, „Między Londynem a Warszawą“, Gryf Publication Ltd., Londyn, 1966. (Tęgoż autora „Dramat i opatrność“, Gryf, 1961; „Matki i Żony“, Gryf 1961 i „Ziemia“ — opowieść, Gryf 1964).

O wiele zapóźno. Członkowie misji po zrzuconiu i skontaktowaniu się z dowódcą AK i poznawszy trochę teren, przekonali się obojętnie, że Polska Podziemna istnieje, walczy, zadaje Niemcom bolesne ciosy, ale że są to ostatnie chwile tej walki.

Losy brytyjskiej misji wojskowej z pułkownikiem Hudsonem na czele są lekturą pasjonującą, choć jakże bolesnie nas dotykającą. W członkach misji po krótkiej eskapadzie do Polski i po stwierdzeniu własnej niemocy pozostał niewątpliwie uraz, którego wyrazem je to uporczywe milczenie o tym, co zaszło w roku 1944 i na początku 1945. Jeden z nich tylko Peter Kemp w swej książce „No Colours or Crest“ poświęca rozdział przygodom w Polsce.

Ciekawa relacja Garlińskiego oparta jest o wywiady z większością uczestników włącznie z pułkownikiem Hudsonem i z Polakami, którzy opiekowali się misją w Polsce.

Dramatyczne, sensacyjne zakończenie misji pułkownika Hudsona i nauka jaką powinni być Anglicy wyciągnąć z tego zdarzenia jest niejako zadośćuczynieniem dla nas, czytających o tamtych czasach z goryczą zawiedzionych aliantów.

Dla samej „Operation Freston“ należy się Garlińskiemu nasza wdzięczność za napisanie książki.

Drugim dramatycznym opowiadaniem jest rozdział o walkach o Wilno. Był to czerwiec roku 1944, wielkie jednostki Armii Krajowej świetnie zorganizowane i doskonale ukrywające się w lasach nowogródzkich i wleńskich czekały na odpowiednią chwilę, aby wystąpić z akcją „Burza“, która miała polegać na „atakowaniu Niemców w chwili ich załamywania się“.

Zbliżanie się armii sowieckiej i przygotowania Niemców do odwrotu wydawały się odpowiednim momentem do wystąpienia oddziałów od lat przygotowujących się do tego boju. Dowództwo

w Warszawie dało dowódcom w terenie wolną rękę i wybór momentu uderzenia. Dowódca zgrupowania „Wilno“ płk. „Wilk“ — Krzyżanowski zdecydował i Armia Krajowa wspólnie z jednostkami armii sowieckiej zdobyła Wilno, w którym, jak notuje jeden z żołnierzy, „Polskość miasta biła w oczy. Pełno naszych żołnierzy. Służba opl. polska. Szpitale przepełnione, wszystkie w rękach polkich.“

Z początku stosunki między Armią Krajową a Rosjanami układały się dobrze. Uprzejmość sowieckich dowódców mogła wydawać się podejrzana, ale nie na tyle, aby przewidzieć zdradę.

Wreszcie prawda wyszła na wierzch na odprawie dowódców AK. Bolszewicy uderzyli pięścią w stół i krzyknęli: „Tutaj nasz kraj, tutaj nasza ziemia“. Dowódców aresztowano, oddziały musiały się rozproszyć. Wielu niedawnych bohaterów sławionych przez sowieckich „kolegów“ skończyło w łagrach i więzieniach.

Józef Garliński opisuje ten tragiczny epizod, unikając drastycznych akcentów, starając się zachować zimną krew, ale przecież nie można tego czytać bez wzburzenia.

Nie porusza też autor sprawy, czy wywołanie „Burzy“ i ujawnienie się Armii Krajowej było właściwym. Owszem, w przypisku na stronie 55 podaje w całości rozkaz sztabu sowieckiego o tępieniu „polskich legionistów-partyzantów“. Ten rozkaz znany był Dowódcy Armii Krajowej i przesłany do Londynu w marcu 1944 roku, a więc przed wystąpieniem AK pod Wilnem.

Garliński jako autor „Pod Wilnem“ wstrzymuje się od komentowania tego faktu. Słusznie; dziś ono na nic, a pamięć bohaterów ginących w przeświadczeniu, że walczą o jutrzejszą wolność, nie powinna być zaciemniana błędami polityki od nich niezależnej.

PIERWSZY rozdział książki Garlińskiego jest pogodniejszy. Oto mamy historię zmagania się specjalistów łącznościowców i amatorów, szkolonych przez potrzebę, o nawiązanie i utrzymanie kontaktu radiowego między walczącą Warszawą a siedzibą Wodza Naczelnego, Londynem. Od tego rozdziału pochodzi tytuł książki.

Starania o zbudowanie i utrzymanie nadawczej stacji radiowej w okupowanej Polsce zaczęły się w momencie, gdy skończyły się działania wojenne we wrześniu. Budowano stacje, ukrywano je, tracone je w tragicznych okolicznościach. Wykradano materiał radiowy, konspirowano siedziby, uciekano przed namiarem radiowym Niemców i wciąż uparcie starano się utrzymać stałą łączność z Londynem.

Działo się to kosztem olbrzymich wysiłków i wielu strat w ludziach. Obok dzielności i ofiarności podziwu godną była zdolność kombinowania, stwarzania aparatów z niczego, przy bardzo niewielkiej pomocy ze zrzutów.

Odpowiednikiem wysiłków Armii Krajowej były starania w Paryżu, potem w Londynie, o stworzenie stacji nadawczo-odbiorczej odpowiedniej siły. Zdawałoby się, że tu nie powinny te sprawy natrafiać na trudności. Suwerenne Siły Zbrojne działały na ziemiach sojuszników i powinny były mieć dostęp do wspaniałych zdobyczy technicznych Zachodu.

Jednak, albo te zdobycze były przesadzone, albo ktoś gdzieś nie dopuszczał je do rąk polskich żołnierzy, bowiem budowa radiostacji w Paryżu była ukończona znacznie później niż budowa tajnej stacji w Warszawie.

Tak samo po przejściu do Anglii ci sami ludzie spece i „kombinatorzy“ łamali sobie głowy starając się wyposażać wojsko w stację mogącą korespondować z aparatami Akowców.

Historia tej łączności radiowej to przede wszystkim historia ludzi. Garliński pokazuje nam tych bohaterów: Konrada Bogackiego, Antoniego Brękwiewicza, Ryszarda Waltera, Kasię, Grabowskiego i wielu innych.

Zasługą Garlińskiego jest ściśle trzymanie się faktów. Wszystko, co w swej książce opisuje, posiada mocną podbudowę w dokumentach i nie jest fikcją. Fakty i tylko fakty mówią więcej niż jakakolwiek zmyślona epopeja.

Jednak Garliński, którego poznaliśmy z jego poprzednich książek jako pisarza umiającego zbliżyć czytelnikowi swych bohaterów i opisywać ludzi po ludzku, przedstawia obecnie całą galerię żołnierzy, działaczy, bojowników. Opowiada o każdym z nich, nie pomija historii ich życia, nie szczędzi informacji o nich. Mimowoli fakty schodzą na drugi plan i czytelnik zaczyna przeżywać nie historię gorzką i pouczającą, ale losy ludzi tworzących ją na małych, często niedostrzeganych dotychczas odcinkach.

Zbliżenie ku nam owych dzielnych Akowców, żołnierzy wszystkich frontów, których łączyły, niby fale elektromagnetyczne tajnych radiostacji, ta sama ofiarność i patriotyzm, jest główną zaślugą autora.

Książka pisana jest językiem popularnym, nie sili się, ani na dokładność i zawiły styl sprawozdań dokumentacyjnych, ani nie wznosi się na wyżyny epopei. Są to opowiadania bezpretensjonalne na pozór, proste, szczerze i zrozumiałe dla każdego. Nie tylko nasze pokolenie, nie tylko młodzież w Polsce kształtowana wedle skrzywionych linii

partii komunistycznej, ale każdy kto kiedykolwiek weźmie do rąk tę książkę zrozumie z jakim zapałem walczyli żołnierze polscy w ostatniej wojnie nie tylko w otwartej bitwie o Monte Cassino, czy Falaise, nie tylko w tragicznej zawierusze Warszawskiego Powstania, ale też na tych innych frontach. Na frontach, gdzie wrogiem nie był jedynie niemiecki napastnik, ale podstęp i zdrada sojuszników naszych, opieszałość polityczna naszych przyjaciół i wreszcie biurokracja i niedołęstwo zatrzymujące każdą szrubkę, której brak było specjalistom.

Książka Józefa Garlińskiego „Między Londynem i Warszawą“ jest cennym nabytkiem dla nas wszystkich. Czyta się tę książkę bardzo łatwo. I druk i układ są przejrzyste, format jak zawsze u Garlińskiego poręczny, można wziąć ją ze sobą na nadchodzące wakacje. Okładka Tadeusza Terleckiego ciekawa.

Medale dla autora, wydawcy, drukarza, artysty i introligatora, o którym nigdy nikt nie chce mówić, a przecież Józef Szarkowski w swej polskiej artystycznej introligatorni w Londynie ubiera tyle naszych książek w najpiękniejszą szatę godową.

Czesław Dobek

PIOTR GUZY

ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.

Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami, ukaże się już w nie-
długim czasie.

W przedpłacie można ją nabyć po
niskiej cenie, bo tylko za 14 szyl-
lingów lub za 2 dolary.

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

HONORÉ de Balzac lubił pochlebstwa. Chętnie też odpisywał na listy, w których piękne damy unosiły się nad jego zrozumieniem duszy kobiecej. Odpowiadał tym skwapliwiej, jeśli nazwisko piszącej zdołało arystokratyczny tytuł. Bo wielki pisarz był też wielkim snobem. Marzeniem jego było błyszczeć w salonach paryskich. Ażebym sobie łatwiej utorować drogę, dodał do swego mieszczaństwa nazwiska pięknie brzmiące „de“ oraz barwną historię o arystokratycznych przodkach. I tak się to przyjęło. Wszystkie jednak listy, jakie dotąd otrzymywał, podawały zawsze adres pod który mógł odpisywać. Ale jak tu odpisać na list, wysłany z Ukrainy 28 lutego 1832 r., który kończył się słowami: „...Jestem i zawsze pozostanę dla Pana Nieznajomą.“

Jednak Balzac był optymistą i znał kobiety. Pocóżby owa cudzoziemka z dalekich stron pisała do niego, gdyby jej nie zależało na odpowiedzi? Więc czekał cierpliwie... „Nieznajomej“ nie spieszyło się zbyt. Następnym list przyszedł dopiero po siedmiu miesiącach i zaraz potem trzeci... wciąż jeszcze anonimowo.

Przyszła wiosna 1833 r. a wraz z nią list z Ukrainy, podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem. Jednak listy Balzaca miały być adresowane do domowej guwernantki, panny Henrietty Borel.

Kim była owa „Nieznajoma“, która potrafiła tak przykuć do siebie uwielbianego przez kobiety pisarza, że już do końca życia pozostał niewolnikiem jej kaprysów?

Ewa Rzewuska urodziła się 1804 r. w majątku Pohrybyszcze. Kłopoty materialne oraz wynikająca stąd troska o los licznych potomstwa, skłoniły rodziców pięknej panny do wydania jej za znacznie starszego lecz bardzo bogatego Wiesława Hańskiego, który zaraz po ślubie w 1829 r. zabrał młodą żonę do swego pałacu w Wierzchowni.

Małżeństwo Ewy nie dało jej szczęścia. Mąż trochę dziwak, a w dodatku chorowity, puste stopy Ukrainy i brak towarzystwa, zamknęły żywą i spragnioną wrażeń kobietę w kręgu jej romantycznych marzeń. Całe ciepło jej spragnionego miłości serca skupiło się na jedynej córce Annie, która sama tylko uchowała się po trzech w niemowlęctwie zmarłych synach. Powieści Balzaca, przynoszące echa innych światów, obudziły w du-

szy Ewy ukryte pragnienia i tęsknoty. I tak rozpoczęła się ta dziwna wymiana listów.

Z końcem lata 1833 r. państwo Hańscy wybrali się w podróż po Europie. Pierwszym długim etapem miała być miejscowość Neuchatel, gdzie Ewa wyznaczyła panu de Balzac spotkanie na znanej z piękności Promenadzie.

Wrześniowe słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy siedząca obok męża pani Hańska, zauważyła, że jeden z idących po drugiej stronie Promenady przechodniów, niski i tęgi brunet, z niespokojnym wzruszeniem przyglądał się badawczo wszystkim młodym kobietom, jakby starał się odszukać kogoś w tłumie. To musiał być chyba ów sławny autor, z którym miała się tu spotkać. Rozczarowana jego mało romantycznym wyglądem, ukryła szybko tom jego najnowszej powieści, który miał być znakiem rozpoznawczym. Jednak ciekawość zwyciężyła i po krótkiej chwili książka wyszła z ukrycia. Balzac w błyskawicznej decyzji usiadł na wolnym miejscu i rozpoczynając pod jakimś pretekstem rozmowę, zdobył swoją błyskotliwością taką sympatię pana Hańskiego, że ten nie mógł się obejść bez jego towarzystwa. Wymiana czułych słów z piękną Ewą stała się niemożliwą. I dopiero podczas następnego spotkania w Genewie znalazło się więcej okazji do samotnych rozmów... I wówczas oboje przyrzekli sobie solennie, że jeśli Ewa została wdową — co przy słabym zdrowiu Hańskiego mogło nastąpić w niedalekiej przyszłości — ślubna obrączka połączy ich przed ołtarzem.

Balzac wziął całą sprawę bardzo poważnie i odtąd uważał się za przyszłego męża swej „Gwiazdy Polarnej“. Dla Ewy natomiast był to tylko romantyczny gest, tak zgodny ze stylem owej epoki. Serce jej nie brało w nim żadnego udziału.

Po kilku jeszcze spotkaniach w stolicach europejskich, państwo Hańscy odjechali do Wierzchowni, a genialny wyrobnik literatury francuskiej, wrócił do swej gorączkowej twórczości, niezliczonych ilości czarnych kaw i wciąż narastających długów.

Lata upływały. Listy z Ukrainy przychodziły coraz rzadziej, aż w końcu ustały zupełnie. — Balzac doszedł do przekonania, że jego marzenia o spokojnym życiu przy boku pięknej

EWA HAŃSKA W ŻYCIU BALZACA

Hilda Jankowska

i — bogatej żony były tylko bańką mydlaną jego optymizmu.

List z czarną obwódką obudził nowe nadzieje... Wiesław Hański zakończył życie 10 listopada 1841 r... Ewa była wolna. Mogła zostać jego żoną. Teraz trzeba było tylko przypomnieć jej przyrzeczenie i rozpalić w sercu płomień dawnego uczucia... Był przecież mistrzem pióra...

Zacząła się znowu wymiana listów. Płomienne, to znów błagalne słowa jednego z największych pisarzy epoki musiały jednak poruszyć jakąś strunę w egoistycznym sercu Ewy, gdyż w czerwcu 1843 r. pozwoliła mu narzeczcie przyjechać do Petersburga, gdzie jej sprawa spadkowa zbliżała się do pomyślnego zakończenia.

Uszczęśliwiony Balzac, przerywając pisanie dalszego cyklu „Komedii Ludzkiej“, pożyczając od zawsze pomocnego dra Nacquard'a potrzebne pieniądze i pełen radosnego podniecenia wyjeżdża na daleką północ, przekonany, że wróci z żoną.

Przeszedł lipiec i sierpień, a cierpliwy konkurent wciąż czekał na odpowiedź. A we wrześniu Ewa wyprawiła go z powrotem do Paryża — bez obrączki. Bo choć pochlebiali pięknej pani, że miała u swych stóp sławnego pisarza, jednak małżeństwo z cudzoziemcem pociągało za sobą stratę majątku, a to byłoby zbyt wielkie poświęcenie.

Tymczasem lata upływały. Mała Anna wyrosła na uroczą pannę i zo-



stała żoną bliskiego sąsiada Wierchowni, Jerzego Mniszcha. Ślub młodej pary odbył się 1845 r. w Dreźnie, dokąd kaprys Ewy sprowadził również Balzaca. I znów porywający temperament i osobisty urok tego niezwykłego człowieka, zdobyły serca młodych. Rozpoczęło się wspólne zwiedzanie Włoch... we czwórkę. A pani Hańska wciąż znajdowała jakąś wymówkę.

W 1847 Balzac przyjechał po raz pierwszy do Wierchowni. Wychowany w mieszczańskiej miernocie, nie mógł ukryć swego entuzjazmu na widok stylowych mebli, nadmiaru służby i wyszukanego bogactwa całego otoczenia. Jego bujna fantazja widziała już podobnie urządzone pałacyk w Paryżu.

Następny przyjazd wyglądał zupełnie inaczej. Balzac był już wówczas poważnie chory. Wezwany z Kijowa lekarz oświadczył Ewie, że sławny jej przyjaciel nie przeżyje roku. Litość, czy też spóźnione wyrzuty sumienia skłoniły wciąż jeszcze piękną kapryśnicę do poślubienia długoletniego niewolnika. Związek ich został pobłogosławiony 14 marca 1850 r. w berdyczowskim kościele św. Barbary.

Balzac cieszył się jak dziecko. W radosnym podnieceniu zapomniał o

nim wysiłkiem i pragnął umrzeć w kraju swego urodzenia. Naglił tak bardzo, że mimo wiosennych roztopów wyjechali w połowie kwietnia, i po długiej i niezmiernie uciążliwej podróży znaleźli się wreszcie w Paryżu.

Lecz zawistny los, który kazał niešťczesnemu geniuszowi płacić cierpieniem za każdą chwilę szczęścia, przygotował już dla niego niespodziankę.

Kiedy późną nocą zmęczeni podróżni zajechali przed dom na rue Fortunée, wszystkie okna były wprawdzie oświetlone, ale mimo uporczywego stukania drzwi pozostały zamknięte. Za otworzonym przez sprowadzonego ślusarza wejściem nieradosne czekało ich przywitanie. W środku poszarpanych kwiatów i potłuczonej porcelany, siedział na wpół rozebrany stary służący Balzaca, Franciszek i bełkotał jakieś słowa bez związku. Kula, która ugrzęzła mu w głowie, w czasie wojen napoleońskich, wybrała sobie właśnie ten moment, żeby się dostać do mózgu...

Pożycie związanej po dwudziestu latach pary nie było szczęśliwe. Rozbieżność charakterów oraz odmienne tło rodzinne nie dawały podstaw do małżeńskiej harmonii.

Skoro tylko lato rozkwitło w całej pełni, wezwani do coraz ciężiej oddychającego Balzaca lekarze, wydali ostateczny wyrok: życie wielkiego pisarza zbliżało się do końca.

Kiedy 18 sierpnia Wiktor Hugo przyszedł go odwiedzić, w całym domu panowała śmiertelna cisza, przerywana tylko rżeniem konającego. Przy wysuniętym na środek sypialni łóżku siedziała stara pani Balzac. Prócz niej nie było nikogo. Ewa zamknęła się w swoim pokoju i wyszła do męża dopiero kiedy zakończył życie, co nastąpiło już w kilka godzin później.

Wszyscy najwybitniejsi biografowie Balzaca potępili jego żonę za brak serca i lekceważenie jego uczucia. Dopiero André Maurois w swej niedawno wydanej książce o życiu wielkiego pisarza, znajduje słowa pobożania dla jej licznych błędów i przewinień.

Ewa wyrównała wprawdzie wszystkie długie swego sławnego męża — a były one dość znaczne — i wypłacała jego matce do końca życia stałą pensję, a nawet w domu przy rue Fortunée urządziła muzeum pamiątek

swojej chorobie i latach czekania... Chciał wracać jaknajrychlej do Paryża, żeby wprowadzić żonę do kupionego dla niej pałacyku. A może też czuł, że serce jego bije już tylko ostatko po nim. A jednak jej obecność przy łożu umierającego zaważyłaby chyba więcej na szali ostatecznego rozrachunku niż setki tysięcy franków, wydane dla utrwalenia jego — a zarazem i swojej własnej — pamięci.

Ewa Balzac umarła w 1882 r.

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

**MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.**

Tel. Moss Side 4683

**BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street**

Tel. MID 1526

M E L O D R A M A T

— Jedz — powiedziała Jenny — spóźnisz się.

Smith uderzył łyżką w skorupkę jajka. Spojrzał na żonę. Odgarniała rudy lok z nad czoła, patrzyła jak je, wyczekiwała.

— A ty, czemu nie jesz? — spytał uprzejmie i sięgnął po gazetę.

— John — powiedziała.

Znów spojrzał na nią z nad gazety, uśmiechnął się, wyglądała ładnie w nakrochmalonym szlafroku, była do kogoś podobna dzisiaj, podobniejsza niż zwykle, nie pamiętał do kogo. Gdyby tylko nie była taka nudna, taka głupia.

Jenny odsunęła pusty talerz, podszedła do okna.

— Ten agent ubezpieczeniowy znowu był. Chce nas ubezpieczyć na życie, to znaczy ciebie. Składka powiedział, byłaby niewielka. Kilka szylingów tygodniowo.

— Może się ubezpieczę — przyglądał się zarysowi jej mocnych ramion na tle nylonowej firanki. Jajko, jak zwykle, było przegotowane.

Po drugiej stronie ulicy Miss May wisiła na ogrodowej furtce. Zmrużył oczy żeby ją lepiej zobaczyć. Jak zwykle, kiedy Miss May wylała się z rana ze swego domu dzień wydawał się lepszy, jakby jaśniał.

— Miss May czeka na agenta — zauważyła Jenny — on naszą ulicę obchodzi w poniedziałki. Powiedział, że zajdzie dzisiaj do nas, żeby dowiedzieć się czy chcesz —

— Czego chcesz? — spytał. Odsunął przegotowane jajko, podszedł do okna, dotknął ramieniem ramienia żony. Przytuliła się od razu do niego jak kot, którego gdy dotknąć niechęć zaczyna się zaraz ocierać o nogi.

— Ubezpieczenia — powiedziała Jenny.

Teraz widział dokładnie Miss May. Stała oparta o sztachety furtki, duże piersi zwisały rozlewnie, uwięzione wysoko zapiętą bluzką. Była cienka w pasie. Miss May dotknęła ręką czoła, uniosła w górę, zmęczony, z pewnością spocony pod wełną bluzki biust. Jenny przytuliła twarz do jego kurtki. „John, powtórzyła — John“...

Patrzył na Miss May. Leciutki dreszcz pragnienia, który nawiedzał go zawsze gdy Miss May wychodziła z domu aby się oprzeć na furt-

ce w oczekiwaniu na wydarzenia, które nie mogły się wydarzyć — przebiegł mu wzdłuż ud. Wyczarowana z dzieciennych wspomnień fotografia nieznannej ciotki, dorodna postać w rozciętej sukni, w kapeluszu z piórkami, w bucikach zapinanych na dziesięć guzików — pamiętał, że dziesięć, liczył tyle razy — skłoniła ku niemu z nad furtki Miss May głowę szumiącą kogucim panache.

— Kochasz mnie? — spytała Jenny i oczy jej, zawsze blade pod rudymi rzęsami ściemniały od nagle rozszerzonych źrenic.

— Naturalnie — powiedział. — Na co ona czeka tak zawsze z rana?

Jenny odwróciła się od okna. Ja także czekam. Na ciebie. Nie tylko z rana.

— Miss May nie jest zameżna — odsunął się od Jenny i poprawił krawat. — No, czas na mnie. Raz jeszcze zerknął ukradkiem na drugą stronę ulicy. „Stara, po prostu stara“, pomyślał, „więc dlaczego?“

Z domu graniczącego z ogrodem Miss May wyszedł agent. Miss May oderwała się od furtki, przebiegła ścieżkę. Kotysała teraz zasobnymi biodrami pod cienką talią. Pod dziewczęcym wcięciem pasa jej biodra bez gorsetu, kolebały się jak dwa konary.

Schwycił gazetę ze stołu. — Do wieczora Jenny.

— Do wieczora.

Została przy oknie. Patrzyła jak zamykał za sobą ogrodową bramkę, jak poprawiał włosy na wietrze. Pomachał kapeluszem w stronę okna gdzie powinna była stać, gdzie stała. Jak co rano.

Ma niebieskie oczy, ma brązowe znamię pod lewym ramieniem. Kocham go. Ma pracę, ja nie pracuję. Mamy domek, życie przed nami. Mamy ogródek. Trzeba kupić róż od Woolwortha. Za miesiąc są jego urodziny.

Ma niebieskie oczy, śpi mocno. Ja nie śpię. Jego oczy zauważyłam pierwsze — wtedy w kościelnej sali na zabawie. Kocham go, zaraz zwariuję. Boję się. Trzeba odkurzyć pokoje na gorze. Bieliznę też trzeba

zmienić, bo dzisiaj poniedziałek. Kocham go. Dlaczego śpi obok mnie, nie ze mną. Dlaczego od miesiąca —

Z za rogu bocznej ulicy wyjechał wózek. W wózku siedziało dziecko. „Jeżeli tak rzadko żyjecie ze sobą, trudno o zapłodnienie. Widocznie żyjecie ze sobą w pani bezpłodne dni“. Ściany kliniki były białe, fartuch lekarza także. Ściany kliniki były puste, twarz lekarza też była pusta, bez żadnej odpowiedzi na to jej uparte — dlaczego?

Sally powiedziała wczoraj — wiesz, mam kochanka.

Wózek z dzieckiem przejechał. Matka o rozdętych nogach pchała go dalej z wysiłkiem w górę ulicy.

— Mam ładne nogi, Sally ma kochanka. Kocham go, na pewno zaraz zwariuję.

Dobiegł ją śmiech agenta z przed drzwi Miss May. Stali oboje na progu. Stara mizdrzyła się, zupełnie jak osiemnastolatka. Ile mogła mieć lat naprawdę? Niedawno w pralni mówiła, że nie ma już uderzeń do głowy, że przeszły.

— Do przyszłego poniedziałku — zawołał agent. Miss May zamknęła drzwi. Agent szedł szybko. Zapóźnił się dziś znowu przez te wszystkie gadania przed drzwiami. Najgorsze to te podmiejskie ubezpieczenia za tygodniowe składki. Nie było rady, trzeba było zaczynać na ostatnim szczeblu. Zawsze trzeba od czegoś zaczynać. Ale on im jeszcze pokaże, tym wszystkim z własnymi gabinetami. Kiedyś on też będzie miał własny gabinet, cały oszklony. No, pokaże im wtedy co można stworzyć z ubezpieczeń zbieranych co tydzień jak jałmużna. Przycisnął do boku napęczniałą teczkę. Spodziewał się, że stara da mu herbaty, ale nie dała.

Przebiegł przez jezdnię, zawrócił. Byłby zapomnieli o tej ładnej młodej w domu z zieloną furtką. Małżeństwo. Małżeństwa były najlepsze, męża znał z widzenia, mijali się nieraz przy przystanku.

— Dzieńdobry — zawołał w stronę okna. Zobaczył niebieski szlafrok Jenny w uchyleniu firanki. Dziwna dziewczyna, miała niespokojne oczy, ale chyba była zdrowa. Najle-

ANGIELSKIEGO PRZEDMIĘCIA

piej ubezpieczać oboje — można wtedy gadać godzinami o wspólnej spokojnej starości. Lubią to kiedy są jeszcze młodzi.

Jenny otworzyła okno. — Zgodził się — zawołała. — Chcę zapłacić pierwszą składkę. Może on umrze jutro, albo pojutrze? Niech pan powie, czy jakby umarł, jak tylko jedna składka zapłacona to czy —

Patrzyła z za uchylonej firanki nie na niego, a przez niego na drugą stronę ulicy. Cofnął się.

— Polisa — powiedział. — Nie mogę wziąć żadnej składki — teraz. Tego tak się nie robi. Przyjdę kiedyś wieczorem, jak mąż będzie w domu — dobrze?

Nie odpowiedziała. Cofając się na deptał na krzak róży. „Przepraszam“ zawołał i upuścił teczkę. „Przepraszam, do widzenia“.

Sally miała kochanka. Nie chciała kochanka. Miał niebieskie oczy pod ciemnymi rzęsami, takie śliczne, takie śliczne. Dziecko miałoby jego oczy, ale czy dziecko było naprawdę ważne? Może i było. Sally nie miała dziecka, dlatego miała kochanka. Nie, nie dlatego, mąż Sally spał z nią, Sally nie chciała dziecka. Czy dziecko wystarczyłoby zamiast wspólnego spania? Zamiast tego uścisku, pod którym umiera się i ożywa jednocześnie?

Trzeba zmienić pościel na górze.

Jeżeli tak dużo się płaci za hipotekę, nie można wyjeżdżać na wakacje, ani mieć nowych sukienek. Matka Johna nie pracowała nigdy. John chciał, żeby była podobna do matki. Nie знаła matki Johna, nikt jej więc już nie mógł o nim powiedzieć.

Po ślubie nad morzem spali co nocy razem w tym właśnie uścisku, od którego niemal, że się umiera. Może morskie powietrze ma coś takiego w sobie? Może to sól, którą się wdycha? Po południu, kiedy schodzili z plaży miał słone usta. Po południu też spali razem. Śmiała się wtedy i wołała: nie, John, nie znowu — czekając.

Niemłoda kobieta w hotelu powiedziała jej wówczas: „Ma pani bardzo pięknego męża, proszę uważać“.

ale ona śmiała się także i z tych rad. Był miły dla tej kobiety, mówił, że przypominała mu kogoś kogo nie znał, kto nosił kapelusz z piórami. Mówił trochę od rzeczy, śmiali się wszyscy troje i było dobrze. Na żadną młodszą ani spojrzął na plaży. Teraz też nie. Nie ma żadnej dziewczyny, na pewno.

Więc jak się spłaca hipotekę, nie starczą na nic innego. Niebieski szlafrok uszyła sama. Dobra sukienka nie kosztuje znowu aż tak wiele. Gdyby miała nową sukienkę, taką pod kolor włosów —

Na nic. Wszystko na nic. Trzeba zmienić pościel. Potem najwyższej można się zabić. Codziennie to samo — czekanie na wieczór, na powrót, na noc. Zwlekanie się z rana z głową jak olów, z oczami piekącymi od ukrywanego w poduszce płaczu. Po co ukrywać płacz? I tak nie usłyszy. Chrapie. Czasami jęczy przez sen. Ślepy. Głuchy. Nie widzi niczego, nie słyszy. Mają domek, własny domek, zadbany. Domek-wróżd, domek-ośmiornica, domek z pnącymi różami.

Siostra Johna powiedziała: „on za wiele pracuje. Na co wam tyle pokoi? Wynajmij“.

Rzeczywiście. Radzić każdemu łątwo. Sama miała przed tym takie pomysły, ale na nie się nie zdały, nie z Johnem. Miała. Co miała? Rude włosy też miała i ładne nogi. A Sally znalazła kochanka. Czy dziecko zastąpiłoby — to wszystko?

Gruba Sally szarpała za bramkę ogrodową. — Hi Jenny — krzychała podskakując na ulicy — coś się tu zacięło w zamku. Hi, Jenny — jeszcze nie ubrana?

Sally szła na sprawunki. Ciągnęła za sobą po ziemi starą torbę na zakupy, miała rozmazaną w kątach ust szminkę, miała kochanka.

Usiadły w kuchni nad wystygłą herbatą. „Zaparzę świeżej“, powiedziała Jenny, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Co tobie? — zapytała Sally i założyła nogę na nogę, wysoko aż po podwiązki. Były w szkocką kratkę, najmodniejsze.

— Zabiję się — powiedziała Jen-

ny. — Przez chwilę chciałam jego zabić, wiesz? Chciałam. Sally poprawiła się na krześle. „Siostry w klasztorze powiedziałyby, że to śmiertelny grzech“ — roześmiała się.

W klasztornej szkole kochały się z Sally jak siostry, teraz chyba też, tak samo, ale wtedy mówiła jej jeszcze wszystko. Czas strasznie szybko biegnie jak raz się wyskoczy z dzieciństwa. Ile to lat już temu jak szły codziennie do szkoły trzymając się za ręce?

— John? — spytała Sally i zaraz oczy jej zaszyły łzami. No, czy nie była dobra. Tak samo dobra jak wtedy w szkole? Ale jak można było mieć kochanka z takimi nogami?

— Masz ładne pantofle — powiedziała Jenny. — Nowe?

— Mówisz straszne rzeczy, jakbyś mówiła dzieńdobry. Dlaczego chciałaś zabić Johna?

— Ten domek — powiedziała Sally i zamilkła. Wiedziała już, że nic ze zwierzeń. To było za trudne.

— Powiedz — prosiła Sally.

— Tak. Chciałam dzisiaj rano. Jajko znów było za twarde, nie nie powiedział. A teraz chcę tylko siebie. Ty nie wiesz jak to jest, nie możesz wiedzieć.

Sally przechyliła się poprzez stół i ciepłą dłonią pogładziła jej włosy.

— Może wiem, może nie wiem. Różne rzeczy w nas siedzą. A ty — powinnaś mieć kochanka. To wcale nie tak trudno — wiesz — wracać potem. Nie. To jakby się było w kinie, takie nieprawdziwe. Naturalnie — dodała — jeżeli się kocha męża. Mówię ci, po prostu nieprawdziwe. Albo — popracuj, na pół dnia chociaż.

— John nie pozwala — powiedziała Jenny.

— Co ci tam. Spróbuj. Mogłabyś się ładnie ubrać. Spróbuj na pół dnia, lokalnie.

Miss May zastukała do kuchennych drzwi. „Obleciałam domek naokoło, nie słyszałyście panie dzwonek? Zabrakło mi soli“.

Miss May stała w progu rozłożysta, dorodna zapóźnioną pięknnością kobiety, która dopiero w przekwitłym ciele odkryła ciepło i słodycz nieprzeżytych możliwości. Jenny spojrzała na nią spod potarganej grzywki. Ciemna niechęć, strach przed niezrozumiałą przemocą Miss May rozlał się w niej od gardła po drżące kolana. Ukradkiem, pod sto-

łem pogładziła się po gołej łydce. Może nie wszystko jest jeszcze stracone?

Miss May wysunęła przed siebie ogromną stopę. Jenny patrzyła teraz na dwie pary nóg rozstawionych szeroko na kraciastym linoleum kuchni. Sally z takimi nogami, a miała... Miss May była poza obiegami. Te dwie pary nóg, jedne stare, a drugie grube, jednak była pociecha. Kochanek? John miał niebieskie oczy, ma pani pięknego męża, mówiła tamta w hotelu, John trzymał dla niej kłębek wełny i mówił: pani jest taka miła, taka miła.

— Był u was agent ubezpieczeniowy, prawda? Wspomniałam Johnowi, żeby się ubezpieczył. Nie poczujecie nawet tej tygodniowej składki, a to już zawsze coś na przyszość. Jak będą dzieci.

— Nie — powiedziała Jenny.

— Co nie? spytała Miss May. Sally patrzyła w sufit.

— Co nie? — powtórzyła Miss May. — A może John zazdrosny, bo agent chłop na schwał — co?

— Nie — znów powiedziała Jenny. — Jeszcze nie jest za późno. A my nie mamy dzieci.

— Będziecie, będziecie — roześmiała się Miss May i wysypała trochę soli ze szklanki na ziemię. — Taka para, znam się na tym. No, leć.

Za drzwiami stuknął mleczarz butkami.

— John na nią patrzy i patrzy co rana. Może on mnie taką widzi — za lata? Może on tego się boi? — Jenny zacisnęła ręce na stole — Sally, pomóż mi. On nie żył ze mną od miesiąca. Dlaczego patrzy na Miss May codziennie? Ona przelewa się tak bez pasa i bez stanika, straszne. Może on myśli, że za rok, za dwa ja taka będę, może to dlatego?

— Nie żyje, to znajdź kochanka — Sally znów była gotowa do pocieszeń. — Zacznie żyć — to rzuć się. Mówią, że grubym łatwiej ze wszystkim bo mniej myślą. Ty jesteś za chuda. A najlepiej, mówię ci, weź pracę. W pracy właśnie możesz spotkać — no bo jak inaczej? Nie chodźcie nigdzie. Ja wiem, domek. My nie mamy. Więc w pracy spotkasz —

— John ma niebieskie oczy. Pamiętasz tego dzidziusia, którego do-

stałam zaraz po wojnie? Otwierał i zamykał oczy — niebieskie. Pamiętasz. Był z celuloиду, chyba amerykański bo takich ładnych u nas jeszcze długo po wojnie nie było. Bardzo kochałam tego dzidziusia. A Johna chciałam zabić. Tak. Kiedy patrzył na Miss May. Żeby nie patrzył.

Razem sprzątały po śniadaniu i przewlekły pościel. Gdy Sally schylała się sapiąc głośno aby naciągnąć prześcieradła, podpatrywała ją ukradkiem. Pod żebrami Sally wyrastało okrągłe wybrzuszenie tłuszczu, wypchane w górę zaciasnym paskiem do podwiązek. Jeżeli zdejmuje ten pasek u kochanka, to chyba rozlewa się cała, zalewa łóżko i jego, pokój, wszystko — pożera go sobą, różowa i miękka jak puchowa kołdra. A potem, po wszystkim wciska się w pasek jakby wciskała się z powrotem w swoje codzienne życie. Pewnie tak jest. W pasku z podwiązkami w kratkę, które ogląda mąż co rano, to jest zwyczajne życie. A kochanek to sen pod różową kołdrą własnego ciała. Zdrowy sen, na pewno zdrowy.

John ma niebieskie oczy. Gdyby miał czarne — możeby było łatwiej? Dzidziusia z celuloиду zgubiła na jakimś spacerze. Może dlatego John nie chce z nią spać, że zgubiła w dzieciństwie, że zgubiła — co zgubiła?

John także w dzieciństwie coś zgubił. Musiało to być coś ważnego. Raz tylko opowiedział jej jak to było w domu matki. Opowiadał o wizytach przyjaciółek matki. Że jadły ciastka z pistacjowym kremem, że miały kobiece kapelusze, nie takie jak dzisiaj. Ronda tych kapeluszy ocieniały im twarze, a twarze ich wyglądały młodo pod rondami. Miały piękne oczy za cieniem woalek, tuliły go do siebie, były rozrosłe i ciepłe, nie takie ściśnięte, upchane w staniki, które dziś można oglądać na stu reklamach naraz. „Kiedy mama umarła — powiedział wtedy — umarła dla mnie najpiękniejsza kobieta na świecie. A z nią razem wszystkie jej ciepłe przyjaciółki. Nigdy potem nie widziałem już takich kobiet. Matka umarła młodo, zaledwie dorastałem. Szkoda, nie, nie znałaś mojej matki, ani jej przyjaciółek“.

Termometr na szybie biegł szybko w górę. Robiło się coraz cieplej.

Sally upięła jej włosy nad czołem, zaczesła grzywkę.

— Grzywka zadługa — powiedziała. — Znajdź pracę, będziesz miała na fryzjera. Każ się uczesać z czoła, tak jest lepiej, a co do Johna —

— Nie mów — poprosiła. Wiem. Kochanek. Najwięcej boję się rana, jak wyszedł, kiedy zostaję sama. Z rana jest gorzej niż przed nocą. Bo nim noc minie do końca, to wiesz — ja ciągle — czekam.

Wśród ogłoszeń w sklepiku znalazły odpowiednie zajęcia. Wczoraj. Do dziecka. Trzy razy na tydzień.

— To niedobre — zaprotestowała Sally. Lepiej w dzień, kiedy go nie ma. Nie dowiedziałyby się, gdybyś pracowała w dzień.

Ktoś zamachał ku nim z przejeżdżającego autobusu. To agent wracał do centrali. Wymachiwał uprzejmie, bezmyślnie, na zapas.

— Właśnie wieczorem — roześmiała się nagle Jenny. — Pójdę, spróbuję.

Wszystko ułożyło się w niej naraz przejrzyście. Już wiedziała co i jak, nareszcie. To było takie proste, takie śmiesznie proste.

Zadzwoiła do drzwi pomalowanych na jasny fiolet. Ładne drzwi, pomyślała, ładny kolor. Teraz tylko uczesanie do góry, a do tego sukienka koloru fioletowych drzwi.

Kobieta na progu domu też miała rude włosy. Dziecko, chłopak, śpiewał do siebie na górze. „To bardzo dobre dziecko — powiedziała ruda kobieta. Była młoda, była ładna, uczesana do góry. „Wie pani, chciałabym wrócić chociaż trzy razy na tydzień do dawnej pracy, do klubu. Mój mąż jest krupierem w tym klubie. Ale dziecko... Dobre dziecko — dodała szybko — grzecznie śpi“.

— Ja przez całą noc nie mogę. — Pomyślała znowu o oczach Johna, niebieskich, z czarnymi rzesami.

— Punktualnie o północy będę z powrotem. Pani rozumie, żeby tylko przypomnieć sobie, żeby trochę odetchnąć. Trzy razy na tydzień. Pokażę teraz dziecko. Dobre dziecko.

Uklękła przy śpiewającym chłopcu. Podniósł rą nią niebieskie oczy z czarnymi rzesami. Zawołał „Mama“ i odwrócił się tyłem.

— Dobrze — powiedziała Jenny. Jeżeli ma się rude włosy jak

tamta, która chciała uciec z domu, żeby przypomnieć sobie to co było lepsze, jeżeli w domu spało dziecko z niebieskimi oczami i rzęsami, które spadały postrzępionym cieniem, aż na policzki i jeżeli kolor drzwi był jak fioletowa letnia sukienka, to znaczy, że wszędzie było źle.

Trzy wieczory na tydzień. A jeżeli wszędzie było źle, to należało walczyć tak właśnie jak ruda matka o wspomnienie, o spełnienie, bo przecież jak zastanowić się dobrze to spełnienie i wspomnienia są jednakowymi sprawami.

W pierwszy wieczór chłopiec uniósł ku niej nieporadne ręce i znów powiedział „Mama“. Potem uśmiechnął się, skrzył róg poduszki w płatek zgniecionego kwiatu i zasnął.

Wróciła po północy. Biegnąc przez trzy ulice oddzielające fioletowe drzwi od jej własnych — zielonych, zaczęło się modlić jak wtedy, dawno przed lekcję z francuskiego: Daj Boże światło w sypialni, światło w sypialni daj Boże. Ale światła nie było. John spał.

Nazajutrz odsunawszy łagodnie przegotowane jajko zapytał: „wychodziłaś z Sally? Dobrze spałem, nie słyszałem jak wróciłaś“.

W ogrodzie rudej kobiety też kwitły róże. Były o wiele piękniejsze od róż Johna, sztampowe wysokie, arystokratki. Po trzecim wieczorze przyniosła do domu bukiet tych olbrzymich żółto czerwonych róż. Kradła je po ciemku krwawiąc ręce na kolecach. Zrywała te od tyłu, poprzez krzaki bukszpanu, żeby ruda kobieta nie spostrzegła ubytku.

— Róże zdziwił się John nazajutrz przy śniadaniu — Jakie ładne. Skąd je masz, czy to od Miss May?

— Nie — powiedziała Jenny — Nie od Miss May.

Spojrzał na drugą stronę ulicy. Chciał popatrzeć na Miss May, upewnić się, że wszystko było jak zawsze, ale Miss May nie stała przy furcie.

Trzy ostatnie wieczory były dobre, bez gadaniny Jenny, bez jej kociego ocierania się o niego oczami i ciałem. Jutro znów wyjdzie. Domyślał się gdzie tak uciekała, pokryjomu przed nim. Nie wierzył w

spotkania Sally. Dobra dziewczyna, Jenny. Byle tylko nie miała tych strasznych nastrojów: płacz i gadanie bez sensu.

Jutro po powrocie z pracy, zje w kuchni prosto z papieru a potem podsypie nawozem róże na froncie. Później zastuka może do drzwi Miss May i spyta — spyta?

— Syneczku, mówiła kiedyś matka — uważaj na dziewczyny, nawet młode dziewczyny potrafią być nieczyste — wiesz, choroby, uważaj. Mój jedyny synku, cobym ja biedną zrobiła, gdyby jakaś dziewczyna...

O cóżby miał pytać się sąsiadki? Była może trochę podobna do przyjaciółki matki, ale napewno nie do tej najwspanialszej z fotografii. Miss May nie nosiła rozciętych sukien, ani wysoko zapinanych bucików, tyle, że miała wolne od staników piersi — duże, dobre, ciepłe. Napewno.

— Był wczoraj agent — powiedział. Przyszedł wieczorem, kiedy ciebie nie było. Chce ubezpieczyć nas oboje, wiesz, to to gdyby jednemu z nas...

— Nic nam się nie stanie — powiedziała Jenny — Już nie teraz, już nie.

— Wychodzisz znowu wieczorem, prawda — Chciał się upewnić, zabrać ze sobą do biura pewność wieczornej ciszy i tego, że będzie mógł skoczyć do Miss May i tego, że w spokoju podsypie róże nawozem.

Nareszcie spytał. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła, głośno przełykając ślinę. Myślała, że odpowie łatwo, przecież znała odpowiedź od chwili olśnienia przed sklepikiem, kiedy znalazło pracę.

— Ja — szepnęła. Patrzyła na Johna, na męża, na Smitha. Na Johna, który spokojnie spał, gdy jej nie było. Który chrapał i czasem przez sen przywoływał matki. Róże, fioletowe drzwi, dziecko, dobre dziecko.

John Smith uważniej spojrzał na żonę. Wydała mu się dzisiaj nie taka znowu młoda. Pod oczami leciutkie zmarszczki rysowały się półkolem wzdłuż linii rudych rzęs. Zmęczona. I jakby utyla rozlała się jakoś. Nie ma na sobie stanika, wyraźnie nie ma. Tego stanika z reklam, z pism, z wystaw i ogłoszeń, nylon, koronka, rozciągliwe ramiączka.

— Powiedz gdzie chodzisz? Domyślam się, ale powiedz sama. I te róże, także. No, powiedz.

— Do kochanka — powiedziała szybko i zaczęła się śmiać. To dziecko, to dziecko, taki słodki chłopaczek. Żeby chociaż mogła się z nim bawić, gdy przychodziła wieczorem, ale zasypiał od razu. Dobre dziecko nie budzi się w nocy. Dobre dziecko. Miał niebieskie oczy, rzęsy we śnie leżały mu na policzkach jak pióra kolibra. Nie widziała nigdy kolibra, nawet na obrazku, ale musiał mieć takie właśnie pióra — jak rzęsy Johna, jak rzęsy dziecka. Matka Johna nosiła rajery w kapeluszu. — Kup sobie kapelusz z piórami — powiedziała jej kiedyś. Wtedy też zaczęła się śmiać, prawie tak samo jak teraz, bez przyczyny.

— Do kochanka — powtórzyła Jenny — Nazywa się Smith.

Stał przed nią, z łyżeczką od jajka w ręku. Jenny, czy to była Jenny? Ten nadeptnięty niechcący, ocierający się o nogi kot? Nie, inna. Znużona, rozlana, bez stanika.

— Smith? — Tak jak ja — Smith?

— Tak. Tylko on nie śpi. Wogóle nie śpi. Kocha mnie.

Zamknęła oczy.

Teraz uderzy mnie. Zaraz zacznie mnie bić, zacznie krzyczeć, zerwie ze mnie sukienkę. Naumyślnie nie włożyłam stanika, żeby mnie było lepiej widać. Posiniaczy mnie. Uczesałam się inaczej, Sally powiedziała, że źle, że staro, że tak się czesze Miss May. Fryzjer wziął dwanaście i sześć plus napiwek. Zaraz zacznie mnie bić i trząść mną, żeby się dowiedzieć. Może dzisiaj nie jest mój bezpłodny dzień, nie pytałam w klinice które są a które nie. Mój mały nie będzie pewnie miał takich rzęs. Synek tamtej rudej ma dlatego rzęsy Johna, że bym po własnym nie spodziewała się za wiele. Niech nie ma rzęs, niech go wogóle nie będzie. John zaraz mnie uderzy, a potem —

— Kochanka — spytał John — Kochanka — Smitha?

— Nie spałeś ze mną od miesiąca — powiedziała Jenny. Kiedyś z rana chciałam cię za to zabić. Więc zamiast, żeby cię zabić —

— Gdzie stanik — spytał John — dlaczego nie włożyłaś stanika?

— John — zawołała John, czyś ty mnie usłyszał? Mój kochanek ma jasnofioletowe drzwi, nie zielone

jak nasze. Ma niebieskie oczy, ma rzęsy kolibra, ma —

— Czy to dla niego nie nosisz stanika — zapytał i zrobił w powietrzu widelcem znak dwóch kół.

— To lepiej ty mnie zabij — powiedziała — Zabij mnie, albo śpij ze mną.

— Kto to jest ten Smith? — Spojrzał na nią jakby jej nigdy przed tym nie widział. Taka młoda, a wyglądała dzisiaj jak stara kobieta. Dlaczego Miss May nie stała przy furtce, zapyta Miss May co robić, jeżeli żona ma kochanka nudna żona, niepotrzebna żona.

— Mr. Smith — powiedziała Jenny — po prostu Mr. Smith, mój kochanek.

Już nie chciał wiedzieć. To, czego dowiedział się i tak było niepotrzebne. I to co wiedział przed tym, o sobie: wyczekiwanie na Miss May co rano i to, że Jenny była młoda i to, że koledzy śmieli się z jego rozpaczki po śmierci matki. — Znajdź sobie dziewczynę, młodą dziewczynę — mówili. — Ożeń się — mówili — młoda żona zastąpi ci matkę. I to także, że pod palcami we śnie czuł nieraz jedwabny dotyk kogucich piór na wielkim kapeluszu i to, że wiedział, że są tęsknoty, które on tylko rozumiał.

Dlaczego tak było? Dlaczego życie było aż takie trudne mimo, że róże w ogrodzie czekały na uprawę, mimo, że we śnie był spokój, przywracający utracone chwile.

Uśmiechnął się wstydliwie. — Jenny, wiesz co myślałem? Że dzieci gdzieś wieczorami pilnujesz, że może zarabiasz w ten sposób na prezent na moje urodziny, na nowe róże.

Podeszła ku niemu blisko, chciała mu się lepiej przyjrzeć, także jak gdyby widziała go po raz pierwszy. Stał zawstydzony, zdziwiony, może to co powiedziała nie dotarło do jego świadomości?

Więc wszystko na nic. Teraz naprawdę poszuka kochanka, nikomu o tym nie powie, nawet Sally. Teraz naprawdę pójdzie do sali magistrackiej na tańce.

— Dlaczego mnie nie uderzyłeś, dlaczego mnie nie bijesz — spytała beznadziejnie. — Miałam kochanka, nazywa się Smith. Ale już nie wrócić do niego, to już skończone.

— Te róże — powiedział — te coś przyniosła. Takie właśnie chcia-

łem zasadzić na froncie, sztamowe, ale bardzo są drogie. Myślałem właśnie, że ty, na moje urodziny —

Jak zwykle w poniedziałki był spóźniony. Szedł teraz długimi krokami, byle zdążyć do miasta na południe, do centrali, przed biurko za oszklonymi drzwiami. Stary za biurkiem znów będzie zły, że przychodzi na minutę przed przerwą. Dzisiaj zapóźnił się przez tę zaspaną rudą, która nocami pracowała w klubie, a potem z rana nie mogła wygrzebać się z łóżka dla otwarcia drzwi. Korkietowała go dzisiaj wyraźnie, ścięła mu nawet nieco róż z ogródka. Tazszył je teraz pod pachą klujące, niepotrzebne. — Panie S. — powiedziała ruda — chce pan trochę róż dla swojej dziewczyny?

— Wcale się tak nie nazywam — odburknął, przecież się spieszył do centrali, do spisywania odnowionych polis, do starego lisa, który wymawiał mu każdą minutę spóźnienia.

— Ja nie pamiętam jak pan się nazywa, poprzedni agent tak miał na nazwisko, więc teraz wszyscy pana tak nazywają. O jakie ładne, prawda? W samych pączkach. Proszę to dla pana dziewczyny.

Teraz tylko wizyta u starej i konic. Stara winna mu była składkę za dwa tygodnie. Ostatnio coś nie wisiała na furtce. Lumbago. W zeszły poniedziałek przeproszała z okna na piętrze, że zejść nie może, że na przyszły tydzień zapłaci obie składki.

Zadzwoił. Miss May czekała za drzwiami, otworzyła od razu. Wyciągnęła ku niemu rękę pełną srebrnych monet. — Z gazomierza — uśmiechnęła się — przepaszam, że same drobne.

Rozedrą mu kieszeń. Do diabła z taką pracą. Ale uśmiechnął się do Miss May wzamian za jej wyczekujący uśmiech.

— Herbatki? — spytała i schwyliła się za biodro. — Jeszcze mnie boli, ale już lepiej, lepiej.

— Nie zdążę się napić. — Musiał w tej chwili uśmiechać się jak czasem psy, grymasem ukazującym zęby przed ugryzieniem. — Jestem spóźniony. Ale to panią wzięło — dodał uprzejmie. Cierń róży ukłół go przez marynarkę. Scisnął w spoconych rękach różany wiecheć.

— Proszę je wziąć, na pociechę, piękny kolor, prawda? To ode mnie dla pani. Wypisał kwit na składkę. Miss May chwiała się na progu, oparta ciężko na zdrowej nodze. Wachała róże. — Jakie śliczne — powiedziała. Mówiła coś dalej, ale już go nie było. Otwierał furtkę, dawał susa przez ogródek. W centrali znów zwymyślają go za złą obsługę. Naturalnie. Nie mógł przecież obliczać czasu co do minuty na tych uliczkach, w tych domkach, z tymi czyhającymi na rozmowę kobietami. Kiedyś on także będzie siedzieć za szklanymi drzwiami, za własnym biurkiem za pudełkiem pełnym firmowych papierosów. Wtedy pokaże im jeszcze. Był się wyrwać z tych domków, od tych klientów za grosze, co poniedziałek. Należało mu się przecież coś od życia.

— Hej, panie S. — usłyszał za sobą głos Miss May. — Wystawił mi pan kwit tylko za jeden tydzień, a zapłaciłam za dwa!

W domu naprzeciw ktoś otworzył okno gwałtownie. Odwrócił głowę. Ocho, pan domu z przeciwka nie poszedł do pracy. Stał w piżamie, przyklepiony do szyby, zmięty i rozczochrany, nieogolony straszak. Prawda, zapomniał, że miał go dziś właśnie definitywnie ubezpieczyć.

Zawrócił na próg Miss May, wypisał kwit, podczas gdy ciągle dziękowała za bukiet. Tamten z przeciwka dawał mu znaki przez okno, żeby zaszedł.

— Panie — powiedział Smith — te kwiaty co pan Miss May podawał, to pana własne? Z własnego ogródka? Bardzo ładne, ale drogie. Chciałem parę takich na front, wie pan, sztamowych. Proszę, proszę niech pan wstąpi. Bo ja chciałem dzisiaj z panem i o tych kwiatkach i o stawce, wie pan o stawce na życie. Jaka jest pana stawka — na życie?

— Nie mam czasu — zawołał — jutro, pojutrze, dobrze? W przyszły poniedziałek? Ogarniała go rozpacz. Stary lis w centrali przycisnęli zaraz dzwonek do sekretarki, spyta czy wrócił, spyta kiedy wyszedł, spyta czy telefonował. Ale Smith trzymał go za rękaw.

— Proszę do środka, bo ja z panem o tych kwiatkach właśnie. Pan nosi róże i do Miss May także? Ona niemłoda, prawda? Ale są i młodsze. Czasami tylko wyglądają

staro, kiedy nie noszą staników, no niech pan wejdzie. Nie mogłem się zdecydować, ale teraz już wiem. Życiowa stawka — pan rozumie? Coby moja matka powiedziała gdybym ja tak — inaczej, nie po męsku? No, proszę niech pan wejdzie.

Wrzuciła list ukradkiem przez fioletowe drzwi. Nie miała serca powiedzieć wprost, że już nie będzie więcej przychodzić. Żalowała dziecka, takie przyjemne. Może pójdzie do Sally i opowie wszystko co wymyśliła i także to, że John spał z nią dzisiaj po raz pierwszy od miesiąca. Musiała naradzić się z Sally co dalej robić — czy przyznać się i opowiedzieć o fioletowych drzwiach i dziecku i kradzionych różach, czy też go trzymać jak psa na smyczy — z tym kochankiem, z kochankiem Smithem? Ale róże do ogródka chyba mu kupi, nie wiedziała, że tak bardzo je chciał. Kupi mu zamiast sukienki dla siebie, która miała być jasnofioletkowa. Niech ma, niech zna panią.

Zapomniała, że Sally chodziła w południe do kochanka, zawróciła do domu. John nie poszedł do pracy, może jeszcze spał? A może znowu płakał jak wczoraj w nocy, podobnie jak chłopczyk z niebieskimi oczami, gdy zgubił we śnie swój różek poduszki, stulony w kwiat

Co mu powiedzieć, co robić, co zrobić? Życie było strasznie trudne, a najtrudniejsze wtedy, gdy się kochało kogoś tak bardzo jak Johna. W szkole mówili jej zawsze, że jest niezdolna, była zawsze niezdolna do dobrego życia, do zwyczajnego życia — dlaczego? Dlaczego John mówił przez sen o matce, dlaczego musi mu kupić róże zamiast sukienki? No musi, musi.

Otworzyła drzwi. Siedział w przedpokoju na ziemi. Siedział nieogolony, miał czerwone oczy, uniósł ku niej rozciętą dłoń, ciekła z niej krew na słomiankę.

— Co ci — krzyknęła i przyklekła przy nim na ziemi. — Co się stało?

— Stawka na życie — powiedział. — Wstawiłaś te róże od kochanka do ciężkiego wazonu, do kryształowego. On tam leży koło róż, w salonie.

Klara Evans

MARIAN CZARNECKI

B.D.I.C

VERDUN — 50 LAT TEMU

28 i 29 maja — Francja uroczystie obchodziła 50-letnią rocznicę najkrwawszej bitwy pierwszej wojny światowej, bitwy o Verdun. Wziął w niej udział gen. de Gaulle, lecz zajął nad nim cień tego, któremu przypisuje się zwycięstwo pod Verdun — marszałka Philippa Pétain, osadzonego i skazanego na karę śmierci po drugiej wojnie światowej, zamienionej na dożywotnie więzienie, w którym zmarł w wieku 95 lat. Pierwsza wojna światowa wyniosła go na szczyty chwały, druga pogrzebała go w forcie wyspy d'Yeu.

Jak do tej bitwy doszło? Jaki był jej cel? W imię jakiej koncepcji strategicznej padło po każdej stronie ponad 300 tysięcy żołnierzy? Dlaczego mimo tej hekatombi nie dała żadnych wyników? Istnieje cała olbrzymia literatura wojskowa, która odpowiada na te pytania i mimo tego jeszcze obecnie ukazują się prace na temat tej bitwy.

Rok 1915 nie dał żadnego rozstrzygnięcia. Doktryna Joffre'a, polegająca na serii ciągłych ofensyw, by wyniszczyć odwody niemieckie i nie dać przeciwnikowi wytchnienia — zawiodła. „Je les grignotte“, (ja ich wygryzam), mówił naczelną wódz francuski i jego podstawową wytyczną było: „ne laissez à l'ennemi ni trêve ni repos“ (nie dajcie wrogowi ani chwili wytchnienia ani odpoczynku). Ta doktryna wykrawiała bardziej Francuzów niż Niemców. Ustabilizowany w końcu 1914 roku front zachodni nie ruszył się. Wzdłuż jego 680 km. stało w początkach 1916 r. 129 dywizji niemieckich i 150 alianckich (105 francuskich, 39 brytyjskich i 6 belgijskich). Niemieckie dywizje lepsze, bardziej wypoczęte i co najważniejsze — Niemcy dysponują wielką przewagą artylerii ciężkiej, której Francja nie ma, bo jej mobilizacja przemysłu wojennego jest poważnie opóźniona w porównaniu z przemysłem niemieckim. Z doświadczeń Maubeuge i Liège naczelną d-two francuskie wyciągnęło pochopny wniosek, że fortyfikacje stałe zawiodły i nie wytrzymują potęgi ognia nowoczesnej artylerii — odwrotnie, ściągają go na siebie. Zlikwidowało więc specjalnie wyszkolone załogi fortów i zaczęło je rozbijać z dział, improwizując z nich ruchome jednostki artylerii ciężkiej. W ten sposób rozbrojono w dużym procencie forty okalające Verdun, a zwłaszcza najnowocześniejszy i najpotężniejszy z nich — Douaumont.

Zamiast serii ofensyw typu 1915 r. naczelną d-two francuskie w porozu-

mieniu z Brytyjczykami postanowiło na wiosnę 1916 r. przygotować jedną, wielką, decydującą ofensywę nad Sommą. Natomiast Falkenhayn, szef sztabu niemieckiego wyciągnął inne wnioski z walk 1915 roku. Ocenił, że ofensywy francuskie wykazały, iż zasadniczego przerwania frontu osiągnąć nie można, że wobec tego należy szukać koncepcji zniszczenia żywych sił przeciwnika. Trzeba je związać i spowodować ich zmasowanie w tego rodzaju bitwę i w takim punkcie frontu, w obronie którego Francuzi będą zmuszeni do poświęcenia ostatniego żołnierza. A z drugiej strony forma bitwy powinna być taka, by straty francuskie były bez porównania większe od niemieckich.

Falkenhayn wybrał punkt frontu, dla obrony którego Francuzi poświęcą wszystko — Verdun. Toteż od początku 1916 r. skoncentrował tam wyborowe dywizje V Armii pod dtwem Kronprinzem i 1000 dział — takiego zmasowania artylerii na odcinku 11 kilometrów jeszcze front zachodni nie znał. Ta artyleria ma głównie dokonać krwawego żniwa. Zadaniem Kronprinza nie jest zdobycie Verdun, lecz zajęcie takich pozycji, które miejscowości bezpośrednio zagrożą i zmuszą Francuzów do fantastycznych przeciwnatarć dla odebrania ich. Wybrzuszenie francuskiego frontu w tym miejscu i teren odpowiadają całkowicie planom niemieckim. Równocześnie ta operacja ma ubiec ofensywę alianatów, o przygotowaniu do której Niemcy wiedzą.

21 lutego o godz. 7,15 tysiąc dział niemieckich rozpoczęło ogień i przez dziewięć godzin wyrzuciło ponad milion pocisków. Natarcie ruszyło o godz. 16,00 — pierwsze pozycje francuskie padły. Joffre'a ta ofensywa nie zaskoczyła, bo wiadomości o koncentracji niemieckiej do niego doszły, toteż wzmocnił odcinek Verdun, ale za słabo. Zaskoczyły go rozmiary natarcia niemieckiego i nie odgadnął jego celu, a z drugiej strony nie chciał osłabiać przygotowań do wielkiej ofensywy Foch'a z nad Sommy.

Obroncy Verdun znaleźli się w sytuacji tragicznej. Druga linia obrony nie była przygotowana, między ośrodkami oporu brak było rowów łącznikowych, toteż Francuzi od pierwszej chwili improwizują, by wykonać rozkaz Joffre'a: „trzymać pozycje — bronić się w miejscu, bez myśli o wycofaniu się“. Stosunek sił niemieckich do fran-

cuskich wynosił w tej chwili 5 do 3 — dopiero w końcu marca wyrównano tę dysproporcję, a równowagę sprzętu osiągnięto w lecie.

Fort Douaumont padł 25 lutego, zdobyty przez zaskoczenie, zresztą jego załogę stanowił strażnik sprzętu i mały oddziałek terytorialny. W chaosie spowodowanym natarciem niemieckim po prostu zapomniano go obsadzić. Niemcy zdobyli kluczową pozycję obrony i wspaniały punkt obserwacyjny w głąb pozycji francuskich. Już w pierwszych godzinach walki u Francuzów porwała się łączność, d-cy dywizji nie dowodzili, baony i kompanie walczyły w odosobnieniu, bez styczności z sąsiadami, nie wiedząc co się u nich dzieje.

Tego dnia Joffre powierza obronę Verdun Pétainowi, d-cy II Armii. Ten szybko orientuje się we właściwych zamiarach niemieckich — wciągnięcia gros sił na prawy brzeg Mozy, na przedpole Verdun, by w drugiej fazie natrzeć na lewym, osłabionym skrzydle i doprowadzić do nowego Sedanu. Wzmocnia więc to skrzydło i ze spokojem i zimną krwią organizuje walkę na księżycowym przedpolu Verdun, przeorałym przez artylerię. W tym punkcie nieustannego ognia oddziały kończą się szybko — i fizycznie i moralnie. To też Pétain wprowadza swój słynny „kolowrotek“ — odnawiania oddziałów. Uzyskał, by w tej bitwie brały kolejno udział oddziały z całego frontu i w ten sposób przedwstawia Niemcom wciąż świeże, wypoczęte siły, gdy zmęczone i skrwawione odchodzą na od-cinki spokojniejsze. Żołnierz, mimo wielu kryzysów ocenia to, nabiera do dowództwa zaufania — bo „Pétain dba o niego“. Armia francuska liczyła wówczas 330 pułków piechoty, z tego 259 przeszło przez piekło Verdun. W tym tylko 4 baony kolonialne, bez Anglików. To była najkrwawsza próba narodowej armii francuskiej. Obok tego Pétain, widząc jasno cel niemiecki, nie rzucał się do krwawych przeciwnatarć, jak tego chciał Falkenhayn, lecz tam gdzie mógł, też stosował „silniejszą formę walki“ — obronę. Niech się Niemcy krwawia. Joffre nawet uważa, że Pétainowi brak „ducha ofensywy“, który wciąż stanowił istotę doktryny francuskiej i w maju mianuje go dowódcą środkowej Grupy Armii, a od-cinek Verdun wciąż mu podlegający powierza gen. Nivelle, który naciera (wbrew opinii Pétaina) na Douaumont, by go odebrać. Natarcie krwawo odparte — idące po myśli manewru Falkenhayna.

Niemcy rzucili cztery wielkie natarcia w bitwie o Verdun: w lutym, w początkach marca, w końcu marca i w czerwcu 1916. Gdy marcowe natarcie nie osiągnęło celu, dzięki metodzie

obrony Pétaina, Falkenhayn zapomniał o istocie swej koncepcji i postanowił zdobyć Verdun. Bitwa przybrała charakter gigantyczny, straty niemieckie zaczęły przewyższać francuskie. Obok piekła nieustającego ognia artylerii i c.k.m. stosowano gazy, miotacze płomieni, granaty — wszystko. O drugą kluczową pozycję obrony, fort Vaux, walki trwały od 9 marca do 7 czerwca, nacierały nań trzy korpusy niemieckie. Padł on w końcu, a bronił go jeden batalion mira Raynala — zginęli wszyscy z dowódcą. Natomiast Niemcy nie zdobyli nigdy innego fortu, bezpośrednio kryjącego Verdun — fortu Souville. Tutaj Francuzi przekonali się, że w warunkach wojny pozycyjnej fortyfikacje stałe mogą odegrać kapitalną rolę. Tu się narodziła tragiczna koncepcja Linii Maginot — całkowicie błędna w warunkach wojny ruchu.

W sierpniu okazało się jasne, że Niemcy bitwę przegrają, kosztowała ona utratę stanowisko przez Falkenhayna, ale walki trwały dalej. Inicjatywa przeszła w ręce francuskie. W październiku odbili fort Douaumont, w listopadzie Vaux, ale całkowite odebranie pozycji wyjściowych sprządnę bitwy nastąpiło dopiero w rok później. Ogólnie przyjmuje się, że właściwa bitwa trwała 10 miesięcy — do 15 grudnia 1916 r. Młyn Verdun, który miał wykrwawić do białego armię francuską —

wykrwawił obie strony w równym stopniu i wyniku nie dał.

Niemcy popełnili w niej szereg błędów. Najpierw natarli na zbyt wąskim froncie i pozostawili w spokoju lewe skrzydło francuskie, gdzie bez wielkich trudności mogli zdobyć niesłychanie groźne dla obrony pozycje. To olbrzymie zmasowanie artylerii i jej ogień pokryło cały teren lejami i artyleria z największym trudem przesuwawa się do przodu za piechotą, by zająć nowe stanowiska i wspierać nowe natarcia. Dawało to oddech Francuzom, którzy mieli czas na zajęcie i przygotowanie nowych pozycji. Wreszcie Niemcy nie mieli systemu wymiany oddziałów jak Pétain. Ich żołnierz pozostawał na linii frontu o wiele dłużej od francuskiego. Był bardziej zmęczony i wyczerpany, a przed nim zajmowały stanowiska wciąż świeże bataliony przeciwnika. Obok tego Falkenhayn w czasie bitwy odstąpił od swego podstawowego planu — spowodowania zmasowania sił francuskich na przedpolu Verdun, prowokowania ich do krwawych przeciwnatarć i łamania ich głównie ogniem artylerii. Według tego planu straty niemieckie miały wynieść 2/5 strat francuskich.

Dla Francuzów Verdun było wielkim zwycięstwem. Ale wyciągnięte z niego późniejsze wnioski doprowadziły niestety do klęski 1940 roku.

Marian Czarnecki

JUBILEUSZ 20-LECIA

CENTRALI WYSYŁKOWO - BANKOWEJ
HASKOBA LIMITED

Z OKAZJI 20-lecia istnienia naszej firmy ogłaszamy bezpłatną loterię dla wszystkich KLIENTÓW zarejestrowanych w kartotece HASKOBY od 1 marca 1966 do 31 listopada 1966

N A G R O D Y :

I Samochód FORD ANGLIA de Luxe
(Grzejnik i pełne wyposażenie)

II Obraz z CASSEL ART GALLERY
(Do wyboru: Kossak, Niemcewicz lub Kłóś)

III Weekend w PARYŻU
(firma ANGLOPOL TRAVEL Ltd.)

LOSOWANIE 15 GRUDNIA 1966

Blizsze szczegóły w oddzielnych ogłoszeniach



Centrala wysyłkowa i dom bankowy
HASKOBA Ltd.

81, Cromwell Road, London, S.W. 7.
TELEGRAMY: HASKOBA, LONDON — Tel. FRE 7888

ANTYPODY

SZCZEŚLIWA PROWINCJA

WIEKSZOŚĆ Australijczyków jest święcie przeświadczona, że ich kontynent został odkryty przez kapitana Cooka. Część z nich zna nawet prawidłową datę wylądowania Cooka w Botany Bay tj. 1770 rok. Naprawdę jednak Australia została odkryta przez Holendrów około 1606 roku. Uważali oni jednak, że nie warto kłopotać się zagarnianiem tego, wedle nich, niezachęcającego lądu.

Również pierwsze sprawozdania o Australii sporządzone przez Anglików, były tak negatywne, że rząd brytyjski Pitta Starszego doszedł do wniosku, że miejsce to nadaje się jak ulał na miejsce kary dla kryminalistów. Decyzja lorda Sydneya, który w 1786 roku nakazał transport 750 przestępców do Botany Bay ukształtowała losy Australii.

Do dziś dnia narodowym świętem Australii jest dzień 31 stycznia, na pamiątkę daty wylądowania pierwszego transportu osiedleńców-przestępców. Nie wszyscy byli kryminalistami. Dużo było między nimi więźniów politycznych, zwłaszcza wśród Irlandczyków, a część zesłańców przekroczyła ówczesne drakońskie prawa zmuszona do tego nędzą i głodem.

Jednym z pierwszych gubernatorów Australii, zwanej wtedy Nową Południową Walią, był kapitan Bligh, osławiony sprowokowaniem buntu na Bounty. W swej karierze gubernatora wywołał małą rewolucję i został zdetronizowany.

Współczesny Australijczyk, przeważnie niewiele wie o historycznych początkach swej ojczyzny i dawno zapomniał o heroiczo-pionierskich czasach. Mimo to w Anglii i Europie, często jeszcze trwa anachronistyczne wyobrażenie o Australii — dzikim kraju, gdzie większość ludności hoduje owce i bydło.

Obraz taki mija się krańcowo z rzeczywistością. Dzisiejszy typowy

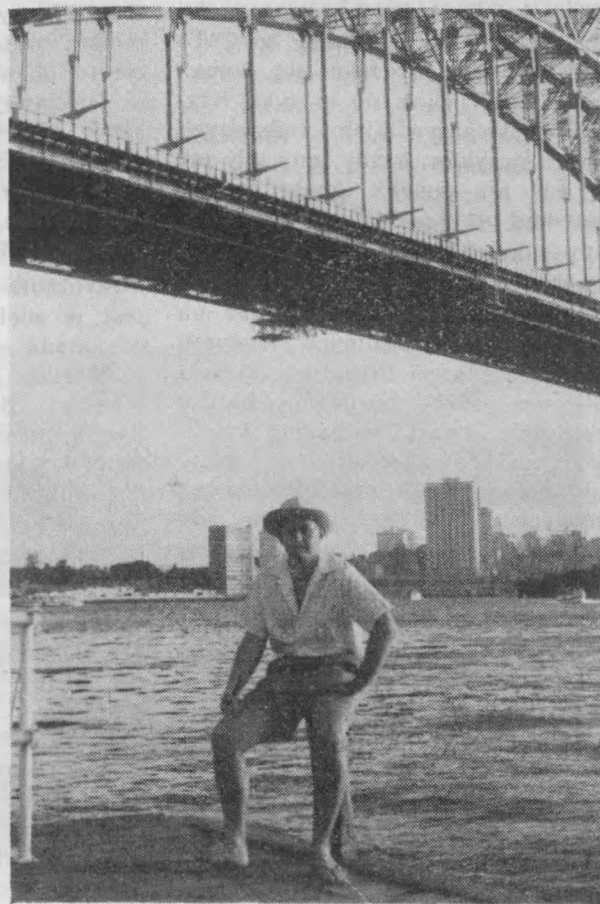
ŚWIATA

Napisał

Leszek Szymański

Fotografie:

Jadwiga Szymańska



Zdjęcie górne:

Green Island — Wyspa
Koralowa, Queensland.

Z prawej:

Słynny „Harbour Bridge“
— duma Sydney.

Australijczyk to nie „stockman“, czy „bushman“ w szerokim kapeluszu, do dziś noszonym przez australijskich żołnierzy, lecz piwosz-robotnik w krótkich spodenkach i koszulce gimnastycznej, albo nienagannie ubrany, z krawatem pod szyją, mimo upału, urzędnik.

Zdecydowana większość Australijczyków mieszka w nadbrzeżnych miastach — kolosach. Sydney, nieoficjalna stolica Australii np. liczy ponad dwa miliony mieszkańców. Mieszczuchy oglądają „bush“, jeśli go wogóle widują, jedynie w czasie weekendowych pikników.

Żyjąc w dobrobycie, odizolowany od reszty świata, Australijczyk stracił poczucie przynależności do reszty ludzkości. Australia jest nie tylko kontynentem, lecz stała się światem sama w sobie. Wytworzyło to nieomal automatycznie szowinistyczny prowincjonalizm i ksenofobię.

Na wszystko co obce spogląda Australijczyk niechętnie i podejrzliwie. Jest dumny z swojego dobrobytu i z tego, że Australia dorównuje wysokością stopy życiowej Ameryce. Przeświadczony jest, że zamieszkuje bezklasowy raj na ziemi, gdzie każdy ma „fair go“. To „fair go“ nie rozciąga się jednak niestety na prawo do krytyki. Krytyka jest przywilejem rodowitych Australijczyków, każdy inny gdy mu się coś nie podoba „może wracać tam skąd przyszedł“.

Prowincjonalizm wytworzył swoje miejscowe autorytety i wielkości kulturalne, które szukają teraz na gwałt swoich rodzimych tradycji. Nastąpiła moda na literaturę „wczesno-australijską“. Niedawno bardzo uroczysto otwarto w Sydney katedrę literatury australijskiej, gdzie głosi się chwałę i znaczenie dawno zmarłych „wielkości“, podczas gdy współcześni pisarze australijscy są ignorowani przez „opulent society“.

Pielgrzymka do Londynu jest nieodzownym etapem kariery australijskiego pisarza, czy artysty. Jest właściwie warunkiem kariery. Jeśli w Londynie zdobędzie uznanie — otrzyma tym samym prawo bytu, oraz powodzenie na własnym podwórku.

Powyższy przykład jest charakterystyczny dla sytuacji Australii, gdzie dominuje szowinizm, który



Śródmieście Sydney — autor z żoną Jadwigą

jednak jakoś zgodnie współżyje z oglądaniem się na Anglię jak na panią matkę. Australia wydaje się bowiem być, pod wieloma względami i mimo, iż znajduje się na krańcu świata, angielską prowincją. Prasa egzaltuje się życiem dworu i londyńskimi sprawkami i skandalami. O wydarzeniach światowych Australijczyk jest informowany z punktu widzenia Anglii. Ten punkt często obowiązuje, nawet, gdy stoi w jaskrawej sprzeczności z interesami Australii. Były żelazny premier Australii i znany anglofil — Menzies nie mógł uwierzyć, że Wielka Brytania naprawdę chce się dołączyć do Wspólnego Rynku.

Struktura ekonomiczna Australii jest w wielkiej mierze uzależniona od układu stosunków gospodarczych z Wielką Brytanią. Przystąpienie Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku, mogło się skończyć poważnymi wstrząsami gospodarczymi dla Australii. Przystąpienie to wydaj się jednak nieuniknione, lecz Australia dopiero stosunkowo niedawno zaczęła się rozglądać za rynkami zbytu w sąsiednich krajach azjatyckich i nawiązywać z nimi, a zwłaszcza z Japonią, kontakty gospodarcze.

Anglofilizm, choć widoczny na każdym kroku, wydaje się jednak być zjawiskiem narzucanym odgórnie i dotyczy obecnie przede wszystkim dziedziny gospodarczej i kulturalnej. Politycznie bowiem Australia zdała sobie sprawę, że „Wielka

Brytania będzie istnieć podczas, gdy Australia może zginąć“. Słowa te wypowiedział premier Chifley, gdy w czasie ostatniej wojny Churchill i Roosevelt zażądali by ósma dywizja australijska została posłana do Budmy, podczas gdy Japończycy zagarnęli wrota do Australii — Nową Gwineję i bombardowali porty Darwin i Broomey położone na samym kontynencie.

Wysłania ósmej dywizji odmówiono. Walczyła ona w bezpośredniej obronie Australii na wyspach Pacyfiku i na Nowej Gwinei. Australia przestała polegać na Wielkiej Brytanii jako na mocarstwie zdolnym i i chętnym do jej obrony. Związała się militarnie z Nową Zelandią (ANZUS) a następnie z U.S.A. (SEATO). Obecnie obrona Australii jest oparta na ściślejszej współpracy z U.S.A.

Problemu bezpieczeństwa Australii nie da się jednak na dłuższą metę załatwić paktami militarnymi i rozbudową własnej, obecnie bardzo wątej armii. Australia to nieomal bajkowa oaza dobrobytu, pod bokiem głodujących państw azjatyckich. Sąsiedzi ci, a zwłaszcza Chiny komunistyczne, patrzą na białą Australię z taką niechęcią z jaką spogląda się na bogatego sąsiada. Dodajmy sąsiada samolubnego.

W 1947 roku Australię stała się krajem szeroko otwartym dla białej emigracji. W obecnej chwili imigranci stanowią około dziesięć procent ludności. Początkowo planowa-

no imigrację zasadniczo anglosaską. Na każdego przybysza nie Anglosasa miało przypadać dziesięciu Brytyjczyków. Brytyjczycy jednak nie bardzo się pchali mimo szeregu przywilei i ułatwień. Australia musiała się zgodzić na inną imigrację. W obecnej chwili wśród przybyszy jest najwięcej Włochów i Greków.

Historycznie, pierwszą wielką grupą emigracyjną nieangielską byli polscy żołnierze zwłaszcza „Karpaczczycy“, których łączyło braterstwo broni z Australijczykami z walk w Pustyni Libijskiej. Osiedlili się oni przeważnie na Tasmanii, gdzie do tej pory istnieje duże ich skupisko w Hobart.

Drugą i liczniejszą falą polskiej emigracji do Australii byli „Dipisi“ z Niemiec. Element w większości chłopski i robotniczy. Emigracja polska miewa się bardzo dobrze, uczestnicząc w ogólnym dobrobycie kraju. Niestety jednak jej udział i znaczenie w życiu politycznym, ekonomicznym, czy kulturalnym Australii jest znikomy. Polska emigracja jest głównie rezerwuarem niewykwalifikowanej siły roboczej.

Trzecia fala polskiej emigracji, choć mała, ciągle jeszcze trwa. Są to ludzie, którym zezwolono na emigrację po 56 roku, głównie w ramach akcji łączenia rodzin, oraz narzeczone sprowadzane przez osiadłych już Polaków.

Międzynarodowa emigracja do Australii zaczyna się zmniejszać. Miasta w wyniku nieplanowanego osiedlania się, są przeludnione. Na farmach, czyli jak to się mówi „w buszu“ mało kto z emigrantów chce pracować. Domki stają się coraz droższe i trudniej uzyskalne, mimo, że rząd płaci zasiłek pięćsetfuntowy młodym małżeństwom na ich zakup. O pracę nie jest łatwo, nie można już przebierać i wybredzać jak to bywało dawniej. Prócz tego większość potencjalnych emigrantów opuściła swe rodzinne kraje i obecnie sprowadzają rodziny i kobiety, których między emigrantami jest zbyt mało.

Przeciętny Australijczyk nie lubi emigrantów, względnie traktuje ich jako zło konieczne. Trudno mu się dziwić. Do Australii przeważnie przyjeżdża nędza europejska, ludzie na niskim poziomie kultury, przy-

wykli do ciężkiej pracy na roli. Praca fabryczna jest dla nich prawie, że wypoczynkiem. Gotowi są pracować więcej i za niższą płacę niż rodowici Australijczycy. Ich wymogi materialne są tak niskie, że w stosunkowo krótkim okresie dorabiają się własnych domków, samochodów, telewizorów i innych akcesoriów cywilizacji. Klucze to w oczy Australijczyków, którym osiągnięcie tych dóbr zabiera wiele lat, gdyż nie lubią zaciskania pasa i sknerzenia.

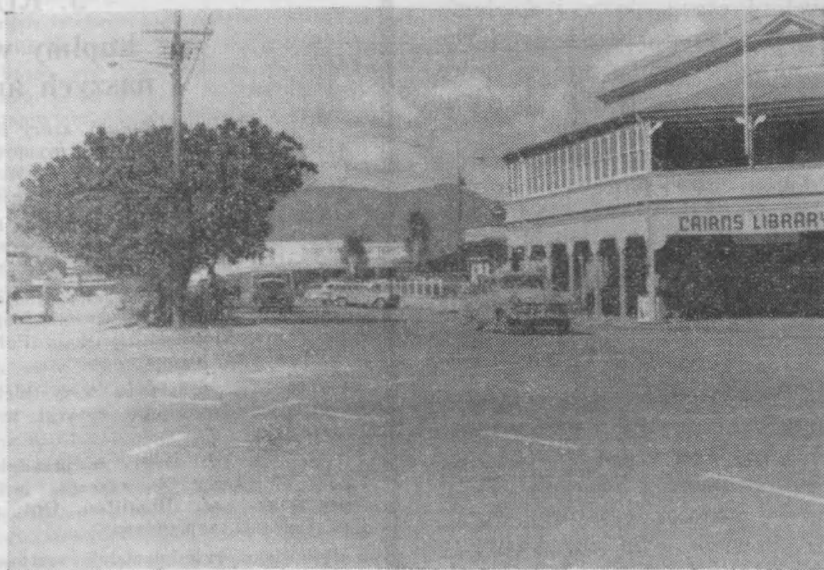
Na ogół emigranci znają jedynie kilka słów w łamanej angielszczyźnie stanowiąc masę obcą i bierną politycznie oraz kulturalnie. Natomiast dzieci ich wynaradawiają się bardzo szybko i często są szowinistycznie australijskie, podczas gdy ich rodzice nie traktują Australii jako swojego kraju, ani nie uważają się za pełnoprawnych jego obywateli. Rodowici Australijczycy nie przeciwdziałają praktycznie takim nastrojom mimo szumnych „konferencji emigracyjnych“ zwoływanych co roku w stolicy — Canberze, i stałych rozważań na temat asymilacji emigrantów. Jednostki, które starają się włączyć do życia kraju nie spotykają zachęty. Próby współżycia na równych prawach są najczęściej ignorowane mimo anemicznych komitetów dobrosąsiedzkich. (Good Neighbours Councils).

Emigracja europejska nie rozwiązała problemu zaludnienia ol-

brzymich obszarów Australii. Jednak ludziom nie białej rasy jest trudno osiedlać się w Australii. Sto, lub więcej lat temu, Chińczycy i tubylcy z wysp Pacyfiku stanowili tanią siłę roboczą. Australijska partia robotnicza chroniąca prawa białego robotnika propagowała „White Australia Policy“. W 1901 roku przeprowadzono w parlamencie „Immigration Restriction Bill“, gdzie zabroniono „kolorowym“ osiedlać się w Australii. Ustawa ta została zaproponowana przez partię Liberalnych Protekcyjnistów i przeprowadzona przy poparciu Australian Labour Party, oraz pozostałych partii.

Na mocy tej samej ustawy można było odmówić prawa wjazdu do Australii, osobie, która nie zna „jednego europejskiego języka“. O wspomniana, tak, że w słynnej sprawie język chodziło ustawa nie wie austriackiego dziennikarza Krista by zapobiec jego wylądowaniu w Australii egzaminowano go ze znajomości języka — gaelickiego! „White Australia policy“ jest jednym z zasadniczych punktów credo politycznego każdej większej partii politycznej.

W marcu br. pod naciskiem opinii światowej przeprowadzono w Australii pewną liberalizację prawa emigracyjnego. Chociaż w zasadzie dalej obowiązuje „White Australia policy“, przyznano ministrowi emigracji daleko idące uprawnienia wolnej decyzji przy po-



Cairns — tu urywa się komunikacja kolejowa

daniach o wizy emigracyjne. Nie-europejczycy z wyższymi kwalifikacjami, oraz rzemieślnicy mogą się ubiegać o prawo osiedlenia się w Australii. Ponieważ jednak w dalszym ciągu nie przyjęto systemu kwot, a każde podanie rozpatruje się indywidualnie, reforma ta nie rozwiązuje problemu zaludnienia Australii, więc jej realnej obronności, nie mówiąc już o humanitarnym aspekcie całej sprawy. Załagodzono jednak znacznie ostrze prawa emigracyjnego i przede wszystkim ułatwiono nie-europejskim rezydentom Australii nabycie praw obywatelskich nie po piętnastu, lecz po pięciu latach pobytu i zezwolono im na sprowadzenie rodzin.

Jednak mimo wszystko powyższa reforma jest typowym unikiem. Prędzej czy później dojdzie do zatarcia z którąś z azjatyckich potęg na tle prawa do osiedlenia się w Australii. Już obecnie Indonezja zatrzymywała tam, gdzie nie powiodło się Japonii i zająwszy pół Nowej Gwiney spogląda łakomie na australijską połowę. Ewentualnie ONZ może nakazać Australii przyjmowanie masowe azjatyckich emigrantów i jest wielce prawdopodobne, że interesy Australii w takim wypadku nie będą szczerze brane pod uwagę.

Są to jednak sprawy niedalekiej, lecz ciągle jeszcze przyszłości. Przeciętny Australijczyk, czy Nowoaustralijczyk (tak się zowie popularnie emigrantów) opływa w dobrobycie i pławi się w izolacjonizmie. Zresztą kontakty z innymi krajami, nawet z Anglią, nie są łatwe. Bilet lotniczy z Sydney do Londynu kosztuje około 300 funtów sterlingów. Bilet powrotny statkiem, i to tani około 400 funtów. Wyprawa jednej osoby do Europy i z powrotem równa się kosztowi samochodu, lub depozytowi na domek.

Wycieczka więc się nie kalkuluje.

Podróże co prawda kształcą, lecz kosztują zbyt dużo.

Australia pozostaje nadal prowincją świata. Pozwoliło to na osiągnięcie dobrobytu i rozwoju ekonomicznego, podczas ostatniej wojny. Wojna, bowiem, była dla Australijczyków, czymś tak obcym, że gdy pewnego razu, jedna, jedyna japoń-

ska łódź podwodna wystrzeliła parę spudlowanych pocisków, na sydneyjskie plażowe przedmieście Bondi, dzielnica ta opustoszała. Ceny domków spadły na łeb i szyję. Kto wtedy kupił sobie tam domek zrobił dobry interes, ale mało było odwaznych.

Życie intelektualne w Australii prawie nie istnieje. Przeciętny Australijczyk pracuje stosunkowo lekko, zarabia dobrze, ma domek, ogródek i mechaniczną kosiarkę, telewizor i piękną naturę jeśli chce ją podziwiać zamiast gapić się w telewizor lub siedzieć w „pubie“. Na kulturę nie pozostaje mu ani czasu ani ochoty.

W tym rajku dobrobytu, pisarze, artyści, aktorzy cierpią nędzę. Chyba, że powrócą po sukcesach londyńskich. Życie jest zmaterializowane. Funt przesłania wartości ludzkie. Panuje ogólny letarg polityczny.

Australia jest ciągle szczęśliwą i bogatą prowincją świata. Lecz świat, zwłaszcza azjatycki, szykuje się by ją pochłoniąć. Czas Australijczykom obudzić się z prowincjonalnej drzemki.

Leszek Szymański

13 maja zmarł nagle Tadeusz Bornholtz. Wiadomość wprawiła w osłupienie wszystkich co go znali. Bo uchodził za okaz zdrowia. Psychicznego i fizycznego. Sylwetka nie zmieniała się od wielu lat. Zawsze wyprostowany, zawsze żwawy w ruchach, zawsze wesoły i uśmiechnięty. Tylko bujna czupryna ze szpakowatej stała się białą, co przy smagłej, opalonej cerze wyglądało ładnie.

Co ważniejsze — pracował ciągle tak jak przed laty: spokojnie i równo, bez zrywów entuzjazmu, po których zwykle następują okresy zmęczenia i zniechęcenia. Pracował w wilię śmierci. Przez dzień w szkole, gdzie uczył młodych Anglików historii ich kraju i kultury, a wieczorem przy biurku nad czwartym bodaj tomem „Historii Powszechnej“, którą pisał od lat. Zostało z tego kilka tysięcy stron maszynopisu — gotowego do ostatecznych poprawek. Może kiedyś ktoś za niego skończy, a przynajmniej to co już napisał przygotuje do druku.

Pracę w ten ostatni wieczór przerywały mu jak zwykle telefony od przyjaciół. Po radę, której gdy go o nią proszono nigdy nie odmawiał. Udzielił i mi takiej rady, ostatniej jak się okazało. Sądzę, że jej posłucham. Bo nie znam człowieka, któremu Tadeusz Bornholtz źle poradził. Może to stwierdzenie jest właściwym wstępem do jego epitaphium.

Psychiczne zdrowie na pewno zachował do ostatniej chwili. Zdrowie pełne, zdrowie zaraziwe, zdrowie tak bardzo potrzebne nie tylko jemu ale także, powiedzmy raczej przede wszystkim, potrzebne innym. Zdrowie fizyczne zawiodło go od roku, o czym wiedziało chyba tylko kilka osób. Bo zdaniem Bornholtza radością trzeba się

Książkę pt.

„SŁOWA I CZYNY“

J. RUDNICKIEGO

kupimy wszyscy dla siebie
i naszych angielskich przyjaciół

Plk. dypl. Jan Rudnicki, który brał udział w walkach 1918—1920, w kampanii wrzesniowej i we Włoszech, przeprowadził przez okres ostatnich 5 lat szczegółowe studium kampanii wrzesniowej. W wyniku napisał książkę pt. SŁOWA I CZYNY. Autor omawia w niej tło, genezę i przyczyny klęski Polski w 1939 r.

Książka przeszła ocenę Komisji Historycznej w Londynie oraz Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku. Uznano ją za bardzo dobrą i poważnie opracowaną.

Autor wydał książkę w języku polskim i przygotował do druku wydanie w języku angielskim. Wydanie angielskie w jego rozumieniu posiada zasadnicze znaczenie dla spopularyzowania spraw polskich wśród obcych oraz zapoznania ich z krzywdą, jaka spotkała Polskę i żołnierza polskiego po drugiej wojnie światowej.

Autor zwraca się do wszystkich Kolegów Kombatantów z prośbą o pomoc w postaci kupowania książki w języku polskim i przedpłaty na wydanie angielskie.

Cena za egzemplarz w przedpłacie \$ 6.00. Cena książki w języku polskim \$ 8.00. Wpłaty należy przysyłać w Money Order na adres autora: Jan Rudnicki, 160 Gage Ave., Hamilton, Ont., Canada. Trzeba zaznaczyć w jakim języku książka jest zamawiana.

Nazwiska przedpłacicieli zostaną wydrukowane w książce.

Czysty zysk ze sprzedaży autor przeznaczył na polskich Inwalidów wojennych.

Ś.P. TADEUSZ BORNHOLTZ

dzielić z innymi, szczerze i chętnie. Lecz troski zachowywać należy w ukryciu, samemu sobie z nimi dając radę.

Pochowaliśmy go w Chislehurst, w Kenzie, na cmentarzu przy kościele katolickim, w tej części miasta, która pozostała starą wioską. Oddzielona pasmem drzew i płachtą trawy miejscowego „common“ łąki gminnej, od asfaltowej wstęgi arterii przelotowej, jest dobrym miejscem wiecznego spoczynku dla historyka, który rozumiał przeszłość, i cenił ją, dlatego, że żył pełnią współczesnego życia. Tędy, koło Chislehurst, szedł szlak pielgrzymów chauserowskich. Tu, gdzie nie daleko, zmarł Napoleon III, dumając nad małością swego cesarzowania. Tadeusz Bornholtz lubił Chislehurst, Słyszałem głosy, że należało go pochować na pocięniejszym miejscu, „gdzie bliżej“. Bliżej czego? Do Polski równie daleko z Chislehurst jak z Londynu. Albo równie blisko.

W Polsce należałby mu się grób wśród grobów ludzi zasłużonych.

W dniu pogrzebu rozpoczynał się walny zjazd SPK w Londynie, trwał zjazd Polski Walczącej a nazajutrz miał się odbyć wielki obchód millenijny. Wielu z kilkudziesięciotysięcznej rzeszy Polaków dziwiło się nieobecnością Bornholtza. Nie dlatego by nawykli widzieć go na trybunach i w komitetach. Unikał trybun i komitetów. Lecz był zawsze bliski wszystkiego co polskie.

Odprowadzili go do grobu przyjaciele z wojska i z pracy naukowej, koledzy nauczyciele, jego dawni podwładni. A także żony i dzieci jego przyjaciół, kolegów i podwładnych. Bornholtz był przyjacielem rodzin i przyjacielem domów swoich bliskich. Odprowadzili go jego wychowankowie, I ci, ostatni, chłopcy z angielskiej szkoły. I ci, których „wyprowadził na ludzi“ w szkołach polskich w Anglii, gdzie był kolejnym i ostatnim dyrektorem. Bottisham, Diddington, Lilford. Z nich wyszło tylu inżynierów, naukowców, pisarzy, rozsianych dziś po Anglii i daleko od niej w Ameryce czy w Kanadzie. Odprowadzali go wszyscy jakby pośpiesznie, jakby chcieli ukryć swe łzy jedni przed drugimi, jakby w obawie czy Zmarły prócz dobrotliwego uśmiechu nie spojrzy na nich z dobrotliwą kpina w oku. Odprowadzali go nieporadnie. Każdy wiedział, że nie dorósł do tego by nad grobem wygłaszać o nim mowę. I tym milczeniem oddano mu hołd najpełniejszy.

Kimże był Tadeusz Bornholtz? Dziś, gdy rozpacz wywołana wiadomością o jego zgonie ustąpiła miejsca spokojniejszemu bólowi, dziś widzę z zdziwieniem jak mało się przez długie lata przyjaźni dowiedziałem o nim od niego. Nie mówił o sobie. Na pytania odpowiadał wesółym: „Daj spokój, są rzeczy ciekawsze“.

Urodził się w Warszawie; młodość miał trudną, biedną w sensie materialnym. Rozbrajał Niemców 11 listopada i bił się z bolszewikami. A potem poszedł na historię i został nauczycielem. Dyrektor gimnazjum, wizytator szkół średnich. Młody był, musiał wiele umieć. Uczyłem się z jego podręcznika „Nauki o Polsce współczes-



nej“ i pamiętam styl podręcznika: zwarty, prawie suchy, może nie kwiecisty ale przekonywujący. Nie było w nim ani jednego niepotrzebnego słowa.

Poszedł na wojnę w 39-tym, internowano go na Litwie, ocalał w Sowietach, służył w 2 Korpusie. I w linii i na stanowisku bardzo trudnym jakim było szefostwo Wydziału Kultury i Prasy. Na tym stanowisku wykazał nie tylko wiedzę ale i ogromny talent pedagogiczny. Nie łatwo jest być pedagogiem dla dorosłych.

San Giorgio nad Adriatykiem. Nazwa miasteczka, która w życiu nas kilku czy kilkunastu kojarzy się z pojęciem przyjaźni. Przyjaźni, którą stwarzał Bornholtz. Przyjaźni z nim i przyjaźni między sobą. Przyjaźni bez patosu, bez obrzydliwych wylewności. Bornholtz był przyjacielem lecz pozostawał przelozonym. Jego słów nikt nie kwestionował. Może dlatego, że tak mało słów używał. Nie znaczy to by był milczkiem. Przeciwnie lubił rozmawiać lubił żartować. Lecz umiał utrzymać dystans między życiem prywatnym a obowiązkami służby i pracy.

Był historykiem, był pedagogiem, był człowiekiem wielkiej wiedzy i jeszcze większego rozsądku. Był człowiekiem, na którym zawsze i w każdej sytuacji można było polegać. I choć niemiode to może dziś określenie — był gentlemanem.

Gorący patriota o Polsce i o rzeczach polskich myślał zawsze. Myślał spokojnie i trzeźwo. Liberal w najlepszym tego słowa znaczeniu, nigdy nie potępiał rzadko ganił i jeszcze rzadziej chwalił. Wiedział wiele, lecz — co stokroć ważniejsze — wiele rozumiał. Wiedza i rozum to dwie różne sprawy. Tadeusz Bornholtz był człowiekiem mądrym. Dzięki temu wywarł olbrzymi wpływ na wielu ludzi; na każdego właściwie kto się z nim, obojętnie z jakiego powodu i obojętnie na jakiej płaszczyźnie, zetknął.

Są to dokonania życiowe, których nie można ująć w statystykę. Sporo będzie miał kłopotu ktoś, kto by chciał napisać o nim monografię. Potrzeba by jej było, głównie po to, by pokazać jak w warunkach naszej epoki wyglądając powinien człowiek szlachetny. Niech mi Tadeusz Bornholtz wybaczy to patetyczne określenie. Użyłem go z pełnią przekonania po raz pierwszy w życiu.

Wielu będzie go długo pamiętać. Zdaje mi się też, że niejeden stając przed trudną decyzją zastanowi się i pomyśli „jakby Bornholtz na moim miejscu postąpił, jakby mi poradził“.

Na tym kończę słowa pożegnania najwerniejszego przyjaciela, doktora Tadeusza Bornholtza.

PAWEŁ ZAREMBA

dzie łatwiejszego, niż pozbyć się ich z rządu.

W sumie, choć byłoby lepiej, gdyby komuniści pozostali poza nawiasem rządu, nie można twierdzić, iż niezależność kraju jest zagrożona. Jeśli porównać sytuację w roku 1966 z sytuacją przed ośmiu laty, gdy presja Moskwy spowodowała odsunięcie jednej z dwu głównych partii od władzy, to postęp w kierunku pełnej niepodległości jest niewątpliwy.

Bylibyśmy zadowoleni, gdyby w Polsce rząd był tworzony w podobny sposób, gdyby w wyniku wolnych wyborów do koalicji rządzącej wchodziły największe stronnictwa. Nie protestowalibyśmy, gdyby do rządu weszli także komuniści, oczywiście o ile by uzyskali, tak jak w Finlandii, jedną piątą z góra głosów. Co wydaje się wysoce nieprawdopodobne...

Aleksander Bregman

MOŻESZ WYSLĄC

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa

żywność

Pieniądze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

Każdy artykuł do wyboru

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

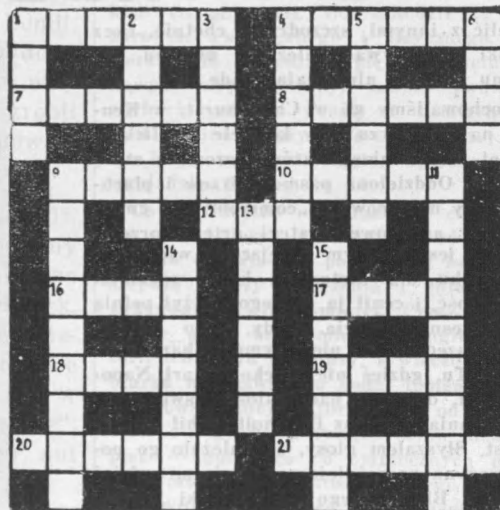
M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 4) przyjemność i użycie jest jego dewiza; 7) gra; 8) stolica Królestwa Obojga Sycylii; 9) szewska najbardziej gwałtowna; 10) pracował w nim Cellini; 12) postać z „Wesela“, pod gazem; 16) broń, materiał; 17) żona zawsze chce, by mąż był taki?; 18) linia w modzie (wspak); 19) pokazywać je, to stawiać się; 20) narzędzie; 21) smuga wody, mleka (wspak).

Pionowe: 1) wyspa; 2) kara i pieszczota razem (l. mn.); 3) rycerski wóz; 4) okazje, możliwości (wspak); 5) przewozi za obola; 6) cześć; 9) pod jego pomnikiem zamordowano Cezara; 11) jasny jak jego początek?; 13) cecha pożądana w towarzyskich stosunkach; 14) żyje nieuczciwie z części ubrania?; 15) maruda, partacz.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 583/66

Poziome: 1) i 5) skłonności, 3) i 16) Herhor, 8) popiół, 10) owacja (wspak), 11) kocha (wspak), 12) Anna Jagiellonka, 15) gryka, 18) palce, 20) wici (wspak), 21) zwidy (wspak), 22) knot, 25) napitki, 26) empiryk, 27) systematyczny.

Pionowe: 1) szpica, 2) lupy, 4) epicki, 6) ślad, 7) Antoni (wspak), 9) Rafał (wspak), 10) klika (wspak), 13) alkowa, 14) opaska, 15) Gniezno, 16) hedonizm, 17) rewident, 19) Esterka, 23) atut, 24) spec.

fraszki

Odważny nie bez powodu

*Włosy mu nie stanęły dębem, chociaż zbladł;
Nie dziwnego — był tysz od dwudziestu lat!*

Spotkanie

*Skrzyżowały spojrzenia, jak ciosy topora —
Obie miały te same modele od Diora!*

Nienormalny

*Wywiózł ją po za miasto, gdzie hen! w las, w dolinę,
A gdy auto stanęło — poszedł po benzynę.*

RAWICZ

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Liberia Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Francja boi się zmiany kierownika swojej nawy i że cierpi na głęboki uraz niepo-
czytalnych często rządów 4-tej i 3-ciej
Republiki. Miejmy nadzieję, że właśnie
realizm poparty poczuciem istotnej mi-
sji Francji, ukształtuje jej losy inaczej,
aniżeli poczynania Prezydenta de Gaulle'a,
który nie spełnił swojej obietnicy, iż
Francja „musi poślubić wiek XX“.

Zbigniew Grabowski

NA MARGINESIE „EPOPEI PASJA SKAŻONEJ“

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o zamieszczenie uwag moich na
marginesie artykułu J. Łobodowskiego
„Epepeja pasją skażona“ w numerze ma-
jowym „OB“.

Łobodowski spełnia podstawowy warunek
uczciwej recenzji: czyta i zna książkę od
pierwszego do ostatniego wiersza. W wy-
padku „Lewej wolnej“ zna atmosferę, epo-
kę historyczną i co najważniejsze socio-
logię i psychologię okresu. Jest pisarzem
głębokim i bez obsesji.

Mackiewicz odniósł jedno poważne zwy-
cięstwo dzięki niezręczności przeciwników,
którzy zwęzili zarzuty pod adresem „Le-
wej wolnej“ tylko do strony historycznej
(polityczno-wojskowej). Łobodowski po-
szedł za nim co prawda w znacznie mniej-
szym stopniu. Łobodowski — literat, jako
historyk stoi nieskończenie wyżej od Mac-
kiewicza historyka — bije go na głowę,
tymi atutami o których pisałem na wstę-
pie. Nie polemizuję sam z historycznymi
czy historycznymi wywodami Mackiewicza,
gdyż chodzi mi o coś jeszcze ważniejszego.
A jednak muszę powiedzieć wyraźnie to,
co Łobodowski odnośnie historii owija w
bawelnę: Mackiewicz, opierając się na pu-
blikacjach rosyjskich, bolszewickich, nie
zadal sobie trudu zweryfikowania ich z
dostatecznie obszernymi źródłami polski-
mi, ani nie skorzystał z relacji uczestni-
ków tych walk. Stąd mylnie podaje Mac-
kiewicz np. że walczyły dwie polskie bry-
gady syberyjskie (gdy w rzeczywistości
była tylko jedna), że bolszewicy wycieli
pod Dębskiem dwa baony tej brygady (a
w rzeczywistości brygada była w tym
czasie pod Chorzelami i Krzynowłogą w
odległości 30—35 km), stąd też gloryfi-
kacyjny opis dowódcy bolszewickiego kom-
kor. Gaja. Mackiewicz, przeciwnik bolsze-
wizmu, stosuje również sowieckie propa-
gandowe metody pisarskie: z góry zakła-
dając tezę, słuszność której stara się wmó-
wić czytelnikowi doborem i obfitością
jednostronnych cytat. Książce jego nie-
podobna przynąć wartości historycznej.

Za ważniejsze uważam, że „Lewa wolna“
od pierwszego do ostatniego wiersza to
wyzwanie rzucone społeczeństwu polskie-
mu — katolickiemu i patriotycznemu. Choć
historyk, a nie nowelista, chciałbym za-
jąc się, w przeciwnieństwie do Łobodow-
skiego stroną powieściową książki — bo
ona jest najważniejsza. Androny „histo-
ryczne“ Mackiewicza nie mogą stać się
wobec źródłowych dokumentów historycz-
nych. Krzywda zaś, wskutek powoływania
się naszych wrogów na tę książkę, lub
tłumaczenie jej na obce języki, będzie
znaczną — o ile nie odetniemy się od tej
książki przedstawiającej społeczeństwo pol-
skie jako „dziec moskiewską“, a ściślej
jako — rosyjskie kresy zachodnie w okre-
sie rewolucji. Gdy w roku millenijnym
sumujemy nasz dorobek kulturalny, uka-
zuje się prowokacyjna „epepeja“, przed-
stawiająca Polaków w świetle najgorszym
— nieprawdziwym. Nie doszukać się tam
etyki chrześcijańskiej, ani kultury zachod-

SOS recepta z kraju... B.D.I.C

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Kratowski
Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU : TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.

WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

niej, — to może jeszcze nie na 100 pro-
cent Rosja — to rusyfikacja: języka,
myśli, wykształcenia, charakteru, etyki.
Chłop czy pan, żołnierz czy oficer, młody
czy stary, mężczyzna czy kobieta, wszys-
tko co polskie bezideowe i zgangrenowane
i to na tle gigantycznych zmagają rosyj-
skiego narodu. Ramy listu nie pozwalają
na przytoczenie przykładów. „Lewa wolna“
to najgorsza książka Mackiewicza choćby
dlatego, że zaśmieca literaturę polską ru-
syżmami. Ten język nie jest przecież
polski — to produkt rusyfikacji, a myśli
tam zawarte — to rusyfikacja kulturalna
— użyjmy modnego słowa — nihilizm.
Zapytuję wreszcie, czy wobec obrazy
Związku Harcerstwa Polskiego jako ca-
łości (str. 90 i 91) oraz ówczesnej mło-
dzieży, zbiorowy protest również i w tym
wypadku uważać by należało az „terror-
zowanie“ uciśnionego Mackiewicza?

Z poważaniem

W. Wojstomski
Londyn

Józef Garliński „Z I E M I A “

Już jest w sprzedaży nowa książka
popularnego autora, który dał się
poznać społeczności emigracyjnej
dwoma tomami wspomnień z okresu
ostatniej wojny, Armii Krajowej i
niemieckich więzień i obozów („Dra-
mat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarni-
ach polskich

PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY!

MICHAŁA
RADŁY
MYŚLI
KĄŚLIWE

Tradycja z poprawką

*Gomółka zapowiedział:
— „Polska nie omieszka
Kontynuować nadal
Zbożne dzieło Mieszka“.*

*Różnica w tym jedynie
— dodał od niechcenia —
że PZPR chwacko krzyż
W sierp i młot zamienia!...*

Niedopuszczalne

*Papież do Częstochowy
Przepustki nie dostał.
Krzyk czynią emigranci,
A sprawa jest prosta:*

*Toż stary lud piastowski
Zapałałby gniewem,
Gdyby Papież pielgrzymkę
Odbił przed Breżniewem!*

Od Mieszka do Miecia

*ZBoWiD się do Millennium
Nie wmieszał otwarcie,
Lecz stoi uroczyście
Na dziejowej warcie.*

*I pilnuje Bezpieki
Wiernej, gardia stara,
By drogowskaz przestawił
Z Mieszka na Moczara!...*

Pobożne wezwanie

*Wybacmy Niemcom winy,
Jako bracia braciom!
A oni nam to kiedyś
Z nawiązką odplacą!!!*

MICHAŁ RADŁO



GRYF — Księgarnia S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. i P. C. A.
PUBLICATIONS LTD.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W.7. Tel.: KNI 3500

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY.

Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

„Powieść mieszczańska“, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się życie normalnych ludzi, toczy się nieublaganie w kierunku śmierci. Trafność obserwacji, szczerść ekspresji oraz styl czynią z tej książki pomnik literacki.

**Lidia i Adam Ciołkoszowie — ZARYS DZIEJÓW
SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I.**

Str. 520 + 65 plansz ilustracyjnych. Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Powstania Styczniowego. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu socjalistycznego.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI.

Stron 567. Ilustracje i indeks. Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM.

Str. XX + 506. W opracowaniu Lidii Ciołkoszowej. Ilustracje Ireny Ludwig.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historiozoficzną pointą.

**Kazimierz Klochowicz — CZTERY
NIEDOTRZYMANE PAKTY.**

Str. około 184. Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwięzły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

NINIEJSZY NUMER „ORŁA BIAŁEGO“ JEST
P O D W Ó J N Y — CZERWIEC i LIPIEC.
NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ
W PIERWSZYCH DNIACH SIERPNI

SZYBKO I TANIO!

Biułetyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879